

Małgorzata Lisinska



**ZAKONNA**  
SERIA TROPICIEL

*Dla tych, którzy wspierają mnie od zawsze...  
i Michałowi, bo pięknie przeklina*

# Spis treści

[Prolog](#)

[Yasa](#)

[Mediacje](#)

[Idealni](#)

[Zasadzka](#)

[Król](#)

[Porozumienie](#)

[Starzy przyjaciele, starzy wrogowie](#)

[Wspomnienia i sny](#)

[Pierwotny Mag](#)

[Lodowiec](#)

[Uczucia](#)

[Pytania i odpowiedzi](#)

[Gherdeire](#)

[Jaskinia](#)

[Isina](#)

[Księżna](#)

[Epilog](#)

# Prolog

Krwistoczerwone włosy, miękkie i chłodne jak jedwab, musnęły twarz młodego mężczyzny, a on zapragnął ich dotknąć. Zapragnął rozpaczliwie, ostatecznie. Ale nie wyciągnął do nich palców. Nie dlatego, że krępowała go magia. Nie musiała. Wystarczyło jedno zimne spojrzenie Isiny.

– Szybciej – poleciła.

Uchwycił jej biodra i posłusznie przyspieszył. Była ciasna i wilgotna. Pierwsze spazmy rozkoszy ściągnęły sutki i przemknęły przez napięte mięśnie brzucha. Unosiła się i opadała, raz za razem, szybko, coraz szybciej. Piersi podrygiwały, pieszczone długimi lokami. Ciało tężało... i w końcu ekstaza wyrwała krzyk z ust czarownicy. Jeden gwałtowny, wysoki krzyk. Fale przyjemności przetoczyły się przez napięte mięśnie, jedna za drugą...

Mężczyzna oddychał szybko i płytko. Jego spełnienie też nadchodziło. Walczył z tym, zaciskając zęby i szepcząc zaklęcia. Isina nie pozwalała. Nigdy nie pozwalała...

Stoczyła się z niego i wstała, doskonała jak zawsze. Naga podeszła do okna. Wiatr schłodził rozgrzaną skórę, a potem zaigrał wśród włosów, które zafalowały jak wstęgi krwi. Przez długą chwilę patrzyła za okno, na wyczarowany świat złotego piasku i szemrzającej wody. Później odwróciła się i spojrzała na młodzieńca na łożu, stężałego w walce z własnym pragnieniem. Uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

– Lubię cię, Yaso. – Podeszła i usiadła obok niego. – Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że jesteś odpowiedni. Całkiem odpowiedni.

Coś błysnęło w czarnych tęczęwkach młodego Pierwotnego, coś, czego nie zdołała odczytać. Chłopak zmarszczył brwi, zacisnął zęby... i nagle, choć nigdy wcześniej tego nie zrobił, sięgnął po kochankę bez pozwolenia. Nie broniła się, zaskoczona i rozbawiona po trosze. Pozwoliła, by pchnął ją na wielkie wyściełane jedwabiami łoże, rozwarł jej uda, a później wszedł w nią z gniewem, niemal wściekłością. Doszedł błyskawicznie, w kompletnej ciszy. Nawet nie jęknął, szarpany kolejnymi spazmami rozkoszy.

– Kiedyś... cię... zostawię – wydyszał, gdy skończył. Wstał i jak poprzednio jego kochanka, podszedł do okna. – Zostawię cię i będę wolny.

Roześmiała się głośno, szczerze ubawiona.

– Kochany, należysz do mnie. Jesteś moją własnością. Nigdy mnie nie zostawisz. Nic i nikt nie zdoła mi ciebie odebrać, Yassso. Nikt.

# Roydyiałl

## Yasa

Ciemne chmury całkowicie zakryły niebo, a padający z nich śnieg zamknął okolicę w szarobiałej rzeczywistości. Kary kuc z trudem przedzierał się przez nawałnicę. Kopyta grzęzły w wilgotnym puchu, a zwierzę, chociaż parskając niespokojnie, posłuszenie brnęło przed siebie. Grube płatki osadzały się w gęstej czarnej grzywie, kunsztownie splecionej w setki warkoczyków, a potem, roztopiwszy się, wolno sunęły wzdłuż łba na rozchylone z wysiłku chrapy. Mocny wiatr tańczący wśród bieli co rusz zatykał oddech to konia, to jeźdźca. Niska postać, zakutana w niedźwiedzie skóry, pochylała się w siodle, niemal leżąc na karku wierzchowca. Pod kapturem co jakiś czas błyskały czarne oczy obserwujące okolicę. W końcu dłonie odziane w grube rękawice ściągnęły wodze. Kuc zatrzymał się posłuszenie, a jeździec z niechęcią zeskoczył z siodła.

– Przez ten pieprzony śnieg to byśmy się pewnikiem zgubili, Doru. – Krasnolud poklepał lekko kark zwierzęcia, a ono spojrzało na pana obojętnie. – Ano tośmy i są. Dalej to cię nijak ze sobą targać nie mogę, to i zostaniesz, coby na mnie poczekać. – Zaplątał rzemienie uzdy wokół drzewa, a potem odwrócił się i powoli uniósł głowę.

Tuż przed nim wśród białej zawiei piętrzyły się skały. Nagie, mimo padającego od wielu dni śniegu, srebrzystoczarne szczyty ginęły wśród ciemnych chmur. Wyrżnięte w górach niczym w ścianie wysokie spadziste schody, połyskujące jak szkło i równie obnażone jak wierzchołki, ciasnym węzłem wiły się ku chmurom. Nie chroniła ich żadna barierka, żaden mur nie zabezpieczał ewentualnego wędrowca przed upadkiem. Lodowaty wiatr, ten sam, który u podnóża tańczył wśród tumanów śniegu, próbował wyszarpać kamienne stopnie.

– Kurwa – wyszeptał krasnolud nieco żałośnie. Poprawił poły płaszcz, by lepiej ochronić się przed mrozem i zawieruchą. Długie rude włosy, gęste i pokręcone, wymykały się z niegdyś misternie splecionych warkoczy. Zastygająca na mrozie mgielka oddechu sopelkami osadzała się na krzaczastych brwiach, wąsach i poskręcanej brodzie. Sodi westchnął ciężko, zacisnął wargi i nie oglądając się, ruszył ku schodom.

Z trudem pokonywał wysokie stopnie, ślizgając się na oblodzonych kamieniach. Kilka razy zjechał i uderzył kolanem o zimne, mokre głązy. Zawsze towarzyszyły temu

krzyk i przekleństwo, ale krasnolud szedł dalej, mamrocząc gniewnie pod nosem. Niszczycielska śnieżycą szalejąca u podnóża góry tu, na dziwnych schodach, zmieniała się w migotliwe obłoczki osadzające szron na kamiennych stopniach, wciskające w usta i nos wędrowca setki bolesnych igiełek. Mężczyzna sapał ciężko między jednym a drugim przekleństwem. W połowie drogi rozwiązał z pietyzmem uprzednio sznurowany kozuch. Kilkanaście stopni dalej zsunął z głowy kaptur, a po chwili grubą wełnianą czapę. Pot, spłynąwszy z czoła, wcisnął się za kołnierz koszuli i wąskimi strumyczkami, po napiętych z wysiłku plecach, zdążył ku paskowi spodni. Krasnolud otarł oblicze i na chwilę się zatrzymał. Ciemna chmura, którą widział z dołu, wisiała tuż nad jego głową. Jeszcze dziesięć schodów i utonie w lepkim, zimnym puchu. Otrząsnął się niechętnie i ruszył dalej.

– Jak się, kurwa, pomyliła, wsadzę jej w dupę największy świerczek z tego jej pieprzonego lasu, a potem zlegnę i poczekam, czy wylezie załganą gębą – wyjęczał, ledwie dysząc, a później wszedł w ponury obłok. Na moment musiał zamknąć oczy, bo lodowate drobinki wciskały się w nie, jakby próbowały wypalić je mrozem. Opadł na kolana i na oślep, macając niespokojnie, pokonywał kolejne stopnie.

Naraz bolesny chłód i lodowata ciemność znikły. Mrok za zamkniętymi powiekami zmienił się w miękką, łagodną jasność. Krasnolud otworzył wolno oczy i zamrugał gwałtownie. Od nieba, czystego najczystszy błękitem, odcinała się ściana góry, a w niej potężna, wysoka na trzech, może czterech ludzi brama kuta ze szczerego złota. Słońce połyskiwało w misternych żłobieniach i przemykało przez krwistą czerwień rubinów. Tak, z całą pewnością były to rubiny i złoto. Sodi znał się na tym, ostatecznie pochodził z najznakomitszej krasnoludzkiej rodziny. Złoto i rubiny to część jego dziedzictwa. Uśmiechnął się ponuro, wciąż z trudem łapiąc oddech. Był na miejscu.

Zerknął w dół. U jego stóp, niczym miękkie dywan, rozciągała się chmura. Odetchnął głęboko chłodnym, czystym powietrzem i postąpiwszy ku bramie, uniósł pięść, by zastukać. Odrzwia rozchyliły się, zanim zdołał ich dotknąć. Igiełka strachu przewierciła gruby kark. Sodi potrząsnął głową, odganiając niepokój, i wszedł do środka. Za jego plecami brama zamknęła się bezgłośnie. Nie spojrzał na nią, ale odruchowo położył rękę na wciśniętym za pas toporze.

Gruby dywan wyściełający szeroki korytarz tłumiał kroki krasnoluda. Przy ścianach zdobionych wielobarwnymi wzorami unosiły się złote świeczniki, pływające między sufitem a podłogą, jakby były zawieszane na niewidzialnych sznurkach. W lichtarzach zaś delikatnym, przytłumionym światłem płonęły setki świec. Przepychowi pomieszczenia towarzyszył nieco zduszony dźwięk harfy dobiegający z odległej komnaty. Dłoń Sodiego wolno zsunęła się z broni, a on sam zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku źródła muzyki. Wiodła go nie tylko melodia, słodka i zwodnicza,

lecz także moc czaru. Bo chociaż Tropiciele nie wrzeszczał, nie ranił i nie próbował wyrwać się na wolność, jak miał to w zwyczaju, kiedy Yudherthardere był w kontakcie z aktywnym zaklęciem, to i tak nieustannie drapał krasnoludzką skórę. Dotychczas sprawił się doskonale: doprowadził Sodiego do pałacu ostatniego Pierwotnego znacznie skuteczniej niż jakiegokolwiek mapy i ludzkie wskazania. Nie zwiódło go ani łatwe, choć miazdzące w formie pogodowe zaklęcie u podnóża gór, ani już bardziej skomplikowany Czar Kształtowania, tworzący schody. Zaklęcia wciąż tylko nieco łaskotały, drażniły zmysły, porami wsuwając się w umysł, by na jego granicy malować szarościami obrazy. Powoli jednak zaczynały palić i wizualizować się jeszcze przed wejściem w podświadomość. Wszechobecna Moc, jakkolwiek osłabiona ochronnymi czarami, rządziła tym miejscem, tańczyła na ścianach, wstęgami opasywała przysadzistą postać wędrowca, krępując ruchy, nie pozwalając na przywołanie ochronnej tarczy. Nie żeby zamierzał to robić. Po pierwsze, nie było takiej potrzeby, bo Yasa najwyraźniej sam nałożył bariery, po drugie zaś, gdyby Pierwotny zechciał, to przed potęgą tej klasy nic nie zdołałoby Sodiego uratować, a każdy obcy czar mógł ją tylko rozgniewać. Yudherthardere obiecywał więc sobie, że żadnej magii, żadnych uroków... no i żadnego drażnienia Pierwotnego Maga skutecznie nie będzie.

Krwiste wstęgi obwijały luźno członki krasnoluda i wiodły go za dźwiękiem harfy. Narastająca melodia otumaniała umysł. Posłuszny czarom krasnolud wszedł do ogromnej komnaty. Przez jakiś czas wstęgi i dźwięk trzymały go na uwięzi, by ostatecznie odpuścić i zwrócić myślom mężczyzny normalną ostrość. Rozejrzał się szybko, nie ruszając głową. Próbował zapamiętać otaczające go widoki. Błyskawicznie oceniał swoją pozycję, kalkulował...

– Nie zamierzam was skrzywdzić, panie Yudherthardere. – Łagodny niski głos zawibrował w umyśle krasnoluda, choć, był tego pewien, żaden dźwięk nie złamał ciszy pustego pomieszczenia. Sporo Sodiego kosztowało to, by nie drgnąć, nie okazać lodowatego strachu wpełzającego z wolna pod koszulę.

– Toście mnie uradowali, panie Yasa. A się i pobeczę jako ten smark, co długo na pannę czekał za stodołą, a ta nie dość, że przyszła, to mu jeszcze cycka dała pomacać, ino się objawcie utrudzonemu krasnoludowi – odpowiedział na głos, zapominając na chwilę, że miał nie drażnić Pierwotnego Maga. Jakoś bogowie nie zechcieli cierpliwością Sodiego pobłogosławić.

Niski, spokojny śmiech przerwał ciszę, a Pierwotny Mag zmaterializował się, jakby od zawsze stał przy kominku z zamorańskiego złocistego marmuru. Odwrócony plecami do gościa grzał nad ogniem szczupłe długie palce. Wyczuwając rosnącą irytację krasnoluda, w końcu na niego spojrzął. Ascetyczną, lecz młodą i urodziwą

twarz rozjaśnił dobrotliwy uśmiech, z jakim ojciec mógłby przyglądać się niesforenemu dziecku. Uśmiechowi przeczyło jednak poważne, chłodne spojrzenie ciemnych oczu.

Zimne macki telepatycznej magii zwiedzały tymczasem krasnoludzki umysł, wyrывая myśl po myśli z najciemniejszych, najgłębiej ukrytych zakamarków. Tym razem Yudherthardere nie zdołał ukryć drżenia. Cofnął się gwałtownie, intensywnie szepcząc zaklęcie chroniące. Bezskutecznie.

– Nie bójcie się – cicho powiedział Yasa, podchodząc do Sodiego. Haftowany złotem purpurowy płaszcz bezszelestnie sunął po posadzce, gdy Pierwotny płynął tuż nad nią, przecząc prawom rządzącym światem. Wiszący na jego piersiach kryształ mienił się tęczą, przyciągał wzrok krasnoluda i nie pozwalał uwolnić myśli, a tym samym skutecznie odbijał szeptane przez Sodiego ochronne zaklęcie.

Kiedy czarodziej wreszcie zbliżył się do gościa, ten zadarł głowę, żeby móc patrzeć mu w oczy. Trwali tak przez chwilę, a Yasa wciąż przeszukiwał umysł gościa. W końcu opuścił go, a zaraz potem dotknął lekko ramienia Sodiego.

– O kurwa – jęknął krasnolud. Miękkie naraz kolana ledwie utrzymały ciężar potężnego, jak na swój gatunek, mężczyzny. Cofnął się po omacku, szukając czegoś, na czym mógłby się wesprzeć.

– Nie lubię takiego języka, panie Yudherthardere.

– A ja, kurwa – Sodi podkreślił przekleństwo – nie lubię, kiedy się mnie we łbie grzebie.

– Przyzwyczajenie. – Mag wzruszył ramionami. Odwrócił się i, tym razem stąpając po podłodze, podszedł do wyściełanej ałtasami ławy. Usiadł i gestem wskazał miejsce obok siebie. – Usiądziecie?

Krasnolud zacisnął zęby. Odzyskał już władzę w członkach, poczuł się pewniej, więc normalny u niego stan wiecznego podenerwowania narastał w błyskawicznym tempie. Odruchowo położył dłoń na toporku, na co Yasa uniósł brew z rozbawieniem. Obaj milczeli. Czarodziej czekał, jego gość zaś toczył walkę z gniewem, powtarzając w myślach, jak bardzo potrzebuje pomocy gospodarza. Wreszcie zdrowy rozsądek wygrał z gwałtowną krwią i Sodi usiadł obok maga.

– Przebyliście długą drogę...

– Darujcie se, panie Yasa, te dworskie dyrdymały, co nie? Pogrzebaliście mi we łbie, wiecie, po co żem wasze progi nawiedził.

– Tak od razu? Nie chcecie czegoś zjeść, napić się, odpocząć?

– Jakoś szybko mi zbrzydła ta wasza gościna – wyrwało się krasnoludowi. Zaraz też zacisnął usta, żałując szczerości.

Yasa roześmiał się cicho, a potem przymknął powieki. Pustą i cichą komnatę wypełniły naraz dźwięki harfy oraz miękki zaśpiew lutni. Skóra grających na



instrumentach pięknych kobiet, ledwie osłonięta przezroczystymi szatami, połyskiwała złociście w aksamitnym świetle ognia. Duży okrągły stół ugiął się pod ciężarem wyszukanych potraw, a długonogie nimfy leżące przy nim na ogromnych atlasowych poduszkach uśmiechały się zachęcająco do krasnoluda.

Sodi przełknął głośno ślinę i z trudem odwrócił wzrok. Żar zaklęcia palił mu skórę od wewnątrz, wiedział więc, że nęcący obraz jest jedynie ułudą, a mimo to ledwie zdołał mu się oprzeć.

– Jesteście pewni, że taka gościna wam nie odpowiada? – zapytał mag.

– Spiesz mi się. – Krasnolud spojrzał na niego z mieszanką tęsknoty i żalu.

– Szkoda. – Ponowne przymknięcie powiek czarodzieja przywróciło pustkę i ciszę w komnacie.

– Ano szkoda. Jak więc będzie?

– Nie handluję zaklęciami, panie Yudherthardere.

– Wiem – krasnolud skinął głową – że złota wam nie trza, drogich kamieni też macie w cholerę. A i z handlowania swoimi czarami też raczej nie słyniecie. Mówią nawet, żeście nigdy żadnego zaklęcia innym nie oddali, czy to w podarku, czy za odpłatą.

– Aż tak dobrze jest poinformowana Rada Krasnoludzka?

– Aż tak.

– Więc zapewne wie też, że moja moc nie ma ceny. Nie stać was na mnie. Nawet z całym, a obaj wiemy, że nie jest mały, majątkiem Rady.

– Dyc przecie nie Rada mnie posłała – lekko zdziwionym tonem powiedział Sodi. – Jeno za swoim interesem was znaleźć mi trza było.

– Ach. – Mag uśmiechnął się. – Nie doczytałem waszych myśli. To jednak niczego nie zmienia. Nie handluję mocą.

Yudherthardere uśmiechnął się krzywo.

– Każdy ma swoją cenę, panie Yasa.

Czarodziej zmarszczył brwi.

– Tacy jesteście pewni?

– Ano. Przecieście mnie czytali, to i po co pytacie?

– Krótco, z przyzwyczajenia. – Mag ponownie wzruszył ramionami. – Chcecie zaklęcia przywracającego do życia. Wybaczcie, że pytam, ale po co wam ono? Ileż macie lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? W waszej rasie to jeszcze młodość. Nie czuję w was też żadnej choroby. Po co wam takie trudne, misterne i kosztowne zaklęcie?

– Nie wasza to rzecz.

Yasa uniósł brwi. Na chwilę, krótszą niż westchnienie, macki telepatii znów wcisnęły się w umysł krasnoluda.

– Wróżka? – Czarodziej parsknął śmiechem. – Leśna wróżka wam rzekła, że zginiecie od miecza przed upływem tygodnia? Wróżka?! Wierzycie we wróżki?!

Yudherthardere poderwał się z ławy, czerwieniejąc gwałtownie. Potężna pięść powędrowała do topora. Nim jednak zdołał go wyjąć, lepka mgiełka, pachnąca rumiankiem i lawendą, wchłonęła pomrokę gniewu i błyskawicznie go uspokoiła. Usiadł ponownie i nie patrząc na gospodarza, burknął:

– A śmiejecie się, śmiejecie. Mojemu dziaduniowi przepowiedziały śmierć, a i pradziadowi. Stryjowi rzekły, jak majątek pomnożyć, a kuzynowi ze strony matki, że jego żona puszcza się z elfami. Leśne wróżki to niegłupie niewiasty.

– Niech wam będzie, niegłupie. Znałem kiedyś jedną leśną wróżkę... – Uśmiechnął się z rozmarzeniem, ale zaraz spoważniał. – No, nieważne. Nie sprzedam wam zaklęcia. Przykro mi. Jak chcecie, możecie zostać u mnie w gościnie przez miesiąc. Będziecie bezpieczni.

– Nie mogę. Rada dała mi zadanie. Muszę je wykonać.

– Jak już rzekłem, przykro mi. – Mag podniósł się. Krasnolud też wstał.

– Każdy ma swoją cenę, panie Yasa. Nie chcecie złota i precjozów, to może się wymienim? Doszły mnie słuchy, że szukacie czaru odwracającego gniewne przekleństwo...

Dobroduszny uśmiech maga w jednej chwili zastygł w lodowaty grymas. Czarne oczy pokrył szron.

– Skąd wiecie?

– Rada wie więcej, niż wam się śniło.

– Nie ma takiego czaru. Nikt nie zdoła cofnąć przekleństwa rzuconego w gniewie przez Pierwotnego Maga. To legenda – warknął cicho Yasa.

– Tak jak i zaklęcie przywracające do życia. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Zawszem wierzył w legendy. To jak będzie?

Czarodziej powoli podszedł do kominka. Wyciągnął dłonie nad ogień i w milczeniu patrzył na tańczące płomienie. Długo. Bardzo długo. Wreszcie odwrócił się i spojrzał na gościa.

– Skąd wiecie, że nie wyciągnę go z was siłą?

– To obwarowane zaklęcie. Zadziała, tylko jeśli dam wam je po dobroci.

– Tacy jesteście sprytni?

Krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– A nie wyglądam, co?

– Nie wyglądacie – przytaknął spokojnie mag. Wyciągnął zamkniętą dłoń ku Sodiemu, a ten podszedł szybko. Serce krasnoluda waliło niespokojnie, kiedy Yasa rozchyłał palce.

– Bierzcie – polecił mag, podając gościowi szeroką, żłobioną runami obrączkę. Ten szybko, acz z trudem wsunął klejnot na najmniejszy palec. Lodowaty żar wtopił się wraz ze srebrem w skórę, spłynął lawą w żyły i ruszył nimi w podróż przez ciało Sodiego. Drogę magii znaczyły czarne ślady spalonej skóry. Mężczyzna krzyknął krótko, gdy ból stał się nieznośny, lecz zaraz zwarł usta.

– Pal, żeby żyć, pal, żeby nie umrzeć – zaśpiewał cicho mag. – Płoń i nie przestawaj.

Siateczkę żyłek rozjarzył ogień. Swąd gorejącej skóry drażnił zmysły. Yudherthardere przestał walczyć z bólem i krzyczał głośno, rozpaczliwie. W końcu cierpienie odebrało mu siły i rzuciło go na kolana.

– Pal! Płoń! Żyj! – Wraz z ostatnim słowem czarodzieja ogień na skórze krasnoluda zgasł, ból ustał, a po lawie magii pozostało ledwie wspomnienie. Sodi wciąż jednak siedział na podłodze, słaby niczym nowo narodzone dziecko. Łkał cicho, a po brzydkiej twarzy ciekły łzy.

Yasa odsunął się od gościa. Stanął przy kominku i czekał.

Po dłuższej chwili krasnolud wstał. Wytargał zza pazuchy chustkę, otarł policzki, wysmarkał nos i spojrzał na gospodarza.

– I już? – zapytał chrapliwie.

– Już. Pamiętajcie, że zadziała tylko raz i tylko jeśli będziecie mieli pierścień na palcu. Potem zakłęcie wróci do mnie. Nie daję wam go. Pożyczam.

Sodi pokiwał głową ze zrozumieniem. Wolno obejrzał owłosione dłonie i przedramiona. Po spaleniźnie, której zapach wciąż unosił się w powietrzu, nie pozostał nawet ślad.

– Musiało tak boleć?

Mag wzruszył ramionami.

– Ma was ożywić. Spodziewaliście się pieszczot?

W odpowiedzi krasnolud uśmiechnął się krzywo.

– Byłaby jaka odmiana. – Sięgnął za pazuchę po jabłko. Podrzucił je lekko i schwyciwszy, ugryzł z namaszczeniem. Nie przestawał się przy tym uśmiechać. Potem podał resztkę owocu gospodarzowi. – Wasze zakłęcie.

Yasa z niesmakiem przyjął ogryzek. Obracał go w dłoni, chłonąc ukrytą wewnątrz energię, a później spojrzał na gościa.

– Rzeczywiście, nie brak wam rozumu – przyznał cicho, z uznaniem. – Tylko wasze ugryzienie uruchamia magię?

Sodi przytaknął z dumą.

– Skąd? – zapytał jeszcze Yasa.

– Babka mojego pradziada była kiedyś kochanką jednego z Pierwotnych. Czar był w rodzinie przez wieki.

– Wasza...? – Pierwotny z nieukrywanym zaskoczeniem przyglądał się przysadzistemu brzydaliowi. Ten zaś wzruszył ramionami.

– No co? Są tacy, co lubią małe kobiety.

Mag zmilczał. Nie powiedział, choć malowało się to w jego oczach, że nie wzrost był największym problemem krasnoludzkich niewiast. Nie skomentował, bo naraz mu się przypomniało, czym potomkiem jest jego gość. Nie żeby w rysach jakieś podobieństwo odnalazł, bo nijak go nie było. Milcząc, przez chwilę ważył w dłoni nadgryzione zielone jabłko, jakby nie mógł uwierzyć, że oto wreszcie znalazł sposób...

– Czas mnie wracać, panie Yasa. Pomnijcie, coby owoc do końca skonsumowała. A tak na przyszłość, jak was baba wkurwi, to przełóżcie przez kolana i wlejcie na gołą dupę, a nie rzucajcie magicznych przekleństw. To jednorazowe zaklęcie, więcej spełnionych legend nie będzie. Żegnajcie.

Yasa skinął głową bez słowa. Nie patrzył za krasnoludem. Czekał, aż tamten wyjdzie z komnaty, a potem z pałacu. Nie musiał go odprowadzać, by wyczuć moment, gdy ulotna woń Tropicielea zniknie z jego domu. Cierpki zapach południowych owoców zmieszany z gorczycą. Gdy tylko Sodi minął olbrzymią złotą bramę, Yasa przymknął powieki. Wciągnął głęboko powietrze. Poczłł aromat własnej pradawnej mocy. Wspomniał głupotę słów rzuconych w gniewie. Lodowatą złość, gorącą rozpacz. Żal, mroczny i demoniczny, żyjący własnym życiem, prawie materialny, kęsający kawałek po kawałku resztki duszy, okruchy serca. Pokręcił wolno głową, rozrzucił gwałtownie ramiona i poderwał się ponad podłogę. Wreszcie otworzył oczy. Lodowate, białe tęczęwki płonęły niezmaconym ogniem.

W tej samej chwili złocista brama znikła. Korytarze wyłożone miękkimi dywanami zmieniły się w wąskie tunele wewnątrz góry, złote świeczniki w dogorywające pochodnie, a olbrzymia komnata w zimną, mokrą jaskinię, na środku której ponad wielkim ogniskiem unosił się odziany w zniszczony, stary płaszcz młody czarownik.

– Przepraszam, Arthe – wyszeptał, zaciskając palce na nadgryzionym jabłku.

*A żebyś płonęła,  
Wiecznie płonęła,  
Spalała się nieustannie,  
Wiecznie.  
Bądź przekłeta.*

Tak wykrzyczał w gniewie dziesiątki lat temu.

Odegnął wspomnienie, a potem zmrużył oczy i wypuścił owoc. Ogryzek wpadł prosto do ognia. Złociste języki z sykiem zagarnęły jabłko. Spalało się nieskończenie wolno, jakby nigdy nie miało spłonąć, a zawieszony nad ogniskiem mag trwał w bezruchu. Jedynie kryształ na jego piersi płonął odbitym blaskiem płomieni.

W chwili, gdy ostatni kęs owocu się spopielił, ogień w jaskini zgasł i zapadła ciemność.

Dziewczyna zaczęła łkać.

# RoydiałII

## Mediacje

Śnieg padał nieustannie od wielu dni, więc karcznię na rozstaju dróg, znajdującą się tak daleko od ludzkich siedzib, jak tylko na krańcach Krainy było to możliwe, przykryła ciężka biała czapa, wciskając się pomiędzy grube bale niegdyś jasnego drewna. Droga prowadząca do przysadzistej budowli częściowo została odśnieżona, ale i tak trudno było się nią poruszać. Sodi zsiadł z kuca i brnął przez zaspy, prowadząc Doru za uzdę. Ani wieczorny mrok, ani grube, miękkie płatki wciskające się w oczy nie przeszkadzały mu w obserwowaniu okolicy. Zmęczony wielogodzinną podróżą, rozglądał się więc z nadzieją, a kiedy dojrzał światła w okiennicach gospody, do której zdążał, ogarnęła go niesłychana radość.

Dziwne, nie powinien się cieszyć. Następnego dnia mijał ów tydzień, co to mu go leśna wróżka przepowiedziała. Na palcu jednak wciąż tkwił runiczny pierścień Pierwotnego, a im dalej od magicznej wieszczki, tym jakoś mniej straszna wydawała się przepowiednia, za to mróz szczypiący twarz i insze, znacznie cenniejsze członki krasnoluda... O, ten jakoś nad wyraz realny był. Sodi przetarł rękawem twarz i zapatrzył się przed siebie.

Próg karczmy właśnie przekroczyli goście. Nie widział twarzy dwójki podróżnych odzianych w białe futra, tak wysokich, że musieli się pochylić, gdy wchodzili przez bramę, ale i tak domyślał się, kim są. Zmierzali do karczmy na to samo zaproszenie, które i jego tu przygnało. Jeśli miał rację, a zapewne ją miał, już nie mógł się doczekać spotkania.

Dziewczyna uchodziła za najpiękniejszą pannę w Krainie. Eeech, niechże on tak więcej syrellskiego zamtuza od środka nie ogląda... A rzeczywiście, od dawna już musiał się obyć bez owego cudnego miejsca... Obejrzeć taką, może nawet, tak całkiem przypadkiem, pomacać tu i ówdzie.

Yudherthardere potrząsnął głową zniesmaczony. Co też mu do łba przychodzi?! Trza było jednak w gościnie Pierwotnego zostać z dzień albo i dwa. Może i dupy były wyczarowane, ale pochędóżka, nawet z magii użyciem, zawsze to jednakowoż pochędóżka. Wyposzczony by taki nie był, nie marzyłyby mu się gaalskie dziewoje, co to jednym ruchem rozpołowić mogą cnego krasnoluda.

Zaśmiał się ponuro i przyspieszył kroku. Po drodze wyszeptał jeszcze ochronne zaklęcia, bo wiedząc, z kim przyjdzie mu do stołu siadać, wołał Tropicielea na pokuszenie nie wodzić. Tak przygotowany dotarł do gospody. Raz jeszcze ino zerknął za siebie, ale uznał, że nie ma co szat drzeć. Ostatecznie nie został przecież u Pierwotnego, a chociaż niegłupi był z niego krasnolud i nadziei na owo pomacanie gaalskiej szlachcianki nie miał, to jednak w karczmie czekały na niego ciepło i posiłek... i zapewne widok niezapomniany.

\*

Czarnoelfi władca stał przy palenisku i grzał nad nim dłonie. Robił to bardziej odruchowo niż z wyraźnej potrzeby, bo karczmarz, świadomy zaszczytu, jaki go spotkał, zadbał o dogrzanie gospody. Agrah Err lubił ogień, bo magia tańczących płomieni przypominała mu, że nie jest wszechmocny, że są też inne żywioły. Czasami potrzebował takiej odrobiny samodyscypliny. Roztarł dłonie i poruszył nimi lekko nad ogniem, w miejscu, w którym rozpalone powietrze spotykało się z chłodem izby. Płomienie powtórzyły gest szczipłych elfich palców, tańcząc, jakby były połączone z nimi niewidzialnymi sznurkami.

Ot, tyle w temacie żywiołów.

Drzwi za plecami Agrah Erra skrzypnęły cicho, więc mężczyzna odwrócił się powoli, pewien, kogo zobaczy. Czuł gości od chwili, w której przekroczyli próg gospody. Wystraszony karczmarz wpuścił ich bez słowa i równie cicho zniknął w korytarzu. Kobieta weszła pierwsza. Wysoka i smukła, odziana z męska, w skórzane czarne spodnie, koszulę i kurtkę, stawiała długie kroki godne wojownika. U pasa ze skóry bazyliuszka wisiał spory miecz, lekko objający się o łydkę przy każdym stąpieniu, ale to najwyraźniej nie przeszkadzało Gaalce. Szmaragdowe oczy dziewczyny spoczęły na elfie z mieszaniną wyższości, niechęci... i odrobiny głęboko skrywanej ciekawości.

W spojrzeniu jej towarzysza była tylko niechęć.

– Witajcie. – Agrah Err uklonił się lekko i wyciągnął dłoń do Gaalki. Ręka zawisła na moment, bo dziewczynie niespieszno było odwzajemnić gest. Wreszcie, po nieskończeniu długiej chwili, zrobiła to. Miała mocny uścisk. Przyglądała się królowi elfów bez skrępowania, a on pozwalał się oceniać z błyskiem rozbawienia w oczach. Przez złączone palce poczuł pragnienia Trydnette. Nie pozwolił jednak, by zbliżyła się do jego myśli. Poczekał, aż dziewczyna cofnie dłoń, i dopiero kiedy to zrobiła, skinął młodzieńcowi. Roni gniewnie zwarł szczęki, kiedy zrozumiał, że nie doczeka się podobnego gestu co jego towarzyszka. Nim pochylił głowę, Agrah Err dojrzał, jak spojrzenie młodzieńca pociemniało. Zdziwiony gwałtownym, nietypowym dla

zimnokrwistych Gaalów zachowaniem, bez trudu wszedł w myśli młodzieńca. Nie dał jednak poznać po sobie, co w nich wyczytał.

– Sądzę, że oficjalne powitania możemy sobie darować – zaproponowała Trydnette. Minęła elfa i podeszła bliżej kominka. Roztarła zmarznięte dłonie, a potem zapatrzyła się w ogień. – Wiecie, kim jestem i z jakiego powodu mnie tu przysłano?

Agrah Err potaknął bez słowa.

– Gdzie Król Królów? – zapytała dziewczyna.

– Jeszcze nie przybył – odpowiedział elf.

– Zaprosił nas i się spóźnia?

Elfi władca uniósł brew w milczącym komentarzu. Ostatecznie Gaalowie też nie dotarli na czas. Dziewczyna spojrzała na mężczyznę wyczekująco.

– Zapewne ma powody. Tak jak i wy je mieliście, pani Trydnette.

– Wystarczy Try – stwierdziła, ignorując wściekłe spojrzenie towarzysza. – Bronisz swego krewniaka. To ci się chwali – dodała niechętnie.

– Reinghart nie jest moim krewnym, a kuzynem siostry, przecież wiesz. Poprosił mnie tylko o mediacje.

– Bo jesteś Gaalem?

– Jestem elfem, Try. Niech cię nie zmyli mój wygląd. Urodziłem się Czarnym Elfem, jako syn Czarnego Elfa. Moja babka była Gaalką, nie ja.

Dziewczyna ponownie pokiwała głową.

– Tak mi mówiono. Również i to, że nie darzycie się miłością z Królem Królów.

Agrah Err uśmiechnął się.

– Ładnie powiedziane. Oględnie. Reinghart ledwie mnie toleruje. Czasami jednak bywam mu potrzebny.

– Jak teraz?

– Jak teraz.

– Wiesz, dlaczego tu jestem, prawda? – cicho zapytała dziewczyna.

– Kraina pragnie pokoju – odpowiedział – a odrodzeni Gaalowie, nienawidzący panującego rodu Yerghartów, chcą zemsty za pogromy sprzed stulecia. Tak jak i elfy, które musiały uciekać przed Białym Kodeksem... Wszyscy naciskają Przymierze, by wypowiedziało zawarty dawno temu rozejm. Dlatego Reinghart poprosił mnie o mediacje, a ja zaprosiłem tu przedstawicieli Rad Przymierza.

– Ale wiesz, dlaczego *ja* tu jestem?

– Tak. To też wiem.

Nie kontynuował, bo drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Cała trójka spojrzała w ich kierunku, oczekując nadejścia Króla Królów. Zamiast władcy jednak



w wejściu stanął krasnolud. Biegnący za nim karczmarz zatrzymał się zniechęcony, a później zawrócił.

Nowy gość z hukiem zatrzasnął za sobą odrzwia. Poprawił czarny skórzany kubrak, otrzepał przykrótkie spodnie, za których pasem połyskiwały dwa topory, a potem podszedł do kominka. Nawet nie zerknął na młodego Gaala, a króla elfów obdarzył jedynie szybkim spojrzeniem. Całe zainteresowanie skupił na dziewczynie. Obejrzał ostentacyjnie długie szczupłe nogi Gaalki, na chwilę zatrzymał się na wąskich biodrach, złotych włosach i urodziwym obliczu, a potem na stałe utkwiał wzrok w jej piersiach.

– Znaczy trochem się spóźnił – powiedział i oblizał grube wargi. – Zaczęliście zabawę beze mnie? Jedna panna na trzech chłopca? Ciutkę mało, nie?

Try nie zareagowała. Młody Gaal za to poczerwieniał gwałtownie i odruchowo sięgnął po miecz.

– Nie pamiętam, żeby cię ktoś zapraszał, Sodi. – Uprzedzając chłopca, Agrah Err stanął pomiędzy nowo przybyłym a Gaalką.

– Jestem tu z ramienia Krasnoludzkiej Rady – odpowiedział Yudherthardere, próbując ignorować obu mężczyzn, co łatwe nie było, gdy elf zasłonił mu widok na Gaalkę. Chcąc nie chcąc krasnolud podniósł więc głowę i uśmiechnął się złośliwie do elfiego władcy. – Także się mnie zdaje, ktoś tam jednak mnie prosił. Prawiem pewien nawet, że wy, co nie?

– Echon was wysłał? – zdziwił się mężczyzna. – Aż tak gardzi mediacjami?

Niegrzeczna uwaga sięgnęła celu, bo Sodi naraz przestał się uśmiechać.

– Nie tobie, gównojadzie, decydować, kogo najszlachetniejsza Rada w mediacje śle! – wrzasnął, sięgając po toporek. Nie zdołał go jednak unieść, bo naraz żelazo zapłonęło żywym ogniem, parząc owłosioną łapę krasnoluda. Sodi odrzucił broń, wykrzykując przekleństwa jedno za drugim, i sadząc wielkie kroki, rzucił się do miski z zimną wodą. Wetknął weń rękę, a że nie przestała boleć, ryknął jeszcze głośniejsze.

Nagle nastąpiła cisza. Mięsiste wargi Sodiego poruszały się gwałtownie, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Agrah Err podszedł do krasnoluda.

– Skoro wybrano was na przedstawiciela, powinniście pamiętać, że to oficjalne mediacje. Obowiązują was dawne prawa. Nikt nie wyjmie w tej komnacie broni i nikt nie obrazi nikogo z obecnych. Przymierze wybrało to miejsce, a Król Królów je zaakceptował. Jest poświęcone Tradycją. Chroni je magia przodków. Rozumiecie, panie Yudherthardere?

Krasnolud zacisnął zęby i z wściekłością wpatrywał się w całą trójkę.

– Powiem to inaczej. – Elf uśmiechnął się chłodno. – Jeśli nie zaakceptujecie warunków mediacji, opuście karczmę. Niekoniecznie w nienaruszonym stanie. To jak będzie?

Zacięte usta Sodiego poruszyły się nieznacznie.

– Możecie powtórzyć? – grzecznie zapytał Agrah Err.

– Akceptuję, psia twoja mać – warknął krasnolud.

– Dobrze. Skoro tak pokornie przyjęliście warunki... – Elf zawiesił głos. Po chwili Sodi westchnął przeciągle. Wyciągnął rękę z miski i popatrzył na nią zdumiony. Po oparzeniach nie pozostał ślad, a i ból znikł błyskawicznie. Yudherthardere poruszył powoli palcami, a potem spojrzął na elfa spod zmarszczonych brwi.

– Wyście tego dokonali?

– Magia Przodków was przypieczętowała. Komnatę chroni zaklęcie. Nie byłoby nam jednak miło pożywać przy jęczącym z bólu krasnoludzie, więc was uleczyłem.

– Przeklęte elfy, żeby was trytony w noc każdą aż do świtania grzmocić nie przestawały – burknął Sodi, ale jakoś tak cicho, bez przekonania. Podniósł szybko toporek i wsunął go ponownie za pasek. – Dlaczego mnie zaatakowały te wasze czary, a główniarz stoi tam i kozikiem wywija, a nic go nie pali, co? – Wskazał głową Roniego.

Król elfów wzruszył ramionami.

– Nieznane są zamiary starożytnych bogów. Schowajcie broń, panie Roni... Proszę.

Młody Gaal zawahał się. Ważył w myślach, co zrobić, a każda decyzja odbijała się na jego obliczu. Wreszcie powoli wsunął miecz za pas.

– Skoro na razie zapanowaliśmy nad buzującą męskością – chłodno odezwała się dziewczyna – może usiądziemy do stołu? Czekając na Króla Królów, moglibyśmy się posilić.

– Pewnie – ochoczo przytaknął krasnolud, znowu wpatrując się w piersi Gaalki. – Przez to całe mediowanie zjadłbym coś. I dobrego miodu bym się napił. I pochędożył. Chętnaś, panna?

Dziewczyna zignorowała zaczepkę, chociaż wciąż spoglądała na krasnoluda. Samą tylko różnicą wzrostu akcentowała swoją wyższość, bo Sodi sięgał jej ledwie do piersi. Minąwszy krasnoluda, usiadła za stołem. Sodi pokiwał głową, w przymknięciu powiek ukrywając błysk uznania. Agrah Err zajął miejsce obok Try. Widząc to, młody Gaal zeszytniał i zacisnął szczęki. Sam jednak nie ruszył się sprzed kominka. Sztywny, z dłonią zaciśniętą na rękojeści potężnego gaalskiego miecza, wyglądał na gotowego do obrony... czy raczej ataku. Ponuro obserwował obu mężczyzn moszczących się obok Try i nawet nie próbował ukryć szarpiących nim emocji.

Kiedy elfi władca zaczął się już zastanawiać, czy nie użyć magii do uspokojenia Roniego, drzwi izby znowu zaskrzypiały. Tym razem karczmarzowi udało się przyprowadzić gości. Wszedł z nimi bez słowa, z niejakim przestraczem w oczach i wciąż pochylony w głębokim ukłonie, zaraz zawrócił, zostawiając trójkę przybyłych. Dwóch niedźwiedziowatych wojowników, niezwykle brzydkich, o długich, skołtunionych włosach i gęstych brodach stanęło za wysoką kobietą. W męskim odzieniu, ze smolistoczarnym warkoczem przetkanym trzema pasmami śnieżnobiałych włosów, szła cicho miękkim, kocim krokiem drapieznika. Światła pochodni igrały w srebrnych rękojeściach elfich mieczy spoczywających za wyprostowanymi plecami wojowniczkki. Krasnolud zamarł z wielką nogą indyka w pół drogi do rozwartych w zdumieniu ust. Gaalowie, oboje w ten sam sposób, zmarszczyli brwi.

Agrah Err drgnął, a potem wstał powoli.

– Witaj, królu Czarnych Elfów. – Wyraz twarzy wojowniczkki złagodniał, gdy ich spojrzenia się spotkały.

– Witaj, Kobieto Zakonu. – Elf ukłonił się oficjalnie.

– Zakonna?! – wrzasnął krasnolud, budząc się nagle z letargu. Rzucił mięso i wstał gwałtownie. – Kto, kurwa, zaprosił Zakon?!

– Zważaj na słowa, mały lordzie – cicho, bardzo cicho ostrzegła go Zakonna.

– Ja też chciałabym wiedzieć, kto zaprosił Zakon – wtrąciła się Try, wstając.

Czarnowłosa odwróciła się do niej.

– Witajcie, pani Trydnette. Zwią mnie Rosa – przedstawiła się z lekkim ukłonem. – Jestem tu w imieniu Króla Królów, pani. Jestem jego oczami, uszami i ustami. Tu i teraz ja jestem władcą Krainy.

– Przymierze miało rozmawiać z Reinghartem, nie z jego kobietą – niegrzecznie zauważyła Gaalka.

– Nie jestem kobietą Króla Królów, pani – beznamiętnie wyjaśniła wojowniczkka. – Zakon jedynie chroni swego władcę. Po to tu przybyłam. Dla ochrony Króla Królów i interesów Krainy.

– To co? Niby jego pieprzona wysokość dupy do nas nie ruszy? – dopytywał Sodi. – Za malutczyśmy dla królewskiego wypierdka? A mnie Rada zgody nie dała, co by z jakąś zakonną mediacją prowadzić. Ot i tyle!

Rosa nie odpowiedziała. Powoli odwróciła głowę i spojrzała na niskiego brodacza. Odbarwione tęczówki zdawały się dziwić głupocie mężczyzny. Patrzyła długo, pozornie obojętnie, ale Yudherthardere, przed chwilą jeszcze tak chętny do wymiany zdań, cofnął się naraz w milczeniu.

Elf zmarszczył brwi. Wsunął się w myśli wojowniczkki z krótkim pytaniem. Dostał na nie równie lakoniczną odpowiedź. Nie spodobała mu się, ale nie skomentował tego

w żaden sposób. Odsunął się od Zakonnej i podszedł do Gaalki.

– Protokół mediacji dopuszcza przedstawicielstwo. Dlatego zamiast władców Przymierza jesteście tu my. Reinghart też miał prawo przysłać kogoś w zastępstwie.

Dziewczyna nie wyglądała na uszczęśliwioną. Usiadła z powrotem i sięgnąwszy po kielich z wodą, umoczyła w nim usta. Młody Gaal tymczasem z uśmiechem czysto męskiego zachwytu nad kobietą urodą wpatrywał się w Rosę. Cały gniew, który dotychczas w nim buzował, gdzieś się ulotnił. Wojowniczką skinęła mu lekko i wolno przesuwając wzrokiem po rosłej postaci młodzieńca, zdawała się oceniać jego walory. Potem niemal z żalem przeniosła wzrok na Try.

– Nie martwcie się, pani. Będę godnie reprezentować Jego Wysokość. – Ironia w jej głosie nie umknęłaby nawet postronnym. Gaalka zacięła usta i skrzywiła się niechętnie.

Zapadła cisza. Agrah Err patrzył na Rosę długo, w zamyśleniu. Wreszcie westchnął i powiedział:

– Jesteśmy w komplecie. Chcecie zaczynać czy najpierw coś zjemy?

– Jak to w komplecie? – zapytała Zakonna. – Kraina to ja. Krasnoludy i Gaalowie są z Przymierza... a gdzie elfy z Zachodnich Łądów?

– Elfy to ja – odparł spokojnie Agrah Err. – Więc, jak widzisz, jesteśmy w komplecie.

– Myślałam, że jesteś bezstronnym mediatorem.

– Pomyliłaś się. Zaczynamy?

Przyglądała mu się chwilę. Wreszcie pokręciła głową.

– Zjedzmy najpierw. – Nawet nie spojrzała na potężnych Yorhów, ale oni, posłuszni jej myślom, podeszli do stołu i zasiedli na ławach, które z głośnym skrzypnięciem ugięły się pod ciężarem ogromnych ciał.

– Dobrze – potaknęła Gaalka i bez słowa wskazała Roniemu miejsce obok siebie. Chłopak posłusznie usiadł. Jedli w milczeniu, w pełnej napięcia ciszy, przyglądając się nieufnie jedno drugiemu. Tylko Sodi nie patrzył na nikogo ani nie jadł. Chwilowy strach już ustąpił. Na jego miejsce zjawiała się wściekłość. Gniew, z którym krasnoludy przychodzą na świat, a który nie opuszcza ich nigdy na dłużej niż chwilę, już buzował pod grubą, gęsto owłosioną skórą brodacza. Mężczyzna nie podniósł więc wzroku, by to, co czuł, nie stało się oczywiste dla wszystkich obecnych. Zaciskał palce na rękojeściach toporków, aż pobielaly mu kłykcie. Czekał. To nie było łatwe. Krasnoludy nie rodzą się z cierpliwością i nie nabywają jej z wiekiem. Nie godzą się z nieuniknionym. Przede wszystkim zaś nie potrafią czekać.

Uchodzenie za wioskowego głupka również nie było ulubionym zajęciem Sodiego. Niestety taką funkcję przydzieliła mu na czas mediacji Krasnoludzka Rada. Dlatego

też i z powodu wrodzonej niechęci do elfów, strachu przed Zakonem... i pragnienia, którego nie zechciał zaspokoić w trakcie wizyty u Pierwotnego, a które spotęgowała urodziwa Gaalka... z tych wszystkich przyczyn Sodi opuścił wzrok i zacisnął pięści. W roli, którą przyszło mu grać, niedobrze jest zdradzać uczucia.

Gaalka przyglądała się elfowi i Zakonnej. Bezskutecznie próbowała czytać ich myśli. Agrah Err nie skomentował tych prób, za to Rosa przy pierwszej uniosła brwi i z lekką ironią spojrzała prosto w skupione oczy dziewczyny. Try opuściła głowę, zaraz jednak ponownie spojrzała na siedzącą naprzeciw niej dwójkę. Czowała, że coś ich wiąże, choć nie rozmawiali ze sobą, nie dotykali się, siedzieli w bardzo przyzwoitej odległości... Ba! Nawet na siebie nie patrzyli... Try czuła to. Zmarszczyła brwi i ponownie użyła gaalskich mocy, by wejść w umysł elfa.

– *Dość* – krótkie i kategoryczne słowo pojawiło się w myślach dziewczyny. Drgnęła niespokojnie, ale więcej nie próbowała.

Roni też przyglądał się Zakonnej. Tylko jej. Nie próbował wejść w myśli kobiety, bo, w przeciwieństwie do swojej towarzyszki, nie miał takich umiejętności. No i myśli zupełnie go nie interesowały. Bez skrepowania za to podziwiał szczupłe, umięśnione ciało wojowniczkę i piękne rysy, wskazujące elfie pochodzenie. Kiedy odbarwione tęczówki sięgnęły spojrzenia młodzieńca, ten uśmiechnął się szeroko, zachęcająco. Kobieta Tradycji uniosła lekko brwi, ale, podobnie jak usiłowań Try, nie skomentowała i tego zaproszenia. Z rozbawieniem obserwowała jednak, jak zachowanie młodzieńca irytuje jasnowłosą wojowniczkę. Dziewczyna zacisnęła usta i rzucała gromy spojrzeniem.

Milczący posiłek dobiegł końca. Służka z karczmy pozbierała naczynia, Yorhowie wstali od stołu i wrócili do drzwi, by stanąć na straży niczym dwa olbrzymie posągi.

– Nie podoba mi się to – cicho zauważyła Try.

– Co wam się nie podoba, pani? – zapytała Rosa.

– Oni. – Wskazała olbrzymów. – Oni mi się nie podobają. Jakbyśmy zostali uwięzieni, a oni byli strażnikami. A z racji tego, że komnata nie pozwala wyjąć broni, nie wyjdziemy, dopóki oni nam nie pozwolą, prawda? Gołymi rękami żadne z nas ich nie pokona, a zapewne zabezpieczyłaś ich przed magią.

– Macie rację, magia nie działa na Yorhów. Już nie. To wolni wojownicy – oświadczyła chłodno Zakonna. Pozornie rozluźniona oparła się o drewnianą ramę ławy. – Nikt was jednak nie zatrzyma siłą. Jeśli zechcecie, możecie w każdej chwili wyjść.

– A oni wypuszczą nas ot tak, po prostu?

Rosa nie odpowiedziała.

– Nie wypada sugerować kłamstwa w miejscu mediacji, Try – wtrącił elf.

– To nie była sugestia, Err – łagodnie zauważyła Zakonna, pierwszy raz od dłuższego czasu spoglądając na siedzącego obok niej mężczyznę. – A pani Trydnette ma prawo żywić obawy. Doświadczenie wieków, prawda? – Przeniosła wzrok na Gaalkę. Ta potaknęła bez słowa. – Niepotrzebnie. Jestem tu w imieniu Króla Królów. On zaś chce pokoju. Chce pogrzebania przeszłości.

– Przeszłości pogrzebać się nie da – poważnie oświadczyła dziewczyna. – Zbyt wielu przypłaciło ją życiem.

– Da się, pani, chociaż, macie rację, nie jest to łatwe. Przecież to wasi teologowie uczą, że nie można obciążać dzieci grzechami ojców.

– Zwyczajni też mawiać, że nie da się stworzyć przyszłości, zapominając o przeszłości.

– Lecz można pamiętać przeszłość, wybacząc ją.

– By jednak wybaczyć, trzeba usłyszeć prośbę o wybaczenie.

Zapadła cisza. Kobiety przyglądały się sobie. Rosa wolno sięgnęła po kielich z winem.

– Czy elfy z Zachodnich Łądów też oczekują przeprosin? – zapytała, smakując łyk cierpkiego trunku. Źrenice odbarwionych oczu rozszerzyły się łagodnie, gdy spoglądała na króla elfów.

– Na początek – przytaknął mężczyzna. – A także zwrotu zagarniętych Białym Kodeksem ziem i miejsca w Najwyższej Radzie Krainy.

Przeniosła wzrok na krasnoluda.

– A wy, mały lordzie? Czego pragnie Rada Krasnoludzka?

Sodi milczał przez chwilę. Potem uśmiechnął się zjadliwie.

– Północnych Kopalni, wszystkich Północnych Kopalni – recytował z pamięci z zimnym błyskiem w ciemnych oczach – miejsc w Radzie, prawa do posiadania niewolników, praw handlowych w całej Krainie, prawa do wielożeństwa i prawa dziedziczenia dla Stroidhera.

Oczekiwał gwałtownej reakcji ze strony Zakonnej. Zawiódł się, bo kobieta pozostała kompletnie obojętna.

– Rozumiem – powiedziała chłodno i odwróciła się do Gaalów.

– Znaczy co rozumiecie? – Krasnolud podniósł głos.

– Rozumiem, że Rada Krasnoludzka nie chce pokoju z Krainą – wytłumaczyła Zakonna. – Gdyby chciała, nie rzucałaby absurdalnych żądań.

– Że niby co?! Chłopak jest synem Reingharta!

– Spokojnie, Sodi – uciszał krasnoluda elf.

– Nie, Err, niech mówi. Macie rację, mały lordzie, chłopak jest synem pana Krainy. Został przez niego uznany i nadano mu tytuł. I starczy. Oficjalnie Król Królów nie ma

potomka, który mógłby dziedziczyć tron. Dzieciom z nieprawego łoża Tradycja nie daje tej możliwości.

– Wy tak gadacie. My...

– Ale to nasza Kraina – przerwała mu Rosa. Ponownie spojrzała na jasnowłosą wojowniczkę. – Król Królów przystaje na oficjalne przeprosiny. W zamian prosi o rękę gaalskiej szlachcianki. Waszą rękę, pani Trydnette.

– Nie! – jednocześnie krzyknęli młody Gaal i krasnolud. Zakonna zignorowała obu. Przyglądała się dziewczynie. Try najwyraźniej spodziewała się takiej propozycji, bo patrzyła na Zakonną z obojętnym wyrazem twarzy. Czekwała.

– Królowa zmarła przed pięcioma laty. Król wciąż nie ma dziedzica. Taki mariaż uciszy wiele głosów i zaprowadzi pokój dużo skuteczniej niż jakiegokolwiek traktaty – kontynuowała Rosa w pełni świadoma, że dziewczyna wie to wszystko. – Gaalom zaś da możliwość udziału w koronie, jeśli powijecie Reinghartowi syna.

– Nie, Try, nie możesz! – Roni chwycił dziewczynę za ramię. – Nie możesz, to Yerghart, oni wymordowali naszych przodków. Nie możesz! Ja... ja... Nie możesz.

Jasnowłosa Gaalka wyswobodziła delikatnie rękę i nie patrząc na chłopca, zwróciła się do przedstawicielki Króla Królów:

– Przeprosiny nastąpią przez zaślubinami. – W lekko drżącym głosie znów pojawił się syreni zaśpiew.

– Jeśli taka wasza wola – zgodziła się Zakonna. Potem spojrzała na Agrah Erra. Nie, on też nie był zaskoczony. – Król Królów przystaje na warunki elfów z Zachodnich Łądów. Wszelkie porozumienia podpisze jeszcze przed zaślubinami. Liczy również na to, że przedstawiciele elfich rodów pojawią się na tej uroczystości.

– Elfie rody są zaszczycone zaproszeniem – ogłosił mężczyzna z leciuteńką ironią, dostrzegalną jedynie dla Rosy. – Kiedy Król Królów i pani Trydnette złożą ślubowania?

– Jak najszybciej. Król zaproponował, byście, pani, już jutro wyruszyli ze mną do stolicy. Ślub mógłby się odbyć w Dniu Wiosennego Przesilenia. Czy to wam odpowiada?

– Tak – bez wahania odpowiedziała dziewczyna.

– Nie! – krzyknął w tej samej chwili Gaal. Ponownie chwycił wojowniczkę i szarpnąwszy, zmusił ją, żeby spojrzała na niego. – Nie możesz!

– Mogę, Roni – odparła z wyższością. – Nie wiedziałeś, dlaczego to właśnie ja miałam reprezentować nasz ród? To mój obowiązek. Tak będzie.

– Nie! Nie pozwolę!

– Ty?! – Roześmiała się pogardliwie. – I co zrobisz? Wielka Rada podjęła decyzję. Nie wolno się jej sprzeciwić. A już na pewno nie zrobi tego jakiś chłop z Szerokich

Lasów! – Wyrwała się i nie patrząc na młodzieńca, podeszła do Zakonnej. – Będę gotowa z rana. Wszystkie szczegóły możemy omówić w drodze. Dobranoc.

– Dobranoc. – Rosa skłoniła się grzecznie.

– Panowie... – Gaalka ukłoniła się, beznamyślnie przesuwając spojrzeniem po elfie, krasnoludzie i Gaalu. Udała, że nie zauważa rozpaczy tego ostatniego. Podeszła do wyjścia, a Yorhowie rozstąpili się przed nią z szacunkiem i otworzyli drzwi.

Kiedy wyszła, Rosa spojrzała na Sodiego. Oczekiwała gwałtownej reakcji, co najmniej takiej jak młodego Gaala. Doskonale wiedziała, że krasnoludom zależy na bezzennym stanie władcy. Z uporem próbowali osadzić na tronie królewskiego bastarda, mimo że sam chłopak nie był zainteresowany koroną, a Rada Krainy i Reinghart byli temu zdecydowanie przeciwni. Rada Krasnoludzka uznawała pierwsze czytanie Tradycji, według którego to właśnie pierwotny królewski syn, bez względu na jego pochodzenie, powinien dziedziczyć. Może też liczyli na przyszłe wpływy... Kto zresztą zrozumie małych brodaczy?

Sodi nie patrzył na Zakonną, lecz na drzwi, za którymi znikła Try, i ku zdumieniu kobiety Tradycji, milczał.

– Panie Yudherthardere?

Spojrzał na nią obojętnie.

– Co?

– Skoro elfy i Gaalowie doszli do porozumienia z rodem panującym, czy nadal upieracie się przy swoich warunkach?

– No.

– Wasza wola. – Wzruszyła ramionami. – Ja też pójdę odpocząć. – Uśmiechnęła się do elfa, a potem spojrzała na Gaala. Chłopak wyglądał na kompletnie załamane. Ze szmaragdowych oczu wycierała bezdenne rozpacz. Nie patrzył już na Rosę z zainteresowaniem, a kiedy skinęła mu głową, nie odpowiedział. Usiadł ciężko na ławie zapatrzony we własne, wsparte na kolanach dłonie.

– A zatem dobranoc – pożegnała się cicho Zakonna i wyszła, a Yorhowie ruszyli za nią.

– Ano, mnie też trza iść. Ino nie samemu. Tyle się człek namediował, że mus odpocząć, to i może trza mnie pójść dupy do ogrzania poszukać – zauważył filozoficznie Sodi. – Zdaje się mnie, że ta wasza dziewczuszka to pochędożyć chyba nie będzie chciała, co nie?

Świadomie drażnił młodego Gaala. Ten jednak tylko uniósł głowę i smutno spojrzał na krasnoluda.

– Ano pewnie nie. – Brodacz pokiwał głową. Przez chwilę przyglądał się Roniemu z zastanowieniem, by wreszcie, już bez słowa, pójść w ślady kobiet.



Agrah Err westchnął. Nie, zdecydowanie nie miał ochoty rozmawiać z zakochanym dzieciakiem, któremu właśnie zawalił się świat. Niestety czasami trzeba zrobić co trzeba. Usiadł obok chłopca i czekał.

– Wy też wiedzieliście? – wyszeptał wreszcie Roni.

Elf nie zapytał o czym.

– Wiedziałem.

– A ja, głupi, myślałem, że Rada wysłała nas, by zgładzić Reingharta.

– Nie, śmierć Króla Królów nie przyniosłaby niczego dobrego. Krasnoludy dalej żądałyby sukcesji dla Stroidhera, a Rada Krainy chciałaby osadzić na tronie królewskiego siostrzeńca. Rozpoczęłaby się nowa wojna i nikt by nie zyskał. A tak Try zwiąże dom Yerghartów z Gaalami i kto wie, może następcą zostanie pół-Gaal?

– Nie mówcie tak – cicho poprosił młodzieniec. – Na myśl o tym, że ona...

Elf położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Wiem, że to trudne, Roni.

Gaal pochylił się jeszcze bardziej. Tak, by jego rozmówca nie dostrzegł wzbierających w jego oczach łez.

– Wy wiecie, prawda? Wiecie, że ja...

– Wiem.

– Od zawsze miałem świadomość, że nie jest dla mnie... Ale Yerghart? Jest stary... i... No, stary.

– Reinghart nie jest złym człowiekiem, Roni.

Chłopak podniósł oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– Pójdę już spać – powiedział cicho młodzieniec. Elf uśmiechnął się ciepło i skinął głową.

Czasami trzeba słuchać, a czasami użyć magii. I dać dzieciakowi odpocząć.

\*

Agrah Err już prawie zasypiał, gdy rozległo się pukanie. Zmęczony poczekał, aż ktoś po drugiej stronie drzwi ponowi prośbę o wpuszczenie. Miał przy tym głęboką nadzieję, że tak się nie stanie i będzie mógł odpocząć. Stukanie nie ustawało, więc król elfów z ponurą miną zwał się z pościeli. Nie pytał, kto puka, bo ledwie dotknął skobla, już wiedział. Tak jak wiedział, po co ten ktoś przychodzi. Westchnął, a potem otworzył, wpuszczając dziewczynę, i zamknął za nią.

W słabym świetle dogorywającej świecy rozpuszczone długie włosy Gaalki lśniły niczym płynny miód. W oczach strach mieszał się z błaganiem. Nie wiedziała, jak zacząć i co powiedzieć, a Agrah Err nie zamierzał jej pomagać. Mimowolnie poczuł

gniew na Reingharta za to, że to z jego winy dzieje się to, co się dzieje, i że, również z jego winy, będzie musiał zranić to piękne stworzenie.

– Chciałam cię prosić o przysługę. – Głos dziewczyny nie drżał chyba tylko dlatego, że szeptała.

– Try... – Pomyślał, że może jednak trochę jej pomoże, ale nie pozwoliła mu skończyć.

– Nigdy wcześniej nie byłam z mężczyzną, a on jest stary i brzydki... Chciałabym, chociaż raz, sprawdzić, jak to jest... – mówiła szybko, z każdym słowem podnosząc nieco głos. – Dlatego przyszłam... Chcę cię prosić, żebyś był moim pierwszym. – W ostatnim słowie pojawił się histeryczny zaśpiew.

Elf widział, ile kosztowała Try ta wizyta. Gaalskie szlachcianki wychowywano na wojowniczkę. Nigdy nie błagały, nigdy nie oczekiwały pomocy. Brały, co chciały i kiedy chciały. Tak wychowywano panny z najlepszych rodów. Tak wychowano jego gościa.

Westchnął ponownie, konstatuując niechętnie, że robi to ostatnio częściej niż niejedna panna. To też była wina Reingharta.

– Dlaczego nie pójdziesz do Roniego? – zapytał miękko.

– On... – zawahała się. Umknąwszy spojrzeniem, odpowiedziała pozornie obojętnie: – Nie chcę prostego chłopca na pierwszy raz.

– Kiepsko kłamiesz, panno Trydnette. Spróbuj odpowiedzieć tak, bym uwierzył.

Cofnęła się lekko.

– Jakie to ma znaczenie, dlaczego wybrałam ciebie?

– Dla mnie ma, moja droga. Więc...?

Odwróciła się i podeszła do ciemnego okna. Elf czekał.

– Jeśli ci odpowiem, zrobisz to? – zapytała.

– Spróbuj.

Spojrzała na niego. W półmroku Agrah Err dojrzał, jak rysy dziewczyny miękną, a oczy zachodzą łzami. Bardzo się starała, by tego nie dostrzegł. Przymknęła powieki, a gdy je uniosła, po łzach nie pozostał ślad, wyschły pod magicznym zaklęciem.

– Ro jest delikatny. Kocha mnie. Zawsze wiedziałam, że tak jest. Próbowałam go ranić, próbowałam zabić to, co czuje... co czujemy, ale nie potrafiłam. Gdybym poszła do niego... to by było nieuczciwe, dać mu ten jeden raz i kazać zapomnieć. Nie chcę, by cierpiał.

– Trochę na to za późno.

Zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w skórę. Opuściła wzrok i kontynuowała cicho:

– Nie chcę, by cierpiał bardziej. Jutro się rozstaniemy. On wróci do Szerokich Lasów, znajdzie kogoś, z kim będzie szczęśliwy... Nie mogę go obarczać takim

wspomnieniem.

– A mnie możesz?

Poderwała głowę i twardo spojrzała w oczy mężczyzny.

– Ty to co innego. Nie czujesz do mnie tego... tego co on. Będę dla ciebie jak ta służka dla krasnoluda, tylko ciałem, niczym więcej.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na nią długo, poważnie.

– A mój honor, Try? – zapytał wreszcie. – Przyjęłaś oświadczyzny kuzyna mojej siostry. Jak mogę cię teraz wziąć?

– Nie lubicie się. – Głos dziewczyny zadrżał.

– Nie, nie lubimy się. To nie zwalnia mnie z honorowego zachowania względem Reingharta, względem jakiegokolwiek człowieka.

Samotna łza, niechciana i silniejsza niż czary, spłynęła po pięknej twarzy Gaalki. Otarła ją wierzchem dłoni szybkim, nieco gniewnym gestem.

– I to dlatego? – zapytała urażonym tonem. – Nie przez nią? Też kłamiecie, królu elfów. Tylko lepiej niż ja.

Nie odpowiedział, a dziewczyna mówiła dalej:

– Nie tkniesz mnie przez nią, nie przez Króla Królów. Całkiem bez sensu – zachnęła się, odwracając głowę. Ruszyła ku drzwiom, ale nim wyszła, popatrzyła na elfa, tak jakoś smutno, współczująco. – Ona nigdy nie będzie twoja. Wiesz, prawda? Nigdy nie będzie, tak jak ja nie będę Ro.

Wyszła cicho, zamykając za sobą drzwi. Nie próbował dyskutować z Try, bo przecież miała rację. Tak, wiedział, że miała rację. Pokręcił głową na wpeł gniewnie i podszedł do okna. Mrok na zewnątrz bynajmniej nie działał kojąco. Agrah Err wsparł czoło o zimną szybę i przymknął oczy.

– To okrutne, mój drogi. – Jedwabisty głos wyrwał go z rozmyślań. – Zostawić tak dziewczynę bez pocieszenia.

Rosa stała w drzwiach, opierając się o framugę. Dziwne, że Agrah Err nie usłyszał, kiedy weszła. Teraz zaś nie mógł oderwać oczu od szczupłej sylwetki Zakonnej. Bez względu na czas, jaki dzielił ich kolejne spotkania, zawsze drżał na widok tej kobiety. Nieustannie, od dnia, w którym znalazł ją niemal zamarzną w śniegu i ledwie zdołał odratować, od chwili, w której pomógł jej dokonać zemsty... nieustannie pragnął Rosy. Chociaż nigdy nie byli tak blisko, jak by tego chciał. Patrzył więc, z zachwytem podziwiając długie, smukłe nogi osłonięte jedynie sięgającą do połowy uda koszulą.

– Chciałabyś... – Musiał odchrząknąć, bo naraz zaschło mu w gardle. – Chciałabyś, żebym ją pocieszył?

– Wykastrowałabym cię, gdybyś to zrobił. – Wzruszyła ramionami, wchodząc do izby. Drzwi za jej plecami zamknęły się bezdźwięcznie. Przeszła przez pomieszczenie

tym swoim miękkim krokiem drapieżnika i usiadła na łóżku. – Co nie zmienia faktu, że to było okrutne.

– Twojemu królowi chyba nie spodobałyby się te słowa.

– Pewnie nie – uśmiechnęła się lekko – ale dziewczyna ma rację. Reinghart jest stary i brzydki, a jej coś się należy za poświęcenie dla gaalskiej rasy i pokoju w Krainie.

– Mam jednak do niej iść? – zaryzykował.

Warknęła cicho, a odbarwione tęczęwki momentalnie pociemniały.

– Spróbuj. – Niski głos, który zwykle unosił włosy na karkach przeciwników Zakonnej, podziałał i na mężczyznę, chociaż w zupełnie inny sposób. Niemal słyszał bicie własnego serca.

Odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Czego ty ode mnie chcesz, Roso? – zapytał miękko.

Spojrzała mu w oczy, odpowiadając bez słów, a on zadrżał.

– A co z Try? – zapytał słabo.

– Damy jej to, czego potrzebuje. – Wstała i podeszła do elfa. Łagodnie położyła dłoń na jego piersi. – Damy jej jedną wspaniałą noc, którą będzie wspominała przez resztę życia. Noc z mężczyzną, który ją kocha... z wzajemnością.

– Nie pozwoli na to.

Rosa uśmiechnęła się słodko, rozplątując szczupłymi mocnymi palcami troczki koszuli Agrah Erra.

– Nie będziemy jej pytać, Err. Użyjemy zwierciadlanego zaklęcia... Ty i ja, ona i młody Gaal. Nie zdołają się oprzeć. – Powoli zsunęła koszulę z ramion elfa i z zachwytem zapatrzyła się w odsłoniętą pierś mężczyzny.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

– A co z obietnicą, że ja i ty nigdy...? – zapytał cicho.

Uśmiechnęła się z czułością.

– Czasami, kochany, trzeba robić to, co... – Nie zdołała dokończyć, uciszona jego nagłymi ustami.

\*

Obudziło ją przywołanie. Ciche jak westchnienie wołanie Yorhów na granicy jawy i snu. Momentalnie otworzyła oczy. Agrah Err spał, obejmując ją tak mocno, jakby bał się, że zechce uciec. Uśmiechnęła się i delikatnie wyswobodziwszy rękę, odsunęła splecione czarne włosy z twarzy kochanka. Obudził się w tej samej chwili, a potem spojrzał na nią już całkiem przytomnie.

– Wołają mnie – szepnęła. – Śpij.

Nie pytał, kto, gdzie i, choć straszliwie chciał to wiedzieć, czy wróci. Uchwycił jedynie rękę Rosy i pocałował jej wnętrze. Na chwilę czas się zatrzymał, ale zaraz dziewczyna wyskoczyła z łóżka. Narzuciła swoją koszulę i, po sekundzie zawahania, spodnie Agrah Erra. Przy drzwiach stanęła i spojrzała na elfa.

– Wrócę – odpowiedziała na niezadane pytanie i wybiegła w mrok korytarza.

\*

Wbrew zapewnieniom Sodi nie zamierzał spędzić nocy na chędożeniu. Co prawda domagał się głośno dziewczki u karczmarza, ale kiedy ta przyszła, kazał jej zostać w izbie, a sam wyszedł. Plany, które układał z takim pietyzmem, wzięty w łeb i musiał na szybko wymyślić coś nowego. Szybko, bo czas się kończył, a Najwyższa Rada bardzo liczyła na jego doświadczenie. Przemknął, o ile oczywiście można tak powiedzieć o istocie jego postury, korytarzami aż przed drzwi izby, w której miała spać Gaalka. Wcześniej już, za odpowiednią odpłatą, dowiedział się, gdzie to jest. Nie, nie miał nadziei, że zdoła pokonać Try w uczciwej walce. Może i panna była słodka i ładniutka, ale Gaalki uczono walczyć, kiedy jeszcze gruchały w kolebce. Nie było lepszych wojowników wśród żywych. Sodi Yudherthardere kiedy musiał, potrafił sprawiać wrażenie prostaczka, ale na pewno prostaczkiem nie był. Wyciągnął zza paska sztylet i czekał, aż dziewczyna zaśnie. Cholera z tymi nakazami, które nie pozwolą mu dopuścić do Reinghartowskiego ożenku. Nic, że honor, że dziadunio w grobie się telepią, a pradziadowi kij by się i pewnikiem na plecach Sodiego od razów połamał za samo ino kozika przeciw śpiącej podniesienie. Pieprzony Echon, co to go ku zgubie Sodiego Mistrzem Rady obrali, obwarował mediacje czarami, więc choćby i Yudherthardere nie wiedzieć, jak pragnął owego kozika nie użyć...

Skrzypnięcie drzwi przerwało rozmyślenia krasnoluda. Kiedy zobaczył Gaalkę, zawahał się. Coś w postawie Try, w ruchach, sprawiło, że przyszła mu do głowy inna myśl. Taka, co to krasnoludzkie sumienie od zbrodni ratowała. Co by było, gdyby... Przyglądał się, jak Gaalka biegnie do izby elfa i stuka do jego drzwi. Nie, nie może być... Niby panna śliczniutka, a elf miał swoje potrzeby, ale Sodi dałby se tam coś urządzić... nie żeby zaraz coś ważnego czy do szczęścia krasnoluda i co czas jakiś bogów wzywania potrzebnego, ale coś tam może by i dał, że Agrah Err prędzej zaciągnie w pościel Zakonną. Krasnolud splunął za siebie. Źle tym mianem gębę kalać, oj, źle.

Dość, że elf wpuścił Gaalkę.

Yudherthardere przysunął się bliżej wejścia, kierowany bardziej niezdrową ciekawością i narastającym podnieceniem niż potrzebą wypełnienia misji. Ech, psi syn w zad dżgany po wielokroć, było jednak biednemu krasnoludowi z zaproszenia Yasy skorzystać, bo we łbie mu się mąci od samego ino dumania. Gdyby tak zerknąć albo

przynajmniej usłyszeć... Mimo pobudzenia miał wystarczające doświadczenie, by zdążyć się schować, gdy dziewczyna otworzyła drzwi. Więc jednak miał rację. Toż głupi gównojad. Jakby taka panna przed Sodim nogi rozkładała, nie zawahałby się nawet na chwilę. Nie no, cholera, szkoda dziewczki. Te sterczące cacuszka... nie mógł od nich oderwać oczu przez pół wieczoru... Szkoda, cholera, szkoda.

Już miał wyjść z ukrycia, ale naraz błyskawicznie się cofnął, niemal wciskając potężne ciało w ścianę. Zakonna, psia jej mać, wlaźła do elfa. Ma ostrouchy szczęście. Tyle że Sodi teraz znów musiał czekać.

Nim jednak odważył się ruszyć za Gaalką, poczuł znajomą, lekko palącą woń magii. Tańczyła na korytarzu jak opętany motyl, drżąc, wijąc się wstęgami w mroku. Tropiciel pod skórą Sodiego zawył boleśnie, próbując gwałtownie wyrwać się na wolność. Moc go drażniła. Zwierciadlane zaklęcie. Zmusza zaklętych do robienia tego co rzucający czar.

Sodi chwilę zastanawiał się po co... Ból głowy otępił myślenie, a próby zapanowania nad Tropicielem prawie paraliżowały. Naraz Yudherthardere pojął. Prawie się uśmiechnął, ruszając korytarzem. Zakonna zmusi Gaalkę do chędożenia z gówniarzem. I dobrze. Bardzo dobrze. Lata pracy dla Najwyższej Rady nauczyły Sodiego umiejętności dynamicznej zmiany planów. Dzięki, tfu, tfu, Zakonnej, nie musi już zabijać Gaalki. Chwałaż wszelkim bogom Krainy, a i kilku z innych światów! Roześmiał się cicho i ruszył do pokoju królewskiej narzeczonej. Po chwili zastanowienia powoli otworzył drzwi. Tak jak myślał, dziewczyny nie było w izbie. Sodi wiedział, gdzie nocuje Gaal, tak że udał się tam bez zwlekania.

Zostawili uchylone drzwi, więc zerknął przez nie. Musiał się upewnić. Jasne, że musiał... Gwałtownie wciągnął powietrze. Oż do wszystkich niedorzętnych trytonów, ale ona piękna. Gapił się jak zaczarowany, nie potrafiąc oderwać wzroku od młodych, całujących się i rozbierających. Ich szybkie oddechy, ciche jęki, szepty rozkoszy burzyły krasnoludzką krew. Nie ruszył się przed izby, dopóki kochankowie nie skończyli.

A i wtedy, zamiast zrobić to, co powinien każdy profesjonalny szpieg na usługach Najwyższej Rady, czyli wynieść się z karczmy i popędzić ze sprawozdaniem, wrócił do swojej izby. Dziewka wciąż na niego czekała.

Przecież, niech on więcej pulchnych ud Bezzębnej Orny nie ogląda, jeszcze zdąży, a każdy szanujący się krasnolud o swoje potrzeby dbać musi, co nie?

\*

Szarzało, gdy Sodi wreszcie odesłał służącą. Zamiast jednak przyjemnego zmęczenia po spełnieniu odczuwał tylko złość. Na siebie i przeklętych gaalskich gówniarzy. Aż z niego Tropiciel, nie? Tropiciel, psia jego mać, taniego miodu i sprzedajnych

podfruwajek! Nic dziwnego, że go biorą za wioskowego głupka, bo i mądrzejszy od takowego nie jest. Powinien, cholera, być już daleko stąd, zmylić pościg i gnać do Południowych Kopalń, gdzie obradowała Najwyższa Rada. No, nie ma co łąć, szpieg z niego jak z koziej dupy karczma! Dawno już taki durny nie był, oj, dawno! Wściekły wylazł z pościeli, ubrał się i ruszył do stajni.

Wkładał właśnie nogę w strzemię krasnoludzkiego kuca, gdy ich zobaczył.

– Kurwa – wymsknęło mu się na głos.

– Nie tym razem. – Zakonna uśmiechnęła się chłodno.

– Podumać zawsze miło – burknął cicho.

– A gdzież to się wybieracie, panie Yudherthardere, o tak wczesnej porze? – Podeszła do niego powoli. Dwaj Yorhowie zostali przed wejściem do stajni. Najwyraźniej Sodi nie wydał się im wystarczającym zagrożeniem. W innych okolicznościach poczułby się urażony. Teraz jednak za bardzo był skupiony na czarownołej wojowniczkę i jej broni. Tym razem bowiem dwa srebrne elfie miecze nie tkwiły za plecami dziewczyny. Trzymała je w dłoniach, pozornie odprężona, lecz, widział to wyraźnie, gotowa do ataku.

– A co wyście się tak uczepili jak poborca przed ostatnimi zniwami, ha? Żem se tu poużywał – uśmiechnął się krzywo – z wami już nic nie wymediuje, więc trza się brać.

Rosa wciąż się uśmiechała, wciąż tak samo zimno.

– Wystarczy już, Sodi. Przestań udawać chamskiego prostaczka. Oboje wiemy, że urodziłeś się w szlachetnej krasnoludzkiej rodzinie i skończyłeś syrellski uniwersytet.

Krasnolud zamarł w pół drogi na koński grzbiet, po czym opadł nań tak ciężko, że co nieco go zabolowało.

– Oż... – jęknął głośno. Zszokowany i skrzywiony z bólu, wpatrywał się w odbarwione, mlecznobiałe tęczówki.

– Nie dziw się tak, jestem Zakonną po wszystkich Przemianach, żadna magia mnie nie zwiedzie, a już zwłaszcza marne krasnoludzkie kryjące zakłęcia.

– Zakonne Zwierciadła lepsze, co?

– Zauważyłeś – powiedziała kobieta z cieniem uznania.

– No jak można było nie zauważyć, jak ochoczo gaalska panna rozłożyła nogi przed tym gładkolicym gówniarzem. – Myślał intensywnie, przyglądając się kobiecie i olbrzymom. Błyskawicznie kalkulował szanse, wymyślał sposoby, które pomogłyby mu wyjść cało z tej opresji. – A jakoś wcześniej się do niego nie garnęła.

– To jeszcze nie oznaczało zakłęcia. Żeby go wyczuć, poznać rodzaj, musisz być wprawionym Tropicielem. Nie żebyś mnie jakoś specjalnie zaskoczył. Myślałam co prawda, że Rada wybrała cię tylko z powodu pochodzenia i znajomości panującego

domu, ale od dawna chodzą słuchy, że Tropiciel w twoim rodzie przechodzi z ojca na syna.

Wściekłość, że go odkryła, powoli przytępiała wyszkolony instynkt samozachowawczy.

– Pochlebiacie mi, Kobieto Tradycji, a przecie nie takiście mieli zamysł, co nie? To i mnie wypada rzec, że wdzięcznym wam ogromnie. Wasze zaklęcia sprawiły, że nie musiał kozika użyć, coby królewską narzeczoną do przodków wysłać, a potem w głowę zachodzić, czy Gaalscy Lordowie wiarę dadzą, że to Reinghartowa sprawka. Ino teraz muszę wyczekać i Królowi Królów rzec, że jego małżonka dała się wyruchać prostemu chłopu. Co powiecie? Kiedy rzec? Zaraz po ślubie czy dopiero gdy powije zielonookiego bękartą? Tak, macie rację, dopiero wtedy. Bardziej zaboli i pewniej skaże królową na powolną śmierć. Potem przyjdzie znów czekać, aż Gaalowie rozniosą Reingharta, i wreszcie osadzić na tronie prawowitego następcę.

Przez chwilę Rosa wpatrywała się uważnie w krasnoluda, aż w końcu pokręciła głową z chłodnym uśmiechem.

– Nie jest zbyt mądrze, drogi Sodi – mówiła cicho, lecz tak wyraźnie, że jakaś ledwie pamiętana iskra strachu spłynęła wraz z kroplą potu po plecach krasnoluda – zdradzać zawczasu swoje zamierzenia.

– A co możecie mi zrobić? To wciąż teren mediacji, a ja, jak widzicie, przezornie odłożyłem broń. Prawo Zakonu nie pozwoli wam mnie tknąć. Waszych wojów ograniczają te same zasady. Na co się tak gapiacie? – Obejrzał się niespokojnie, podążając za spojrzeniem kobiety. Zbyt późno jednak, by mógł zareagować czy uchronić się przed śmiertelnym ciosem zadany potężnym gaalskim mieczem.

– Na niego – odpowiedziała spokojnie Rosa. – Nie możesz spać, Roni?

Chłopak wyciągnął miecz z drgającego ciała krasnoluda. Powolnym, dokładnym ruchem wytarł ostrze o kubrak umierającego i wsunął w pochwę u pasa.

– Jakoś nie. – Szmaragdowe oczy, poważne, niemal ponure, spojrzały na wojowniczkę. – On mówił prawdę? Jeśli Reinghart się dowie, zabije Try?

– Dowie się? O czym miałyby się dowiedzieć?

Zamrugął szybko.

– Bo ona... Ona już nie będzie...

– Będzie – przerwała mu spokojnie.

– Ale...

– Będzie niewinna, jak była wczoraj. Magia Zakonu. Magia Czarnych Elfów. Nikt nigdy nie dowie się o tym, co było, Roni. A teraz idź do niej, wkrótce świta. Zostało wam mało czasu. – Odwróciła się, beznamiętnie przekroczyła martwego już krasnoluda i ruszyła do karczmy.



– Pani!

– Tak, Roni? – Nie spojrziała za siebie. Nocny chłód dawał jej się we znaki, a tam, w miękkiej pościeli, czekał jej własny elf.

– A jeśli...? Jeśli...? – Nie potrafił zwerbalizować myśli, bo nie był pewien, czy chce tego, co przynosiły. Weszła w jego umysł i zatrzymała się naraz, a później poważnie spojrziała w gaalskie oczy.

– Nie, z tej nocy nie będzie dziecka. Reinghart jest stary i brzydki, ale jest też moim królem. Pomogłam wam, bo rozumiem, ale nie każę mojemu panu wychowywać potomka innego mężczyzny. Jeśli Try powije dziedzica, będzie to yerghartowska krew. Rozumiesz?

Potaknął ze smutkiem.

– Mimo to dziękuję. Oboje dziękujemy.

– Chodź już, chłopcze.

Weszli razem do karczmy. W milczeniu, ramię w ramię.

\*

Król Czarnych Elfów uniósł ciężkie od snu powieki, gdy Rosa weszła pod koce. Przytulił ją, a ona owinęła się wokół niego smukłym, silnym ciałem.

– Jeszcze jedno zakłęcie? – wymruczał do ucha dziewczyny.

– Nie – szepnęła prosto w elfie wargi. – Tym razem zrobimy to bez czarów.

# RoydyiaŁIII

## Idealni

Najpierw poczuł śnieg. Mokre płatki spadające na twarz, drżące na rzęsach, topniejące na twarzy i spływające wzdłuż policzków. Poczul je, wracając z ciemności. Ze wszechobecnego mroku. Powoli, bardzo powoli przypomniał sobie miecz, ból... i śmierć. Nie otwierając oczu, powoli sięgnął ku torsowi. Miecza nie było. Palce natrafiły na wilgotną materię i chłód pokrywającego ją śniegu. Błyskawicznie spojrzął na dłoń. Pierścień znikł. Wraz z zaklęciem wrócił do właściciela. Sodi uśmiechnął się wesoło.

– A nie mówiłem, panie Yasa, że wróżki to niegłupie niewiasty? – Wstał i rozejrzał się niespokojnie.

Duszny żar drażnił mu nozdrza. Głęboki jak dym płonących wilgotnych liści, oblepiał skórę grubą warstwą. Sodi potrząsnął głową. Nie czas na zmysły Tropicielea. W izbie na pięterku karczmy Zakonna pewnie już poczuła moc ożywiającego zaklęcia.

– Przekłeta baba. – Sodi splunął przez ramię. – By ją gzy pokąsały, a osioł wychędożył. Skoro przeżyła wszystkie Przemiany, to jeśli mnie wciąż szczypią czary Pierwotnego Maga, to i ją zaraz złe duchy tu przygnają. A i pewnie sprowadzi te swoje włochate parszywce i ten elfi pomiot, a wtedy nic mnie nie ocali. Żaden ze mnie wojownik. – Spojrzął nerwowo w kierunku owego pięterka, a potem na kuca, który wciąż stał tuż obok. – Chodź no, Doru. Trza się spieszyć. – Z niezwykłą jak na swoją krępą sylwetkę zręcznością dosiadł wierzchowca i spiął go piętami. Zwierzę ruszyło galopem.

Trakt tonął w śniegu, ale dla krasnoludzkiego konia to nie był problem. Niskie i brzydkie stworzenie, tak różne od wysokich, smukłych rumaków, którymi poruszali się ludzie, elfy czy Gaalowie, bez trudu pokonywało zaspę, chociaż krótkie nogi zdawały się w nich ginać. Biegło też zdumiewająco szybko. Nie bez kozery mawiano, że krasnoludy mimo wierzchowców mikrych rozmiarów dotrzymują kroku w walce wszystkim innym stworzeniom.

– Kurwa – zaklął krasnolud, zaciskając poły grubej kurtki. Spora, nadal wilgotna plama na piersiach chłodzona zimowym powietrzem lepiała się do skóry, wywołując dreszcze. Nie musiał na nią patrzeć, żeby wiedzieć, jak jest duża. Zaklęcie zagoiło ranę,

ale na krew na odzieniu nie zadziałało. Ta zaś obficie przemoczyła tak koszulę, jak i kurtkę z dewońskiej wełny. – Gaalskie ścierwo. – Radość z życia powoli ustępowała wściekłości. Krasnolud czuł, jak gniew gorzej pod skórą, tańczy ciemnością na granicy jaźni, rozpala i rozgrzewa. Coraz szybciej, coraz intensywniej. Nie próbował go tłumić. Dzięki niemu zapominał o chłodzie i strachu. Złość pozwalała poganiać kuca i nie rozważać, czy Zakonna już wybiegła z karczmy, czy potężni wojowie dosiedli yorhowskich koni i razem galopowali śladem Sodiego. Oddalił się już na tyle od miejsca mediacji, że prawo go nie chroniło. Rosa mogła go zarznąć bez konsekwencji w postaci zakonnego sądu. Wściekłość, pałaca i niecierpliwa, pozwalała o tym zapomnieć, więc jej nie uciszał. Pochylony w siodle, bezskutecznie próbując osłonić się przed śnieżną nawałnicą, od czasu do czasu ocierał z zarośniętej, nalanej twarzy topniejący śnieg. Krew buzująca gniewem czerwieniła policzki, rozgrzewała ciało. – Pieprzone gaalskie ścierwo! – wykrzyczał w szarość poranka. Kuc, jakby go rozumiejąc, wydłużył krok.

Naraz w opętany taniec wściekłości, w splot krwistych i czarnych wstęg wijących się w krasnoludzkim umyśle wdarła się błyskawica mocy. Złocisty, oslepiający płomień rozbłysnął niespodzianie wśród splątanych myśli, z bolesną siłą niemal wyrzucając z siodła nieprzygotowanego nań krasnoluda. Jeździec wrzasnął i przywarł do końskiego karku, a kuc zatrzymał się gwałtownie. Pod przymkniętymi powiekami Sodiego wiły się, rwały, przeplatając się wzajemnie, cienie i blaski krwi ze złocistą bielą. Yudherthardere zacisnął palce, skupiając potęgę daną mu z urodzenia, a doskonałą latami na usługach Rady. Kolory blakły, światłość ciemniała, aż wreszcie wszystko zlało się w mrok zamkniętych oczu. Krasnolud westchnął ciężko i uniósł powieki.

Po sile ataku spodziewał się zobaczyć na zaśnieżonej drodze czarnowłosą wojowniczkę i jej nieodłącznych Yorhów. Dreszcz strachu przebiegł po szerokich plecach, gdy ich właściciel rozglądał się wokoło. Nie dojrzał Rosy, chyba że siedziała ukryta w dużych zamkniętych saniach podobnych do mrocznej karocy ze starych krasnoludzkich bająn. Zaprzężone w cztery olbrzymie siwki właśnie pojawiły się u bram lasu i pędziły w jego kierunku. Pociągnął uzdę kuca, by ściągnąć go z drogi, ale potężne stworzenia nagle zwolniły, by ostatecznie zatrzymać się tuż przy Sodem. Woźnica zeskoczył z kozła i stanął przed krasnoludem. Skłonił się głęboko. Uniżenie. Pomiedzy warstwami chust osłaniającymi twarz mężczyzny przed mrozem błysnęły intensywnie błękitne oczy.

– Panie Yudherthardere. – Niski, miękki głos brzmiał śpiewnie. – Moja pani pragnie was gościć. – Powoli otworzył drzwi powozu i gestem zaprosił Sodiego do środka.

Ten jednak ani drgnął. Zacisnął mocno palce na uździe i warknął cicho:

– Nic mnie do waszej pani. Podziękował, ale nie skorzystam.

– Muszę nalegać – łagodnie, ale z mocą powiedział mężczyzna. – Moja pani...

– Mnie się, mać jego świętojebliwa, spieszy – podniósł głos Sodi. – Zejdźcie mi z drogi! – Szarpnął uzdę, ale posłuszny dotąd kuc nie zareagował. – Doru – ostrzegawczym, acz wibrującym gniewem głosem szepnął jego właściciel – nie drażnij mnie. To zła chwila na twoje fochy.

Kary zastrzygł uszami, jakby świadom rosnącej furii jeźdźca, ale nie ruszył się. Krasnolud szarpnął kolejny raz. Kłykcie palców owiniętych rzemieniami pobiełały.

– Doru!

– Nie krzyczcie na konia po próżnicy, mały lordzie. – Niski kobiecy głos dobiegający z powozu uniósł włosy na karku Sodiego. Drżała w nim ta sama potężna moc, która prawie wyrzuciła go z siodła. – Nie ruszy się bez mojej zgody. A ja mu tej zgody nie dam, więc bądźcie tacy dobrzy i wsiądźcie do powozu.

Nie odpowiedział. Nie mógł, bo wciąż walczył z wizjami tańczących wstęg.

– Dalej, panie Yudherthardere – nalegał zmysłowy głos – nam się spieszy, a i wam chyba nie pilno do spotkania z Kobieta Tradycji?

– Zaczarowaliście mi konia?

– Nie ja. Wsiądźcież wreszcie, chłód mi wpuszczacie, a i tak nie odjedziecie.

Krasnolud zsunął się niechętnie z siodła i z ociąganiem wsiadł do sań.

W panującym weń półmroku bez trudu dostrzegł czarną zasłonę dzielącą pojazd, za którą ukrywała się właścicielka zmysłowego głosu. Nie musiał jednak widzieć kobiety, by czuć wibrującą wokół magię. Potężną, starożytną, zapożyczoną od bogów lub pewniej, skradzioną im moc. Paliła skórę żywym ogniem tak, że swąd drażnił zmysły Tropicielea. Drżała już nie na granicy jaźni, ale tuż pod powiekami. Realna i jaskrawa, ślepiła wewnętrzne oko milionami błyskawic, rozrywając zaklęcia mające okiełznać magię. Sodi oddychał ciężko, pamięcią sięgając po dawno wyuczone i latami nieużywane przeciwzaklęcia. Minęła ledwie chwila, chociaż jemu zdawała się wiekiem, nim znalazł odpowiednie. Szafirowa zasłona okryła blask starożytnej mocy, pograżając umysł Tropicielea w błogosławionym półmroku.

– Czujecie to, prawda? – zapytała cicho kobieta.

– Co? – odburknął niegrzecznie.

– Magię, a po co innego bym was zapraszała? Jesteście najlepszym krasnoludzkim Tropicielem. Przynajmniej tak mnie zapewniał wasz mistrz.

– Rozmawialiście z Echonem? – Musiał przyznać, że go zaskoczyła. – I polecił mnie? Mnie?

– Powiedział, co prawda, że jesteście... trudni.

– Jasne – parsknął krasnolud.

– Rzeczywiście, użył innych słów.

– Wrzód na dupie? To najłagodniejsze określenie mojej osoby, jakie przechodzi przez tę starą, nalaną gębę.

– Tak, zdaje się, że właśnie tak powiedział – bardzo poważnie odrzekła kobieta. – Uznaliśmy jednak, że cechy waszego charakteru nie są dla nas tak istotne, jak wasze umiejętności.

– Wszystko to wielce mnie pochlebia, jaśnie pani, ale, wiecie, spieszno mi niemożebnie. Muszę...

– Teraz musicie pojechać ze mną – przerwała mu. Zza zasłony wysunęła się drobniutka dłoń trzymająca zawiniątko. – To glejt Najwyższej Krasnoludzkiej Rady. Oddają mi wasze usługi, dopóki nie uznam, iż wykonaliście zadanie.

Z niedowierzaniem rozwinął pismo i szybko przeczytał. Potem jeszcze raz i kolejny. Obejrzał ze wszystkich stron pieczęć...

– O kurwa – wyrwało mu się wreszcie.

– Nie życzę sobie takiego słownictwa w mojej obecności, panie Yudherthardere.

Wzruszył ramionami, ale zmilczał.

– To dlatego mieliście władzę nad Doru? – zapytał po chwili.

– Waszym kucem? Tak. Dlatego. Tak jak i wy, należy teraz do mnie.

– Słono musieliście za to zapłacić. – Uśmiechnął się pod wąsem.

– To prawda. – Stuknęła lekko w dach i powóz ruszył powoli. – Rada wysoko ceni wasze usługi.

– Gównno tam wysoko. Głęboką sakiewkę u was wyczuli, to i wydoili ile wlezie. Dziwi mnie ino, że... a, nieważne. Glejt i tak nie daje mi drogi ucieczki. Zdaje się, żeście kupili krasnoluda.

Ciszę, która zapadła, przerywało tylko skrzypienie płóz na marznącym śniegu i głucho uderzenia końskich kopyt rytmicznie weń tłukących. Zasłona wciąż nie pozwalała Sodiemu dojrzeć twarzy swej nowej zleceniodawczyni. Magię jej towarzyszącą okiełznał nie bez trudu, a i tak miał wrażenie, że w jakiś ulotny sposób zezwoliła na to.

– Nie zapytacie? – przerwała milczenie kobieta.

– O co?

– O wasze zadanie. Nie jesteście go ciekawi?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Jak zechcecie, powiecie. Przecie nie dla rozrywki mnieście wynajęli. Za złoto, któreście w Droghercie musieli zostawić, znaleźlibyście znacznie przystojniejszego dupodajca.

– Musicie być tacy wulgarni?

– Jakeście chcieli grzecznego, gładkoliciego paniczyka, trza wam było elfa brać, nie krasnoluda.

– A mnie mówiono, że ukończyliście syrellski uniwersytet, a wasz ojciec był de Gra Yudherthardere: szlachetnie urodzony.

– No i? – Nawet nie mrugnął. – Jestem synem de Gra Yudherthardere, skończyłem szkoły, dostałem dyplomy, a potem Kraina odwróciła się dupą do krasnoludów. Musieliśmy spieprzać za morza, od nowa tworzyć Radę, szkoły, władzę. Stare rody przestały mieć znaczenie. Dlatego jestem Yudherthardere, nie ma już de Gra. I mówię, jak chcę, robię co chcę, wasze normy mnie nie ograniczają.

Znów jedynym dźwiękiem było skrzypienie śniegu i tętent kopyt.

– Nie macie racji, panie Yudherthardere – wyszeptała wreszcie kobieta. – Nikt nie istnieje poza normami. Nikt nie może robić tego, czego tak naprawdę pragnie. Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy, pojechalibyście dalej, a ja musiałabym szukać innego Tropicielea. A może wcale bym nie szukała... Kto wie?

Miękka tęsknota i głęboki smutek w jej głosie zaciekały Sodiego, choć wcale tego nie chciał. Zmrużył oczy, bezskutecznie próbując się przebić przez materię dzielącą powóz i dojrzeć rysy towarzyszki podróży.

– Czegoście się tak pozastaniali? – zapytał po chwili. – Przecież szpetniejsza ode mnie być nie możecie.

Cichy, nieco żałosny śmiech był jedyną odpowiedzią.

– Skoro już i tak żeście mnie kupili, może powinniście się przedstawić, cobym wiedział, komu służę? Glejt nie wymienia waszego imienia.

– A tak, panie Yudherthardere, macie rację. – Szybkim ruchem szarpnęła zasłonę. – Jestem Leonerre, królowa Doliny Serbithów.

No i znowu go zaskoczyła. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w piękne oblicze. Nigdy nie widział takiego ideału, takiej perfekcji rysów, głębi koloru oczu mieniących się tęczą odcieni błękitów i zieleni. Nie spotkał wcześniej kobiety o ustach tak wydatnych, na wpół rozchylonych i odsłaniających białe, idealnie równe zęby. Wszystko było doskonałe w pani Leonerre: i łagodne rysy twarzy z miętko zarysowanymi kośćmi policzkowymi, i włosy opadające złocistymi puklami na wspaniałe wypukłości lekko sterczących piersi...

– O bogini nieobyczajna, co mnie dobrze na tamtym świecie robić będziesz – wymamrotał cichuteńko krasnolud.

I w tej samej chwili zrozumiał, że chociaż siedząca przed nim kobieta jest żywym ucieleśnieniem piękna, on bynajmniej jej nie pragnie. Ba, to coś, tak nieskończenie cudne, odrzuca go, pcha do ucieczki. Był dalej i szybciej... Wzdrygnął się niechętnie.

– No... – brakło mu na chwilę słów – królowa?

– Doliny Serbithów. – Doskonała twarz, niczym maska lalki, nie drgnęła nawet. Nie szpecił jej żaden grymas.

– To niemożliwe. Dolina Serbithów jest wolna od magii, a wy... Nie obrażcie się, ale jedzie od was czarami jak od jednookiej cichodajki z najtańszego zamtuza na granicach Krainy, co to klienteli ni ma, to i na pachnidła jej nie starczy.

– Była wolna od magii – zignorowała obraźliwą uwagę – jeszcze dwa lata temu, a potem... Potem jednego ranka obudziliśmy się... tacy... tacy idealni. Na początku była euforia. Nikt nie rozumiał zagrożeń. Kobiety i mężczyźni. Wszyscy byliśmy zachwyceni. Żadnej brzydoty, żadnej skazy. Wszystko doskonałe. Sama radość. – Goryczy w jej głosie nie towarzyszył żaden grymas. – Dopiero wiele miesięcy później zauważyliśmy, że doskonałość ma wady. Samouwielenie, pycha, zazdrość. Kiedy wszyscy są doskonali, brak różnic, brak wad sprawia, że pociąg zanika. Przestaliśmy pragnąć, przestaliśmy pożądać. Dzieci przestały się rodzić, a te, które mieliśmy, odeszły. Wartości, które kiedyś były ważne, przestały mieć znaczenie.

– Jak to odeszły? – przerwał jej krasnolud.

– No zniknęły. Jednego dnia były, następnego już nie. I nikogo to nie obeszło... Niewielu to obeszło – poprawiła się. – Moja ojczyzna umiera. Zabija ją czar, a żaden z rodzimych magów nie jest zainteresowany cofnięciem go czy znalezieniem winnego. Dlatego nadwyrężyłam królewski skarbiec, targując się z waszym Mistrzem. I dlatego teraz jedziecie ze mną do Doliny. Żeby zneutralizować czar.

– Szlag. – Sodi uśmiechnął się ponuro. – A ja żem myślał, że potrzebujecie pomocy przy wskaźniku narodzin.

Lodowate spojrzenie królowej wyraźnie mówiło, co myśli ona o niewybrednym poczuciu humoru swego gościa.

– I jak to sobie, jaśnie pani, wyobrażacie? Tak z ciekawości pytam – kontynuował krasnolud ze złośliwością w małych czarnych oczach. – Co ja niby mam poradzić na ten wasz problem?

– Jesteście Tropicielem, czyż nie? Wyczujecie zaklęcie, znajdziecie tego, który je rzucił, i...

– I? Taki mam niezwykły urok osobisty, że tenże czarownik czy też, co dajcie bogowie, powabna czarodziejka, nadstawią dupska, cobym ich wychędożył? Tak to widzicie? Czy też mój przepiękny uśmiech – rozciągnął mięsiste wargi w wyjątkowo szpetnej namiastce radości – sprawi, że tenże czarownik tudzież czarodziejka bez ociągania cofnie zaklęcie?

Leonerre odsunęła się lekko. Nie trzeba było specjalnych darów, by wyczytać w tęczowych oczach obrzydzenie. Milczała.

– No – ponaglił krasnolud – jaką to żeście mi rolę przydzielili, kiedy już znajdę źródło waszych nieszczęść?

– Nie wiem – szepnęła wreszcie królowa. – Myślałam, że macie swoje sposoby...

– Jasne – prychnął – mam różne sposoby. Na proste i oczywiste zaklęcia, a nie na pierwotną moc skradzioną bogom. Nawet jeśli, a nie twierdzą, że to się uda, znajdę winnego, nie sądzę, bym z moimi umiejętnościami coś na niego pomógł. Jestem Tropicielem, nie Pierwotnym Magiem. Jego trza było wynająć.

– Yasa nie sprzedaje swoich usług – westchnęła ciężko.

– Ano, tak żem słyszał.

Przez długą, bardzo długą chwilę w powozie panowała cisza. Oboje podróżni zapatrzili się w przemykający za oknem jednostajny śnieżny krajobraz. Odległe drzewa, przysypane białym puchem niczym starcy pochyleni wiekiem, zdawały się kłaniać saniom ciągniętym przez galopujące potężne siwki.

– Znajdźcie go, to znaczy czarodzieja – odezwała się wreszcie pani Doliny Serbithów – czy czarodziejkę, a ja coś wymyślę.

– Nie chcę wam ubliżać, ale jakoś tym waszym pomysłem ciężko dać wiarę. Wolałbym wiedzieć, w co się pakuję, nim uwolnię zmysły. Nie bardzo mnie się widzi zostać przyłapanym ze ściągniętymi gatkami w ogródku potężnego maga, kiedy ulżyć mnie się zechce, co nie?

– Nie rozumiem...?

– Zrozumiecie, jak będzie trza. Jeśli będzie. Niczego nie zrobię, dopóki mi nie powiecie, co planujecie.

Minęło sporo czasu, nim, nie patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

– Zabiję...

– Aście wymyślili! – gorzko zachichotał Sodi. – Nikt was podstaw czarnej magii nie nauczył? Toż jak zabijecie źródło, żadna siła nie zdoła cofnąć zaklęcia!

Spojrzała bezradnie.

– Więc co mam robić?

Wzruszył ramionami, po czym zawinął się w skóry leżące na ławie sań i położywszy się wzdłuż niej, ziewnął potężnie. Potem odwrócił się tyłkiem do Leonerre i przymknął oczy.

– Zbyt żem sterany, by myśleć. Tak to jest, jak się chłop porządnie po ruchaniu nie wyśpi, jeno go od razu zarzynają na mrozie. Dajcie się, jaśnie moja pani – podkreślił z przekąsem – przespać, potem jakie żarcie zorganizujecie, a ja się postaram coś wymyślić.

Nim zdołała odpowiedzieć, dobiegło ją głębokie chrapanie. Krasnolud zasnął.



\*

Obudziła go cisza. I Moc. Atakowała ze wszystkich stron. Odprężony i niespodziewający się naporu Tropiciel jęknął cicho, oślepiiony feerią błyskawic. Lodowate ognie paliły skórę. Niczym połyskujące ostrza, długie, nierówne, tańczące wokoło, wsuwające się w niezdolną do oporu myśl i tnące bezbronne zmysły. Zanim zdołał uruchomić ochronę, nabrały kształtów, urzeczywistniły się i z potężnymi, jaskrawymi kłami rzuciły mu się do gardła. Wrzasnął i spadł z ławy. Z trudem wygramolił się spomiędzy grubych skór, a potem, zaciskając palce w starożytny znak ochronny, wykrzyczał zakłęcie. Jaskrawa bestia zaskomlała cicho i rozmyła się, zostawiając jedynie słaby swąd spalenizny w powietrzu.

Sodi siedział zdezorientowany na podłodze. Półprzytomnym spojrzeniem rozglądał się wokoło. Poruszył nozdrzami, próbując odróżnić realny zapach od ułudy magii... Naraz dojrzał tłące się końcówki włosów na brodzie i pospiesznie zaczął się oklepywać. Mamrotał przy tym wściekle. Wreszcie powoli zaczął się gramolić. Był sam. Królowa zniknęła z powozu. Co więcej, za oknami panował mrok, a on nie czuł już kołysania ani nie słyszał skrzypienia czy tętentu kopyt. Sięgnął ku drzwiom...

Trzy pary ciekawskich oczu wpatrywały się w zaskoczonego krasnoluda. Trzy urocze głosiki chichotały zawzięcie. Najodważniejsza z dziewcząt stojących w wejściu wyciągnęła dłoń, by dotknąć mężczyzny.

– Aleś ty brzydki. – Roześmiała się zachwycona.

– Taaa, też się cieszę – mruknął Sodi. – Szczególnie że to chyba wam zawdzięczam łupanie we łbie. Śmierdzi od was zaklęciami jak...

– Widzę, żeście się już obudzili, panie Yudherthardere – przerwała mu Leonerre i stanawszy za dziewczętami, odesłała je kłaśnięciem. – Prosiłabym was, byście powstrzymali swoje kwieciste porównania przy moich damach dworu.

– A im wolno? – żałośnie zapytał krasnolud.

– One stwierdziły tylko fakt. Piękni nie jesteście.

Wzruszył tylko ramionami.

– Gdzieśmy są? – zmienił temat.

– W królewskich stajniach. Zabroniłam was budzić. Niedawno dojechaliśmy.

– W królewskich...? Spałem tak długo? – Zmarszczył krzaczaste brwi.

– Widać byliście zmęczeni. Waszego kuca oporzadzili stajenni. Wam też przydałyby się kąpiel i świeże odzienie.

– A myślałem, że to wasze konie tak cuchną – zdziwił się wesoło, bo uporczywy ból głowy spowodowany walką z zaklęciem powoli ustępował.

– Nie. Nasze konie nigdy – podkreśliła – nie cuchną aż tak.

Przez moment patrzył na królową zaskoczony i naraz parsknął śmiechem.

– To się wam udało! – Klepnął się w uda rozradowany.

Nie zdołała powstrzymać wzruszenia ramion, a w tęczy oczach mignął cień uśmiechu. Odwróciła się jednak tak szybko, że nie był pewien, czy to nie jego wyobraźnia.

– Chodźcie – poleciała, nie patrząc na krasnoluda. – Moje damy dworu wskażą przygotowane dla was komnaty.

Dziewczęta stojące przy wejściu do stajni dygnęły lekko. Nie przestawały przy tym chichotać.

– To też efekt zaklęcia? – zapytał Sodi, wskazując panny.

– Nie – odpowiedziała królowa. – Zawsze tak miały.

Pokiwał głową.

– Oporządźcie się i posilcie – dodała Leonerre. – Wyślę do was skrybę, żebyście mogli pisma do Rady przygotować. Zapewne macie jakieś wiadomości dla waszego Mistrza.

Sodi przez chwilę milczał, rozmyślając. Zapewne powinien donieść o pochodźce przyszłej królowej. Powinien. W tym przecież celu wysłano go na mediacje... Jednakowoż zamiast czekać na jego powrót, Echon, niech go osioł wychędoży, sprzedał usługi najlepszemu Tropicielu tejże królowce. Jeśli teraz Sodi wyśle Radzie informacje, nie zostanie mu żadna karta przetargowa...

Nie, stanowczo lepiej milczeć, postanowił więc szybko krasnolud.

– Nie trzeba. Nie mam żadnych nowin.

– Jesteście pewni? Mistrz Echon nalegał...

– To se mógł sam w mediacje stawać albo mojej skromnej osoby waszej śliczności nie sprzedawać. A tak to nic nie mam do przekazania.

Królowa wzruszyła ramionami.

– Jak chcecie. Tak jak rzekłam: oporządźcie się i posilcie. Poczekam na was.

– Skoro tak grzecznie prosicie, jaśnie pani. – Rozciągnął usta w kiepskiej imitacji uśmiechu. – Prowadźcie, dziewczuszki. Może łeb mi nie pęknie od tego czaru, co nim woniejecie.

Dygnęły kolejny raz i nieustannie chichocząc, wyszły, a krasnolud za nimi.

Biegły, kołysząc biodrami, od których nie mógł oderwać oczu, mimo że ledwie za nimi nadażał, wyciągając krótkie nogi. Wbiegły lekko po schodach, a mały brzydal wspiał się ich śladem, dysząc ciężko.

– Niech mnie parchaty osioł trąca – przeklął cicho. – Ogłupiały te baby. Myślą, że co ja, długonogie źrebię? Biegać im się zachciało. Poczekajcie, panienki – dodał głośniejszym głosem.

kiedy damy dworu znikły za drzwiami jednej z komnat. Ciężko stąpając, minął ostatnie trzy stopnie, a potem wszedł za damami dworu.

I zatrzymał się gwałtownie w wejściu. Nad dużą miedzianą wanną unosiła się mgiełka pachnącej słodką lawendą pary wodnej, lecz to nie ona sprawiła, że krasnolud zmarł w progu. Nie sprawił tego też widok nowego ubrania leżącego na ogromnym, wyściełanym jedwabiami łożu. Sodi nawet nie zwrócił na to uwagi. Nie mógł.

Trzy idealnie piękne, absolutnie doskonałe i kompletnie nagie istoty stały tuż przy wannie.

– Noooo... królewno świętojebliwa – westchnął cichuteńko, a nabożnie.

Piękności podeszły do krasnoluda. Sześć rąk o smukłych paluszkach pieścotliwie sunęło po długich rudych kędziorach, wsuwało się w kołtuny brody i rozsypywało troczki brudnej koszuli.

– Jesteś taki brzydki – z ekstazą wyszeptał jeden głos.

– Taki straszliwie brzydki – z zachwytem powtórzył drugi.

– Cudnie szpetny – prawie wyjęczał trzeci.

Starożytna magia sączyła się porami kobiecych ciał i paliła skórę Tropicielea mimo ochronnego czaru.

– Weź mnie – szeptał wprost w męskie ucho zmysłowy głos.

– Weź mnie – jękliwie domagał się drugi.

– Mnie, mnie weź – zadrżał trzeci.

Zmrużył oczy, odetchnął głęboko.

– Chroń mnie – zaintonował – chroń, chroń mnie...

– Weź nas – powtórzyły chórem kobiety.

Uniósł powieki.

– A cholera, co mi szkodzi? – I sięgnął po to, co mu oferowano.

\*

Leonerre stała przy kominku, wpatrując się w wiszący nad nim portret. Kobieta na obrazie była szczupła i przeciętna, wiele brakowało jej do urody królowej. Artysta uchwycił radość w oczach modelki, głęboką, ledwie drżącą w rozchyłonych ustach, ale rozświetlającą twarz. I ona właśnie przyciągała uwagę władczyni.

Już nie pamiętała, co tak bardzo ją wtedy uszczęśliwiało.

– Pani...

Odwróciła się powoli. Młodzieniec stał w drzwiach, czekając na zaproszenie.

– Wejdz, Grem.

Podszedł i, jak jego pani, spojrzał na obraz.

– Nie pamiętam, co mnie wtedy tak radowało. Ty pamiętasz? – zapytała, patrząc w błękitne oczy młodzieńca. – Co z naszym gościem? – dodała, nie czekając na odpowiedź.

– Kończy posiłek. Zaraz powinien do was dołączyć, pani.

Skinęła głową.

– Myślicie, że on nam pomoże? – odważył się zapytać po dłuższej chwili chłopak.

– Tak, Grem. Wierzę, że on pomoże. Jest niegrzeczny i złośliwy, ale nie ma lepszego Tropicielea w Krainie. Jeśli on nie da rady, nikt nie zdoła.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w obraz z bolesną intensywnością. Kiedy z korytarza dobiegło głośnie człapanie krasnoluda, Grem przeniósł wzrok na królową. Nie patrzył jednak na doskonałe rysy, a w tęczowe oczy, w których pod warstwą magii kryła się kobieta z obrazu.

– Szczeniak, pani, krótkonogi, brzydki szczeniak, którego przyniosłem z psiarni. To on was tak rozbawił. Wciąż się przewracał.

Uklonił się i cicho wyszedł, ścigany spojrzeniem Leonerre. W wejściu minął krasnoluda, który świeży, pachnący i niezwykle zadowolony podśpiewywał pod nosem. Sodi nie spojrział na młodzieńca, ale gdy ten przeszedł obok niego, naraz przestał nucić i zmrużył powieki.

– Widzę, że wypoczęliście, panie Yudherthardere.

– Dyc. Nie byłem taki... wypoczęty... A nigdy nie byłem aż tak wypoczęty. – Rozciągnął brzydkie usta w uśmiechu. – Tak się mnie zdaje, że i wam taki... wypoczynek by się zdał.

– Zapewne – przytaknęła. – Wymyśliliście coś?

– To nie chcecie pogwarzyć? Nie, nie chcecie. Jest jeden sposób, ale ryzykowny i pewności nie daje. – Przeszedł przez komnatę i usiadł na wyściełanej skórą ławie przy kominku. Na obraz nad nim nawet nie zerknął. – Przeszedł mi do głowy, kiedy obejrzałem tego waszego Lodowca.

– Grema? A co on ma z tym wspólnego?

– Wy rzeczywiście nie znacie się na magii, co? Czegóż to uczą współczesne królowe? Lodowcy wzmacniają moc. Taki z nich magiczny katalizator. Z nim i z wami może się uda.

– To ryzykowne? Dla Grema?

– No, pieszczota to to nie będzie.

– Ryzykowne czy nie? – Królowa lekko podniosła głos.

Krzaczaste brwi krasnoluda powędrowały w górę.

– Coście tacy nerwowi, jaśnie pani? Toż to tylko Lodowiec, niewolnik. Mój kuc więcej kosztuje niż toto. I więcej jest wart. Przynajmniej nie jest jałowy.

Królowa szarpnęła się błyskawicznie. Doskonale piękna twarz pozostała niezmienną, ale oczy płonęły. Przyskoczyła ku Sodiemu i złapawszy poły jego nowej jedwabnej koszuli, poderwała mężczyznę z ławy. Zawisła nad nim blada ze wściekłości.

– Zamknijcie ten niewyparzony... – wysyczała, szarpiąc materiał.

Nie próbował się wyrwać. Patrzył na królową, uśmiechając się krzywo.

– Pewnieście się przywiązali – powiedział głośno. – Jest z wami od urodzenia, ale to tylko Lodowiec, nawet do rozplodu się nie nadaje, bo go wasi magowie wyczyścili za dzieciaka.

Ostatniemu słowu towarzyszyło głośne trzaśnięcie. Głowa Sodiego odskoczyła od ciosu królowej.

– Zamknij się! – krzyknęła kobieta.

– Pani? – Grem stanął w drzwiach, wyczuwając emocje Leonerre, gotów do obrony czy do ataku, w zależności od potrzeb.

Królowa rzuciła mu szybkie spojrzenie, co błyskawicznie wykorzystał krasnolud, uwalniając się.

– Żelazną macie rękę. – Delikatnie pomasaował rumieniejący od uderzenia policzek. – Nie spodziewałem się.

– Trzeba się było nie odzywać, jak prosiłam. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli to, o czym mówiliście, jest ryzykowne, wymyślcie coś innego.

– Żeby cofnąć wasze zaklęcie? – zapytał cicho Yudherthardere.

Leonerre drgnęła i cofnęła się gwałtownie. Szeroko rozszerzonymi oczami wpatrywała się w krasnoluda.

– Co? – wyrwało się nadal stojącemu w wejściu młodzieńcowi. Zaskoczony przyglądał się pozostałej dwójce. Oni zaś milczeli, ale powietrze między nimi zdawało się płonąć.

– Pani? – dopytywał piękny chłopiec.

– Odejdź, Grem – drżącym głosem rozkazała królowa.

– Ale...

– Idź, gówniarzu, kiedy ładnie proszą – rzekł krasnolud, nie patrząc na młodzieńca.

Lodowiec wahał się przez chwilę, lecz wreszcie uklonił się i wyszedł.

– Naprawdę jesteście dobrzy... – przerwała wreszcie ciszę kobieta.

– Najlepsi – odrzekł krasnolud. Ponownie usiadł, wyciągnął krótkie nogi i oparłszy się o ścianę, uśmiechnął krzywo.

– Kiedy się domyśliliście? – zapytała.

– Kiedym zobaczył, jak oczyska w chłopaka wlepiacie. No i was podrażniłem, coby się upewnić. Pewnie chłopak zawsze był taki gładkolicy, co?

– Był. – Leonerre usiadła naprzeciwko gościa, patrząc w buzujący w kominku ogień.

– A wam daleko było do piękności, nie? – Spojrzał na obraz.

– Daleko.

– Ale magia starożytnych? Tylko po to, żeby chłopak was zechciał?

– Nic nie rozumiecie – odparła zrezygnowana kobieta. – Nie chodziło o urodę, panie Yudherthardere, nie tylko o urodę. Chciałam móc... żeby on mógł... Chciałam dać mu wszystko... Oddać mu, co zabrano, kiedy był dzieckiem. I dlaczego? Żeby był moim sługą, żeby...

– Żeby nie zrobił wam dzieciaka, jak go do łóża weźmiecie – dopowiedział krasnolud.

Skinęła głową.

– Właśnie. A ja chcę dać mu dziecko. Chcę, żeby mnie kochał, żeby był szczęśliwy, żebyśmy byli... rodziną.

– Z niewolnikiem?

– Z niewolnikiem! Z niewolnikiem, którego kocham – zakończyła szeptem.

– Taaaa, i żebyście wy się mogli chędożyć i płodzić ładniutkich półlodowców, cała Dolina ma wymrzeć?

– Nie! – Wstała i podeszła do krasnoluda – Prosiłam o co innego! Miało być inaczej!

– Kogoście prosili? – zapytał łagodnie.

– Czarodziejkę.

– Jaką czarodziejkę?

Pochyliła głowę.

– Jaką czarodziejkę? – powtórzył.

– Isinę – odpowiedziała wreszcie.

– Ja pierdołę! – Wstał również. – Prosić ducha Pierwotnej Czarownicy! Nic głupszego wam, kurwa, do głowy nie przyszło?!

– Przestańcie przeklinać.

– Jak tu, kurwa, nie przeklinać?! Oddali mnie wam w służbę, a wy... Ducha Pierwotnej?! Durna ta arystokracja, niczego pożytecznego was nie ucza, a wam się wydaje, że wiecie wszystko! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby duch Pierwotnej pomógł, kiedy go proszą. Zawsze coś popieprzy, z czystej złośliwości. A odwołać jej magii prawie się, nie da! Co było w tej waszej prośbie?

– Mieliśmy być jak wszyscy w Dolinie... Mieć dzieci, jak wszyscy – odpowiedziała głuchym głosem.

– No... - aż się zatchnął ze złości, a i słów mu na chwilę brakło. Na chwilę tylko, bo to przecież Sodi. – No, psia jego mać w mordę trącana, macie! Spełniła życzenie co do joty!

– Ale mi nie o to...

– Taaa, już Isina na pewno przejęła się tym, o co wam chodziło – przerwał jej krasnolud. – Poprosiliście, dostaliście.

Królowa usiadła ciężko przy kominku. Splotła dłonie na podołku i zapatrzyła się w złączone palce.

– Więc nic się nie da zrobić?

Sodi stanął przy Leonerre, przyglądając się czubkowi jej złotowłosej głowy.

– Kusi mnie, by rzec, że nie, ale trza dbać o reputację. No i choćbym chciał zełgać, glejt, coście go od Rady dostali, nie pozwala. Jak już rzekłem, prawie się nie da odwołać magii Ducha Pierwotnej Czarownicy. Prawie.

Poderwała głowę.

– Jak? – zapytała szybko.

– Są dwa sposoby, jaśnie pani. Osobiście optowałbym za pierwszym, szybki, pewny i nietrudny do zrealizowania. Ale coś mi się wydaje, że się nie zgodzicie. – Uśmiechnął się krzywo.

– To znaczy?

– Trza zarznąć ciebie, pani, lub waszego kochanka. Was dotyczy umowa z Isiną, więc i śmierć wasza cofnie zaklęcie. Że wy jesteście Dolinie bardziej potrzebni...

– A ten drugi sposób? – przerwała.

– Przemyślcie to jeszcze...

– Nie.

– W sumie nie miałem dużych nadziei. – Wzruszył ramionami. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

– Yudherthardere? – Królowa ruszyła za nim. – Dokąd idziecie?

– Do łóżka. Zostawiłem tam trzy głupie i chętne ślicznotki. Jeśli znów mam się spotkać z Zakonną, to trza mi wcześniej dobrze wypocząć.

# RoydyiaŁIV

## Zasadyka

Rosa z beznamiętnym wyrazem twarzy wpatrywała się w dużą krwistą plamę na ziemi. Kucnęła powoli i przesunęła palcami po stwardniałym śniegu. Spojrzenie pozostało pozornie nieobecne, ale ciało Zakonnej zeszywniało z napięcia. Gdy się podniosła, w rękojeściach srebrnych mieczy na plecach kobiety odbiło się południowe słońce. Stojący w pobliżu Yorhowie zamarli w oczekiwaniu. Wojowniczką nie patrzyła na nich. Nie spojrzała również na nadchodzącego króla elfów. Agrah Err kucnął obok kochanki i tak jak ona dotknął zamrażającej plamy krasnoludzkiej krwi. Skrzywił się lekko, a wstając, uchwycił spojrzenie Rosy. Zrozumieli się bez słów, zaś radosny uśmiech towarzyszący elfowi od poranka zniknął.

– Co się dzieje? – zapytała nadchodząca Gaalka. Krok za dziewczyną podążał Roni, ale Try nie zwracała na niego uwagi. Ubrana już do drogi, w te same ciężkie futra, w których przybyła poprzedniego wieczoru, szła szybko, stawiając długie kroki. – Co się dzieje? – powtórzyła, podchodząc. Zobaczywszy krew, cofnęła się i błyskawicznie spojrzała na Zakonną.

– To krasnoluda?

– Tak.

– A gdzie reszta?

– Dobre pytanie. – Rosa pokiwała głową.

– Myślałam, że Roni go zabił.

– Bo zabił.

– Więc jak...?

– Zdaje się, że nasz krasnolud dogadał się z Pierwotnym Magiem. – Czarnowłosa wojowniczka wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem.

Zakonna zerknęła na Agrah Erra.

– Yudherthardere – przejął wyjaśnienia elf – użył ożywiającego zaklęcia. Jest tylko jeden czarodziej, który potrafiłby takie stworzyć. Yasa.

– Ale on nie handluje mocą. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.



– Tak słyszałam – przytaknęła beznamiętnie Zakonna. – Każdy ma swoją cenę, pani Trydnette. Nawet Pierwotny Mag.

– A jak krasnoludowi udało się uciec? Ponoć przeszliście Przemiany. Nie wyczuliście zaklęcia? A wasi Yorhowie? Dlaczego nie pochowali od razu truchła? Dlaczego nie przypilnowali...?

– Try!

– Nie, Err, ma prawo pytać. Ziemia jest zamrznięta, nie było sensu, by Yorhowie próbowali kopać. Zamierzałam przed wyjazdem zostawić kilka talarów karczmarzowi, żeby zajął się truchłem... z należytych szacunkiem, a potem odesłał je, wraz z listem z królewskimi pieczęciami, do Krasnoludzkiej Rady. Nie spieszyło się, bo Sodi bardziej martwy być już nie mógł. Z tej samej przyczyny Yorhowie nie pilnowali ciała. Nie przyszło mi do głowy, że może ożyć. A nie wyczułam magii zapewne dlatego, że Yasa nie zwykł niczego zostawiać przypadkowi i użył osłony. To jedyny sposób, bym nie poczuła tak potężnego uderzenia mocy.

Gaalka zacisnęła usta. Obojętny ton głosu Zakonnej z lekka schłodził gniew Try. Zerknęła na kochanka. Zmartwiony młodzieniec słuchał wojowniczkę, ale patrzył na ukochaną. Setki emocji odbijały się w jego wzroku. Stał obok Try, wystarczająco blisko, by chłonąć jej obecność, lecz na tyle daleko, żeby nie dotykać dziewczyny. Blady i smutny, wyglądał jak uosobienie nieszczęścia.

– I co teraz? – zapytał cicho.

– Teraz ruszmy do Syrelle, do Reingharta – odpowiedziała spokojnie Rosa. Skinęła na posługacza z karczmy przyglądającego im się od dłuższego czasu, a ten szybko pobiegnął do stajni po konie.

– Ale krasnolud... Wiesz, co mówił – zaniepokoił się Roni. – Powinniśmy za nim ruszyć i...

– Dobrze – zgodziła się Zakonna. – Więc ty i król elfów zróbcie to.

– Jadę z wami. – Młody Gaal pokręcił głową.

– Nie, jedziesz z królem elfów. Nam się nie przydasz, a nawet będziesz przeszkadzał.

– Muszę z wami jechać!

Wojowniczka już na niego nie patrzyła. Wolno ruszyła w kierunku stajennego z dumą prowadzącego srebrzystą elfią klacz i potężnego gniadosza. Wyciągnęła dłoń po uzdę, gdy poczuła na ramieniu dotyk Roniego. Nie cofnęła się, nie szarpnęła, ale też nie spojrzała na młodego mężczyznę.

– Muszę być przy... Muszę jechać do Syrelle... – zająknął się, a czarnowłosa poczuła jego gniew tańczący tuż pod skórą. Rozpalał się błyskawicznie i Gaal ledwie nad nim panował.

– Nie – powiedziała łagodnie. – Nie musisz. I nie pojedziesz. Pani Trydnette, czas się pożegnać z... przyjaciółmi.

Obojętna dotąd dziewczyna pobladła, zaciskając usta w wąską kreskę. Ledwie panowała nad kroplami łez drżącymi na rzęsach. Zamiast jednak rzucić się w ramiona Roniego czy w jakikolwiek sposób okazać uczucia, Gaalka skinęła jedynie głową. Potem szybko odwróciła wzrok i sięgnęła po uzdę gniadosza.

– Żegnaj, Roni – rzuciła z syrenim zaśpiewem. Wciąż nie patrząc na młodzieńca, dosiadła swojego rumaka.

Rosa czekała. Dłoń młodego Gaala nadal leżała na jej ramieniu, a palce mocno ścisnęły materiał kurtki. Kobieta spojrzała więc na Agrah Erra. Elf stał kilka kroków dalej. Chłodny wiatr igrał w czarnych długich włosach, a zmrużone oczy patrzyły w odległy punkt, w świat, którego nawet ona, mimo czterech Przemian, nie była w stanie dostrzec. Widziała już to spojrzenie i wiedziała, co ono oznacza.

– Err? – zapytała cicho.

Długie rzęsy zadrżały, jakby mężczyzna obudził się ze snu, i król Czarnych Elfów westchnął lekko.

– Pożegnanie nie będzie konieczne. Jedziemy z wami.

Gaal błyskawicznie zabrał dłoń z ramienia Zakonnej i spojrzał z nadzieją na mężczyznę.

– Jedziemy? – upewnił się.

– Jedziecie? – powiedziała w tej samej chwili Try.

Elf nie odpowiedział. Uchwycił wzrok kochanki i pozwolił jej odczytać swoje myśli. Kobieta Tradycji uśmiechnęła się niewesoło.

– Jadą – odpowiedziała.

\*

Śnieg prószył i drobnymi płatkami osadzał się na kapturach jeźdźców i w grzywach koni. Pędzili w milczeniu, pochylając głowy, by mroźne kruszyny nie wpadały im do oczu. Tętent i parskanie wierzchowców były jedynymi dźwiękami, jakby cały las zamarł w oczekiwaniu, a wszystkie zwierzęta w okolicy zamilkły. Żadnych treli ptaków ani łamiących się w oddali gałązek, żaden niedźwiedź czy dzik nie zakłócał ciszy. Konie wyciągały długie nogi, w szyku pokonując kolejne długości. Jeźdźcy, pochyleni głęboko w siodłach, nie odrywali wzroku od zaśnieżonej drogi, choć każde z nich, z wyjątkiem Yorhów, pragnęło spojrzeć na jadącego obok. Napięcie narastało z każdym mijanym drzewem, każdą minutą jazdy. Chłód zimowego popołudnia, a później wieczoru, wciskał się pod grube futra i kurty, tańczył na skórze. Ciężki oddech biegnących zwierząt otaczał kawalkadę mgiełką lodu.

Wieczór zmienił się w noc, oświetloną jedynie słabą poświatą księżyca w nowiu. Nieustannie poganiane wierzchowce zaczynały słabnąć. Chłód stał się bardziej dokuczliwy, a w ciemności coraz łatwiej było pomylić drogę. Srebrzyste rumaki elfa i Zakonnej zwolniły, a za nimi reszta. Gdy pośród drzew zamajaczyła drewniana chata, jeźdźcy zatrzymali wierzchowce.

– Przenocujemy tu – zdecydowała Zakonna. – Konie muszą odpocząć. Przed nami dzień drogi. Wyruszymy ze świtaniem, a jutro wieczorem będziemy w Syrelle.

Yorhowie zeskoczyli na zamarzniętą ziemię. Bez słowa sięgnęli po uzdy srebrzystych wierzchowców. Chociaż nigdy wcześniej nie byli w tym miejscu, doskonale wiedzieli, że za budynkiem jest drewnitnia z obrokiem dla koni. Obraz maleńkiej szopy pojawił się w yorhowskich myślach. Zakonna przesłała jej wspomnienie przybocznym, zsiadając z grzbietu klaczy. Gaalowie wciąż tkwili w siodłach.

– Nocleg na grzbiecie konia to też jakaś alternatywa. – Kobieta Tradycji wzruszyła ramionami. – Ale jeśli zmienicie zdanie, z tyłu jest szopa, a w chacie może być trochę cieplej i wygodniej.

Weszła do środka, a za nią elf. Ledwie przekroczyli próg, wewnątrz rozświetliły dziesiątki świec. Rosa powoli przesunęła wzrokiem po otoczeniu, przywołując wspomnienia, o których latami starała się zapomnieć. Wreszcie odbarwione tęczęwki spoczęły na twarzy króla elfów. Uśmiechnęła się lekko, nadal milcząc. Mężczyzna wyciągnął dłoń, by dotknąć policzka kochanki, ale kobieta cofnęła się łagodnie, umykając przed pieszczotą.

– Jesteś pewien? – zapytała cicho, nie patrząc już na Agrah Erra.

Wiedział, o co pyta.

– Tak.

– Kiedy?

– Jutro.

Westchnęła i ciężko usiadła na ławie przy stole. Agrah Err zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Chodzi o nas czy o nich?

Podniosła zmęczone spojrzenie.

– Nie wiesz? Nie czytasz mnie? – odpowiedziała zaczepnie.

– Rosa...

Wzruszyła ramionami, usłyszawszy urazę w głosie kochanka.

– O nich. Tamta noc miała być na pożegnanie. Ta wszystko popłącze.

– Poradzą sobie.

Odwróciła głowę.

– Wiem, ale są tacy młodzi. Nie chcę, żeby cierpieli.

Elf zmarszczył brwi, wpatrując się w Rosę. Nie czytał myśli ukochanej, ale i tak pojął, co ją tak martwiło. Przysunął się i delikatnie położył dłoń na ramieniu kobiety. Kiedy na niego spojrzała, uśmiechnął się łagodnie. Nie odpowiedziała uśmiechem. Przyciągnęła go i mocno pocałowała. Okrakiem usiadła na kolanach mężczyzny i ciasno go obejmując, nie przestawała całować. Palce przeczesywały długie czarne włosy, oddech się rwał...

Naraz drzwi chaty skrzypnęły cicho i stanęli w nich Gaalowie. Zaskoczeni zamarli w wejściu. Rosa błyskawicznie oprzytomniała. Z ociąganiem zsunęła się z kolan Agrah Erra i z palcami wciąż wplątanymi w hebanowe loki kochanka, spojrzała na młodych.

– Wpuszczacie zimno – zauważyła wypranym z emocji głosem.

Try postąpiła krok, a Roni posłusznie zamknął za sobą drzwi. Agrah Err wstał, uwalniając się z magii palców kochanki. Podeszedł do paleniska, przymknął powieki, a chwilę później w kominku zaczął buzować wysoki, intensywny ogień. Elf sięgnął po wiszący nad paleniskiem kociolatek.

– Oczyszczyć go, chłopcze, i przynieść śnieg. – Podał Roniemu naczynie.

– Nie jestem waszym służącym – obruszył się chłopak.

Elf wciąż trzymał garnek w wyciągniętej dłoni. Czekał.

– Nie jestem...! – Młodzieniec podniósł głos.

– Och, na litość boską! – Try złapała kociolatek i wyszła z chaty.

Agrah Err uśmiechnął się chłodno i bez słowa wrócił do paleniska. Zdjął z półki wiszącej na ścianie suszoną wołowinę i warzywa. Kiedy dziewczyna wróciła, jednym dotknięciem roztopił śnieg w naczyniu i wrzucił do niego znalezione susze. Potem usiadł obok Rosy, by z rozbawieniem obserwować wciąż stojących w wejściu Gaalów.

– Rozbierzcie się – poleciła chłodno Zakonna. – Zjemy i idziemy spać. W sąsiedniej izbie jest duże posłanie.

– Skąd to wiecie? – zapytała Try, zdejmując futrzane okrycie.

– Byłam tu kiedyś gościem – cicho odpowiedziała kobieta.

Chata pogrążyła się w mroku i ciszy. Leżąca obok Rosy Gaalka spała, oddychając regularnie, podobnie jak młody Gaal. Chłopiec i elfi władca leżeli na posłaniu ze skór i koców przygotowanym naprędce obok szerokiego łoża. Szmer oddechów kołysał do snu Zakonną, lecz ona bała się zasnąć. Zaciskała nerwowo usta, wypatrując w ciemności konturów mebli i ludzi, jakby mogły wymazać z pamięci powód jej uprzedniej wizyty w tym miejscu. Walczyła długo z opadającymi powiekami. Wreszcie zmęczenie zwyciężyło.

*Sala Kar opustoszała. Zakonni wrócili do cel, jakby to, co się stało, nigdy nie miało miejsca. Pozostały tylko trzy kobiety i ciało ubiczowanego. Rosa, wciąż pogrążona w unieruchamiającej magii, mogła tylko patrzeć. Nie odrywała więc wzroku od*

zakrwawionej postaci. Leżała ledwie trzy kroki od zabitego. We włosach i na twarzy czuła krzepnącą krew. Czar trzymał dziewczynę w miejscu skuteczniej niż jakiekolwiek łańcuchy.

– Co z nią zrobimy? – zapytała siostra Jeanie.

Matka Beathe spojrzała na Rosę.

– To, co od początku zamierzała Matka Przełożona. Poddamy Przemianom.

– Matce Przełożonej się to nie spodoba.

– Matki Przełożonej tu nie ma. Nam pozostawiła władzę nad Zakonem.

Dziewczyna nie słuchała rozmawiających kobiet. Przyszłość była jej obojętna. Pragnęła tylko dotknąć Orena. Tylko tyle. Przymknęła oczy, gromadząc całą siłę, jaka jej została.

– Którym Przemianom chcecie ją poddać, Matko? – Jeanie nie patrzyła na Rosę.

– Wszystkim.

– Wszystkim?! Nikt nie przeżył wszystkich Przemian!

– Cóż – Beathe uśmiechnęła się zjadliwie – więc może ona będzie pierwsza.

– Matce Przełożonej to...

– Tak, wiem, nie spodoba się. Z wyroku na chłopaka też nie będzie zadowolona. I z tego, że kara została wykonana pod jej nieobecność. I z tego, że miałyśmy tylko jednego świadka... Tak, wiem, że Matce Przełożonej nie spodoba się wszystko, co się tu stało. Uznajmy więc, że Przemiany będą sądem bożym.

Siostra spojrzała na nią pytająco.

– Wszystko muszę ci tłumaczyć? Jeśli dziewczyna nie przeżyje, to znaczy, że wyrok był słuszny.

– Ale jeśli przeżyje...?

Beathe spojrzała na Rosę.

– Cóż, jeśli przeżyje, będziemy mieli większy problem niż wyrok.

Siostra poszła śladem przełożonej i gwałtownie wciągnęła powietrze. Rosa walczyła z czarem unieruchomienia. Zdolała podczołgać się do martwego kochanka. Dyszała ciężko, ale nie poddała się. Pokonując magię, uklękła i przyłgnęła do bezwładnego, zakrwawionego ciała. A potem spojrzała na oprawców Orena. Z czarnych elfich oczu biła lodowata nienawiść. I obietnica...

Wspomnienie rozmyło się, nastąpiła ciemność. Rosa westchnęła przez sen. Poruszyła się nerwowo, bo kolejny obraz wyłonił się z przeszłości. Kolejna wizja, którą musiała pamiętać...

Stała pośrodku komnaty Przemian. Z posadzki sterczały cztery srebrne wysokie pale tworzące kwadrat. Pokrywały je rzeźbione w srebrze odwieczne zaklęcia przywołujące Przemiany. Cztery pale – cztery Przemiany. Przemiana ciała, serca, magii i czasu.

Gdyby mogła, uniosłaby głowę i spojrzała w niebo przez wielkie okno w powale, tuż nad Kręgiem Przemian, ale czar unieruchamiający pozwalał jej tylko patrzeć przed siebie. Na

*Matkę Beathe i siostrę Jeanie.*

*– Zgromadziliśmy się, by wziąć udział w sądzie bożym – donośnie zaczęła ta pierwsza. – Rosa zakwestionowała wyrok skazujący Orena de Moreala. Nie przyjęła jego winy i nie przyznała się do własnego udziału w morderstwie. Zgodnie z prawem oddała się pod sąd boży. Przyjmie dzisiaj Cztery Przemiany. Jeśli je przeżyje, udowodni swą niewinność i niewinność Orena de Moreala.*

*Zgromadzeni zaszemrali. Nikt nie przeżył nigdy Czterech Przemian. Nikt nie przeżył dwóch naraz. Zwykle jedną od drugiej dzieliły lata.*

*– Taka jest wola Rady Zakonu, z którą zgodziła się oskarżona – dodała ciszej siostra.*

*W komnacie zapadła cisza. Zakonni wpatrywali się w stojącą pośrodku Kręgu. Beathe również się odwróciła. Powoli podeszła do pierwszego z pali.*

*– Wreszcie – szepnęła tak cicho, że jedynie Rosa zdołała ją usłyszeć – zdechnie ostatni gherdeirowski bękart. – Na jej wargach igrał uśmiech triumfu, gdy sięgnęła do pochodni na słupie.*

*– Przemiana ciała, by służyło doskonałemu wojownikowi, by żadna siła nie była potężniejsza od niego, by żaden ból go nie dotknął, żadna choroba nie zdołała go powalić. – Odpaliła pierwszą z pochodni i ruszyła do drugiej. – Przemiana serca, by zbędne uczucia, strach, gniew i żale nie mąciły rozsądku Zakonnej. – Druga z pochodni zapłonęła. – Przemiana magii, by żadne z zaklęć nie zagroziło bezpieczeństwu wojownika, by żaden sen i żadna myśl nie zdołały się przed nim ukryć. – Zapaliła trzecią pochodnię. – I wreszcie Przemiana Czasu, by ten nie miał się Zakonnej. – Ogień z czwartej pochodni wzmógł się, wolno unosił się przez moment, by po chwili zatoczył łuk i potoczył z kolejną żagwią, a potem kolejną. Płomienie zjednoczyły się w krąg i naraz wybuchły, zamykając dziewczynę w płonących ścianach. Jaskrawy, niespalający się płomień, zimny jak śmierć, otoczył ją ze wszystkich stron i zniósł czar unieruchomienia. Zachwiała się lekko, ale nie upadła. Uniosta głowę, wpatrując się w ciemne niebo i okrągły talerz księżyca. Była pełnia. Przemianom zawsze towarzyszyła pełnia. Rosa uśmiechnęła się cierpko i wyciągnęła dłoń, by dotknąć ognistej ściany.*

*Ból przyszedł nagle. Porażający i gorący. Złożył ją wpół i wyrwał krzyk z ust. Tylko jeden. Zaciśnęła zęby i upadła na kolana. Zwinęła dłonie w pięści, lecz jakaś niewidzialna siła wyprostowała je. Kostka po kostce łamała palce. Mięśnie wydłużały się, rozrywając skórę. Ciało krwawiło i leczyło się. Ból pojawiał się, znikał i znów rozrywał organizm Rosy, potężniejąc z każdą chwilą. Już nie klęczała, nie mogła. Cierpienie powaliło ją na podłogę. Kości poruszały się pod skórą uwolnione ze stawów. Oddychała z trudem, ledwie świadoma tego, co się z nią dzieje. Modliła się o śmierć i zaraz modliła się o życie. Musiała żyć. Dla Orena. Minuty mijały jedna za drugą, a straszliwa męka wciąż trwała.*

*Wreszcie pierwsza z pochodni zgasta, nie otwierając ognistych ścian. Półprzytomna dziewczyna powoli uniosła się z podłogi. Nie zdołała wstać, więc usiadła. Ból mijał. Oblizwała wyschnięte usta, oddychając ciężko. Podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę. Czekala.*

*Chłód ją sparaliżował. Próbowala rozetrzeć przemarznięte członki, ale nie mogła nimi poruszyć. Wokół płonęły ściany, a ona zamarzala od środka. Myśli, jedna po drugiej, uciekały. Zapomniała o gniewie, zapomniała o żalu, zapomniała o strachu. Wszystko, co czuła, znikalo pod wpływem lodu w sercu. Zaciskała wargi, pozwalając uczuciom odpływać. Szybko, jednemu po drugim... Nie czuła już prawie nic z wyjątkiem zimna. Nim jednak ostatnie ze wspomnień zabił chłód, wyszeptała: „Oren”...*

*Druga z pochodni zgasta.*

*Tym razem Rosa zdołała się podnieść. Stanęła powoli z chłodnym uśmiechem na ustach. Gotowa na przyjęcie kolejnej Przemiany. Silna jak nigdy dotąd. Magia wzięła ją we władanie z nienacką. Snop światła wyrwał się ze ściany ognia i wbił w ciało dziewczyny. Żar płynął pod skórą, paląc niemitosiernie. Wolniutko sunął od serca we wszystkich kierunkach. Magia rozświetliła ją i zaczęła pochłaniać. Światło otaczało ze wszystkich stron umęczone ciało. Rosa zacisnęła dłonie. Skupiła się, przymknęła oczy... W jednej chwili poświata znikła, zamknięta w organizmie dziewczyny. Szalała w nim, próbując go pokonać i wyrwać się na wolność. Rzuciła Zakonną w ścianę ognia, ale płomień zamiast spalić, odepchnęły ją na powrót w środek kręgu. Magia raz jeszcze szarpnęła ciałem. Rosa rozwarła oczy. Światło wyrwało się nimi z powrotem do ściany ognia.*

*Trzecia pochodnia zgasta.*

*Zamrugala. Powoli opuściła powieki, a potem uniosła. Czerń tęczęwek znikła. Bezbarwne, niemal przezroczyste oczy wpatrywały się w ognistą barierę. Dziewczyna oddychała ciężko. Walka z magią ją osłabiła. Nie było części ciała, która by jej nie bolała. Opadła na kolana w oczekiwaniu. Pozostała ostatnia Przemiana. Najgorsza.*

Rosa obudziła się, oddychając ciężko. Usiadła powoli i rozejrzała się wokoło. Dlaczego właśnie teraz? Od dziesięciu lat nie wspominała Przemian. Czasami wracał obraz Orena, jego poranionego, zakrwawionego nagiego ciała rozpiętego pomiędzy palami, martwej twarzy i zaciętych ust, z których przez całe biczowanie nie padł ni jeden jęk. Starala się nie wspominać, ale tamten obraz czasami wracał. I bolał. Cholernie bolał.

Wstała. Oddechy Gaalów nie zmieniły rytmów. Stąpała cicho, żeby ich nie zbudzić. Kiedy mijała leżącego Agrah Erra, mężczyzna podniósł się i ruszył za nią.

Wyszła z chaty. Lodowaty wiatr rozwiewał czarne kosmyki wymykające się z warkocza, a drobne okruchy śniegu topniały na rzęsach, gdy stała w samej koszuli, wpatrzona w mroczne niebo.

– Przeziębisz się – szepnął elf, narzucając na ramiona wojowniczkę niedźwiedzią skórę.

– Tamta noc była podobna, prawda? – zapytała równie cicho.

Skinął głową w milczeniu.

– Uratowałeś mnie. Zamarzłabym na tamtym polu, gdybyś mnie nie znalazł i nie przywiózł tutaj.

Nie odpowiedział. Objął Rosę i łagodnie odwrócił ku sobie.

– Wracajmy do środka. – Przesunął palcami po mokrej od śniegu skórze kochanki. – Zimno tu.

– W stajni śpią Yorhowie, w chacie Gaalowie... Nie ma miejsca, żeby się ogrzać. – Westchnęła.

Roześmiał się cicho.

– Na to zawsze znajdzie się miejsce. Chodź. – Lekko pchnął ją w stronę drewnianego budynku.

Weszła posłusznie, a elf zamknął za nimi drzwi. Rosa stała na środku pogrążonej w głębokiej ciemności kuchni. Odłożyła kozuch. Mokra koszula lepiła się do jej ciała. Zakonna uśmiechała się i nie odrywając wzroku od kochanka, powoli rozplątywała warkocz. Trzy grube białe pasma niczym połyskujący woal okoliły piękną twarz wojowniczkę, a światło dogorywającego w palenisku ognia malowało cienie na jasnej skórze.

Naraz umierający płomień wystrzelił w górę, jakby podsyciła go niewidoczna dłoń, nabrał mocy i jasności. Kilkanaście świec zapłonęło łagodnym światłem. Elfi król bez słowa podszedł do kochanki. Ujął jej twarz w dłonie i musnął wargami usta.

– Uśpiłeś ich? – zapytała domyślnie.

Przytaknął bez słowa.

– Mokra ta koszula, wiesz? – Przesunęła palcami po zaorańskim jedwabiu na torsie mężczyzny, a potem, szybko rozplątawszy troczki, zsunęła odzienie z ramion elfa. – Tak lepiej – szepnęła, dotykając rozgrzanej skóry kochanka.

– Dużo lepiej. – Uśmiechał się, rozbierając dziewczynę.

Tej nocy żaden niechciany obraz nie męczył już Rosy, nawet po tym jak wreszcie, długo, długo później, zasnęła w ramionach Agrah Erra.

\*

Słońce ledwie uniosło się nad horyzont, kiedy wyruszyli w dalszą drogę. Śnieg przestał prószyć, a mróz zdawał się mniejszy niż poprzedniego dnia. Promienie odbijały się w kryształach szronu i śnieżnych czapach okrywających gałęzie drzew jak w brylantach. Połyskiwały, drżąc niczym zakłęte krople światła. Żadne z jeźdźców nie



zauważało jednak uroków przyrody. W milczeniu dosiadali wierzchowców. Umykający czas był ich wrogiem.

– Roni, pani Trydnette. – Zakonna podjechała do młodych Gaalów. – Uważajcie w drodze i miejcie broń w pogotowiu.

– Coś nam grozi? – niespokojnie zapytał chłopak.

– Tak – odparła beznamiętnie i nie czekając na dalsze pytania, spięła klacz, żeby wysforować się przed pozostałych.

– Ale... – zaczął młody Gaal, a widząc, że od wojowniczkę nie usłyszy nic więcej, spojrzał na króla Czarnych Elfów. Ten jednak, aby uniknąć tłumaczeń, również popędził konia. Młodzieniec bez przekonania zerknął na potężnych kudłaczy. Dosiedli wielkich, bułanych rumaków, najwyraźniej czekając, aż dwójka młodych ruszy za ich panią. Brzydkie, zarośnięte twarze pozostawały niewzruszone, a ogromne miecze wciąż były zatknięte za pasy na plecach. Nic nie wskazywało na to, by wiedzieli, o czym mówiła Zakonna. Roni zacisnął palce na głowicy miecza i spojrzał na Try. Dziewczyna przyglądała mu się spod zmrużonych powiek. Schowana pod futrzanym kapturem śliczna twarzyczka pobladła, gdy ich oczy się spotkały.

– Try...

– Jedźmy, Roni – powiedziała głucho i zanim zdołał ją zatrzymać, popędziła za elfem i jego kochanką. Gaal westchnął ciężko. Rzucił szybkie spojrzenie Yorhom, ale ci pozostawali obojętni, więc i on ruszył traktem w kierunku Syrelle.

Dopiero wtedy olbrzymi drgnęli. Bułanki, związane z jeźdźcami tak jak ci ze swoją panią, przyspieszyły niepoganiane, utrzymując dystans do poprzedzających ich wierzchowców. Wojownicy nie wyjęli mieczy, nie potrzebowali ich. Jeszcze nie. Obraz, który ujrzał poprzedniego ranka Agrah Err, a który potem pozwolił zobaczyć ukochanej, widzieli i oni. Byli przygotowani. Jak zawsze.

Minęło sporo dnia, nim kawalkada wypadła z lasu. Prowadząca dwójka jeźdźców zwolniła raptownie. Kobieta zsunęła kaptur i rozejrzała się bacznie po okolicy. Zaśnieżone pola, na których niecierpliwie tańczyło słońce, skrząc się milionami drobnych diamentów, były całkowicie puste, jakby wymarłe. Zima nie sprzyjała spacerom, a do najbliższych osiedli zostało jeszcze dużo drogi. Pojedyncze samotne drzewa uginały się pod płaszczykami białego puchu, bajecznie kontrastując z jasnym błękitem nieba.

– *Err?* – szepnęła wprost w myśli Agrah Erra.

– *Jeszcze chwila* – odpowiedział w ten sam sposób.

Nie dyskutowała. Łagodnie pogłaskała srebrzystą grzywę, jednocześnie pozwalając klaczy zwolnić. Pochyliła się w siodle i wyszeptwała w końskie ucho czułe słówka w staroelfim. Klacz zarżała cicho.

- Co się dzieje? – Try podjechała do wojowniczkii. – Dlaczego się zatrzymujemy?
- Konie muszą złapać oddech.
- Po co? – Gaal dołączył do kobiet. – Za kilka godzin będziemy w stolicy.

Zakonna zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Kilka godzin to dużo czasu, mój drogi. Wiele może się zdarzyć.

- Czego nam nie mówicie? – irytował się chłopak. – Czego?

Kobieta nie odpowiedziała. Patrzyła na elfa.

- Jeszcze chwila – odpowiedział Agrah Err, tym razem na głos.

- Chwila? Do czego?! Do czego chwila? – Gaal poczerwieniał ze złości.

Rosa milczała, wciąż się rozglądając. Naraz zeszywniała. Powoli wciągnęła powietrze i równie wolno je wypuściła. Pokręciła głową, a potem rozluźniła się. Spokojnie sięgnęła do pochew na plecach, by łagodnym ruchem wyciągnąć srebrne czarnoelfie miecze. Zakręciła nimi i uśmiechnęła się. Zimnym uśmiechem, który zmienił piękną twarz w maskę i zatrzymał się na wysokości oczu, nie obejmując mlecznobiałych tęczówek.

– Do tego – odpowiedziała szeptem, który uniósł włoski na karku Gaala. Podążył za spojrzeniem wojowniczkii. Krzyknął cicho i nerwowo wyrwał ciężki gaalski miecz z pochwy.

– Spokojnie, chłopcze. – Król Czarnych Elfów położył dłoń na ramieniu młodzieńca. Potem i on wyjął zza pleców dwa srebrne miecze. – Spokojnie. Myśl. Nie gniew. Rozum, Roni. Rozum.

Głos, słowa czy magia w nich zawarta w jednej chwili ukończyły nerwy młodzieńca.

– Chroń Try, Roni. Przybyli po nią – cicho rozkazała wojowniczka. Nie obejrzała się. Nie musiała.

Yorhowskie konie zasłaniały z dwóch stron Gaalkę. Olbrzymi zdjęli łuki z ramion i trzymając je w dłoniach, wsparli na końskich grzbietach. Nie naciągali cięciw. Jeszcze nie. Czekali. Spokojni, z przymkniętymi oczami, wydawali się drzemać mimo trzymanej w dłoniach, gotowej do ataku broni. Żaden mięsień w potężnych ciałach nie drgnął, jakby wielkie bułanki zamiast przez wojowników były dosiadane przez brzydkie kudłate posągi.

Try, z lekka poirytowana, też wyjęła broń. Jak Rosa zrzuciła kaptur, żeby nie krępował jej ruchów i nie przeszkadzał w walce, a potem spojrzała na kochankę.

- Sama sobie poradzę – powiedziała chłodno.

– Nie wątpię – obojętnie zgodziła się Zakonna – ale pamiętaj, kim jesteś. Narzeczoną Króla Królów. Kimkolwiek są, nie przybyli walczyć ze mną czy Agrah Errem. Przybyli zabić ciebie, gaalską narzeczoną, obietnicę pokoju w Krainie. I to ciebie musimy ochronić za wszelką cenę.

Dziewczyna zacięła wargi, ale zamilczała. Rosa zaś uśmiechnęła się ponownie tym samym nieobejmującym oczu uśmiechem. I czekała.

Jeźdźców było około dwudziestu. Pojawili się znikąd. W czarnych kapturach osłaniających twarze, z nagimi mieczami w dłoniach. Nadjeżdżali z dwóch stron, otaczając czekających szerokim półkolem. Nie jechali szybko, nie spieszyło im się, jakby z góry byli pewni wygranej.

Naraz przyspieszyli. W tej samej chwili dwie yorhowskie strzały sięgnęły celu. I jeszcze dwie. I jeszcze. I jeszcze. Olbrzymi odrzucili łuki i sięgnęli mieczy.

Czarne płaszcze zaatakowały w ciszy. Najpierw Zakonną i elfa. Srebrne konie zatańczyły w miejscu, gdy cztery srebrne ostrza przecięły powietrze i dwa ciała spadły na zmrożoną ziemię. Rosa momentalnie uniosła obie główne i znów uderzyła. Jednocześnie błyskawicznie pochylila się, by uniknąć cięcia. Srebrne sztychy gładko weszły w ciała napastników. Kolejne dwa płaszcze padły na biel śniegu. Kobieta poderwała się w siodle i ponownie cięła. Klacz tańczyła lekko, jakby zrosnięta ze swoją panią, rozumiejąc każdy ruch jeźdźca, pomagając w każdym uderzeniu. Podobnie jak rumak Agrah Erra, który każdym krokiem wspierał jeźdźca. Elf wyrzucał dłoń, markował cięcia, jak zaczarowany unikał atakujących i za każdym razem głównia któregoś z jego mieczy trafiała celu. Miętko, delikatnie, jakby pieścił starożytną broń czarnoelfich królów, jakby ta była częścią jego ciała, wyprowadzał pchnięcia, zawsze doskonałe. I bez większego trudu zabijał kolejnych przeciwników.

Za ich plecami potężni wojowie siali śmierć, osłaniając jednocześnie młodych Gaalów. Szybkie ruchy długich i szerokich głów stanowią barierę niemal nie do przebycia. Kolejne czarne płaszcze rozpościerały się na coraz bardziej czerwieniejącym śniegu. Try zaciskała zęby, ale, pamiętając słowa Zakonnej, nie próbowała brać udziału w walce. W przeciwieństwie do Roniego, który nieustannie odbijał kolejne uderzenia mogące ją zranić. Chłopak był wyszkolonym gaalskim rycerzem. Walczył jak młody bóg, szybko i precyzyjnie. Nie tak finezyjnie jak Zakonna czy elf, ale równie jak oni bezbłędnie.

Żaden z zakapturzonych wojowników się nie cofnął. Żaden nie krzyknął, nie szeptał modlitw, nie jęknął, konając. Żaden nie uciekł. Nawet gdy jasnym się stało, że polegną, że nie zdołają pokonać Zakonnej po Przemianach i wybranego przez bogów króla Czarnych Elfów, walczyli w milczeniu i z oddaniem, aż miecz Agrah Erra zakończył życie ostatniego z atakujących, a ciało napastnika w ciszy upadło na zakrwawiony śnieg.

Rosa otarła ostrza i wsunęła je w pochwy na plecach. Dopiero wtedy odwróciła się i spojrzała na pozostałych. Szybko przesunęła wzrokiem po Yorhach, upewniając się,

że są cali, potem po Gaalach. Na końcu z czułością przyjrzała się elfowi. Wymienili uśmiechy. Potem myśli.

Zakonna zeskoczyła z konia i podeszła do jednego z leżących. Jednym ruchem odrzuciła kaptur z twarzy trupa. Zmarszczyła brwi i klękła przy ciele. Szybko rozwiązała płaszcz. Promienie popołudniowego słońca odbiły się w dużym złotym wisiorze. Rosa zakłęta cicho i podeszła do następnego ciała. Odsunęła z piersi leżącego płaszcz i znów zobaczyła wisior. Taki sam. Odwróciła się i zacisnąwszy wargi, spojrzała na Agrah Erra.

Nim jednak elf zdołał zadać pytanie, ciszę przerwał wysoki, zawodzący krzyk.

– Roooni!

Gaal osunął się w siodle, by bezwładnie spaść z niego na zmrożony śnieg. Try krzyczała. Zeskoczyła z konia i chwyciwszy nieprzytomnego kochanka w ramiona, z zapamiętaniem powtarzała jego imię. Agrah Err przyskoczył do młodych. Dziewczyna przesuwiała niespokojnie dłońmi po odzieniu chłopca. Rozsunęła kożuch. Naraz spojrzała na swoje palce. Były czerwone od krwi. Krzyk nagle się urwał.

– Nie, Roni, nie, nie – powtarzała cicho.

– Err?

Elf kucnął przy Gaalach i delikatnie dotknął policzka nieprzytomnego młodzieńca. Przymknął powieki. Skupił moc. Na chwilę. Zaraz cofnął dłoń i otworzył oczy.

– Rosa!

Zrozumiała bez dalszych tłumaczeń.

– Try, odsuń się – nakazała spokojnie, podchodząc ku dziewczynie.

– Nie!

– Już!

Gaalka wahała się przez moment. Wreszcie jednak posłuchała.

Agrah Err przyklęknął i wziął Roniego na ręce. Wstał lekko, jakby chłopak nic nie ważył. Spojrzał na Rosę. Ponaglająco. Zakonna podeszła do nich. Stała za elfem. Położyła mu dłonie na ramionach.

– Już – szepnęła.

Elf zamknął oczy. Moc wybuchła nagle. Potężna, oślepiająca. Jaśniała nieregularną plamą w samym środku śmierci, krwi i czerni. Most.

– Rosa...

– Idź.

Pchnęła go łagodnie i dopóki nie wszedł w jaśniejący portal, trzymała dłonie na jego ramionach, wzmacniając zakłęcie. Przez jedną króciutką chwilę ich ciała zapłonęły wspólnym światłem. Później Rosa cofnęła ręce. I światło zgasło.

# RoydiaLV

## Kr I

Reinghart rozpierał się niedbale na wykładanym aksamitem i pamiętającym czasy pradziadów tronie. Oparł ciężką głowę na złotym zagłówku, rzeźbionym przez antycznych artystów i inkrustowanym drogocennymi kamieniami. Długie włosy króla, gęsto przetykane siwizną i przerzedzone latami, opadały na zapadłe policzki i przymknięte powieki. Nie spał. Próbował, ale sen, mimo przywoływania kolejnymi pucharami krasnoludzkiego miodu, nie przychodził. Król otworzył więc oczy i rozejrzał się wokoło. Był sam. Za oknami zapadł zmrok, a olbrzymią salę oświetlały dziesiątki świec i pochodni. Płonęły jasnym światłem, intensywnym niemal jak to w dzień, bo władca nienawidził ciemności. Wpatrywał się w płomyki przekrwionym, półprzytomnym spojrzeniem, a pojedyncze ogniki tańczyły, migotały i powoli zmieniały się w jaskrawą, oslepiającą jedność. Potrząsnął głową poirytowany, wstał i oderwał wzrok od świec. Beznamiętnie przesunął nim po komnacie, którą znał od ponad trzydziestu lat i która od tamtych czasów się nie zmieniła. Jedynie na ścianie z obrazami przedstawiającymi monarchów Krainy, przybył jeden – jego portret. Pamiętał, kiedy go malowano. Tuż po koronacji. Młody, smukły i przystojny młodzieniec przyglądał się otoczeniu z pewnością siebie graniczącą z pogardą.

Uśmiechnął się zjadliwie. Tak, to mu zostało, pogarda. Pewność siebie szlag trafił razem z urodą i młodością. Żeby potwierdzić własną myśl, zerknął na przeciwległą ścianę, na której jeden z pradziadów kazał umieścić zwierciadła z Ghyrde. Olbrzymie, kryształowe lustra oprawione w złoto, powieliły portret młodzieńca i żywego Króla Królów. Magia odbić sprawiła, że stali obok siebie, ten żywy i ten sprzed trzydziestu lat, patrząc jeden na drugiego. Młodszy wciąż się uśmiechał, utrwalonym na wieki aroganckim grymasem, lecz starszy... Starszy skrzywił się gniewnie. Głębokie bruzdy przecinały chude policzki, a ciemne, głębokie cienie pod oczami, wzmocnione dodatkowo zmarszczkami, podkreślały przekrwione i pijane miodem spojrzenie. Widoczny już zarost, mimo iż golony rankiem, jak i włosy przetkany był siwizną.

Był stary. Och, wiedział o tym od lat. Jeszcze zanim, tuż przed śmiercią, wykrzyczała mu prawdę druga małżonka, nim ostatnia z kochanek, gdy myślała, że nie patrzy, z obrzydzeniem odwróciła wzrok. Tak, od dawna wiedział, że czas go nie oszczędza,

jednak kontrast obu portretów – namalowanego i żywego – ponownie mu o tym przypomniał. Nienawidził upływających lat, gasnącej siły, zawodzącej męskości i widoku własnego odbicia tonącego w morzu alkoholu. Nienawidził słabości i bezradności. Nienawidził siebie. Nie potrafił nawet spłodzić syna, oprócz bękarta, którego krasnoludy próbowały osadzić na tronie z maniakałnym uporem. Jedyne dziecko z prawego łóża zmarło wraz z pierwszą żoną. Z jego winy. Zachciało mu się polowania! Królowa nie powinna dosiadać wierzchowca, ale... Nigdy nie zapomni tej jednej, jedynej chwili, która zadecydowała o przyszłości Krainy. Czy to dlatego? Czy bogowie ukarali go za dziecinny upór, za doprowadzenie do śmierci żony i nie obdarzyli kolejnymi potomkami? Z tej przyczyny Krainie znów groziła wojna domowa. Z powodu jego głupoty.

I dlatego też uległ Radzie. Kolejne małżeństwo. Parsknął chrapliwym śmiechem. Nowa, młoda królowa spośród Gaalów. Tych samych, których prawie udało się wymordować jego pradiadzi. Dziewczynę wybrała Najwyższa Rada, a Reinghart się zgodził. Kraina potrzebowała pokoju z Zachodnimi Ładami i coraz potężniejszymi Gaalami, a to jedyna droga. Poniżająca i nieco odpychająca. Zwłaszcza dla dzierlatki. Ponownie głucho zachichotał, a potem czknał i podniósł się chwiejnie.

– Jasna... – zaklął, próbując złapać równowagę. Podszedł do ławy, na której stał antałek miodu i pusty już puchar. Napełnił go, sporo przy tym wylewając. Rzadko robił to sam. Zawsze towarzyszył mu ktoś ze służących, ale tej nocy posłał wszystkich do łóżek. Chciał samotności. Ciszy i spokoju. Chciał zapomnieć, ale jakoś jeszcze mu się nie udało. Za mało alkoholu w żyłach. Podniósł kielich w ironicznym toaście i szybko opróżnił. Słodki trunek gorącą falą przepłynął przez gardło.

Tak, kolejna żona. Nie widział jej wcześniej. Dokonano wyboru bez oglądania podobizn, jedynie na podstawie poleceń Gaalskiej szlachty. Wygląd dziewczyny, a nawet jej charakter, nie miał znaczenia. Liczył się tylko rozejm, który przyniesie ten mariaż. Mogła być nawet szpetna, jak kobiety pokazywane na jarmarkach. Z jego szczęściem całkiem możliwe, że właśnie tak było.

– Kurwa – zaklął bełkotliwie. – Pieprzona Gaalka.

Sięgnął znów do antałka, lecz tym razem nie zdołał go napełnić. Nie wiedząc dlaczego, odwrócił się powoli...

Kobieta Tradycji stała w drzwiach. Nie słyszał, kiedy weszła. Przyglądała mu się obojętnie, żaden mięsień pięknej twarzy nie drgnął, a bezbarwne oczy pozostały chłodne, ale Reinghart i tak wiedział. Zakonna nim gardziła. Służyła mu, bo Zakon przyrzekł służbę Królowi Królów. I tylko dlatego. Był pewien.

– Wróciłaś? – Ze złością dostrzegł, że język odmawia mu posłuszeństwa. Potrząsnął głową. Stracił przy tym równowagę, przez co przewrócił antałek, wylewając jego

zawartość na ławę oraz podłogę. Z trudem przytrzymał się i wyprostował. – A gdzież to podziła się moja narzeczona? Zmieniła zdanie i wróciła do domu?

Zakonna wolno podeszła do Króla Królów. Piękne rysy pozostały niezmienione, a spojrzenie wciąż wyprane z emocji, gdy odpowiedziała:

– Wysłałam ją do łoża. Miałyśmy ciężką podróż, a i wy, panie, wolelibyście chyba spotkać przyszłą żonę, będąc w nieco lepszej kondycji.

– Jak to wysłałaś? W jakiej znowu, cholera, kondycji? Jestem w wyśmienitej kondycji!

– Na dowód prawdziwości swoich słów, zachwiał się i opadł na siedzisko. Kontury wojowniczkę zaczęły mu się rozpląwać, choć wciąż na nowo potrząsał głową, coraz wolniej i wolniej. Zamrugął, ale ciężkie powieki nie chciały się unieść.

Rosa przez chwilę wpatrywała się w zasypiającego władcę. Król Królów, władca Krainy, przepity, słaby, starzejący się człowiek drzemał, na w pół leżąc na wyściełanym poduszkami siedzisku przy wielkim dębowym stole. Brudne włosy rozsypały się wokół poszarzałej twarzy, a z lekko rozchylonych warg cieniutkim strumykiem spłynęła ślina.

Kobieta westchnęła ciężko. Podeszła jeszcze bliżej, zmrużyła oczy i błyskawicznie wsunęła się w umysł śpiącego. Najpotężniejsi magowie Krainy chronili czarami królewskie myśli. Dziesiątki najsilniejszych zaklęć kolejnymi ścianami otaczało świadomość i podświadomość Reingharta, kutymi ciężkimi bramami broniąc doń dostępu nieproszonym. Uśmiechnęła się. Była Zakonną po Przemianach. Niewiele jest magii ponad Zakonną po Przemianach.

Dotknęła pierwszej z bram. Nie musiała nawet naciskać, odrzwia ustąpiły pod lekką pieścizotą smukłych palców, rozchylając się cicho. Rozejrzała się. Korytarz był pusty. Żadna myśl tu nie zbłądziła. Zakonna musiała iść dalej... A tam stało następne wejście. Cięższe i mocniejsze niż poprzednie, lecz i to ustąpiło bez walki. I kolejny pusty korytarz. Ciemny i ponury. W przeciwieństwie do poprzedniego, tu jednak pojawiały się pierwsze cienie. Dalekie i jeszcze niesprecyzowane, szarymi wstęgami sunęły przy ścianach, umykając błyskawicznie przed jej wzrokiem. Szła ich śladem, aż dotarła do kolejnej bramy. Ta nie ustąpiła tak lekko jak poprzednie. Cienie za nią potężniały. Mroczniejsze niż poprzednio, nie uciekały już spojrzeniu Zakonnej. Jak ciekawskie, dzikie stworzenia doskakiwały ku niej i cofały się. Jeszcze nie kęsały, jedynie sprawdzały, ale zapowiedź ostrych kłów połyskiwała w ciemności. Szła szybko, nie zwracając uwagi na istoty z mroku. Nie tego szukała. Cienie nie były konceptami króla, a wysłannikami magików chroniących one. Myśli pozostawały nieosiągalne, ukryte zapewne za kolejnymi wrotami. Musiała więc przez nie przejść. Uśmiechnęła się, łagodnie odsuwając zaplątaną wstęgę mroku, a potem pchnęła srebrne kute drzwi. Nie drgnęły. Napała mocniej. Ponownie bez skutku. Przekręciła głowę, przymknęła oczy, wciągnęła powietrze i tym razem pieścizotliwie przesunęła palcami wzdłuż

łączeń bramy, a ta rozwarła się z rozpaczliwym jękiem, jakby wbrew sobie, spętana mocą kobiety.

Wstęgi tańczyły niczym szalone, co rusz wystrzeliwując z mroku, próbowały uderzyć Zakonną. Palce złożone w znak ochronny zbudowały jednak barierę nie do przebycia i ciemność trafiała jedynie pustkę. Pomiedzy agresywnymi pasmami pojawiły się wreszcie myśli. Mgliste chmury, nasączone alkoholem, nieskładne i nieprzytomne, rozmywały się ledwie zdążyła je odczytać. Drobne, nieważne, dotyczące codziennych spraw Króla Królów. Sprawdziała mechanicznie, niemal pewna, że tego, czego szuka, nie znajdzie. Kilka razy skrzywiła się z obrzydzenia, kilka razy parsknęła gniewnie, raz nawet się uśmiechnęła... I ruszyła dalej. Nie, na tym poziomie również nie dowiedziała się niczego pożytecznego. Musiała otworzyć złote wrota. Jeszcze nim do nich podeszła, skupiła moc, wyrównała oddech, przywołała zakłęcia i zmrużywszy oczy, wysłała przed siebie potężną falę. Jaskrawe światło Zakonu uderzyło w złoto i rozbłysło feerią promieni, tworząc połyskujący oślepiający portal. Weszła w niego, mrużąc powieki. Tym razem nie próbowała otwierać. Jasność zrobiła to wcześniej.

Zamiast niknących obłoczków, otoczyła ją gęsta mgła. Zawieszista i ciężka. Gorzka od nadmiaru alkoholu i niespełnionych nadziei. Wdzierała się porami skóry, z każdym oddechem. Mimo włączonych barier raniła prawie do krwi. Rosa skrzywiła się boleśnie i zanurzyła.

Przeszukiwanie umysłu Reingharta nie było ani łatwe, ani przyjemne. Nagromadzone latami myśli, wspomnienia, żale i dziesiątki sprzecznych uczuć tonących w tysiącach wypitych garnców krasnoludzkiego miodu, tworzyły chaotyczną płataninę, przez którą trudno było się przebić nawet Zakonnej po Przemianach. Czytała je, jedną po drugiej, oddzielając, porządkując i oczyszczając z oparów alkoholu. A wszystko to szybciej niż drgnienie powieki czy westchnienie. Czas był ważny. Zakłęcie snu miało ograniczoną długość, a i ból, jaki zadawała mgła królewskich myśli, zaczynał pozbawiać dziewczynę sił.

Westchnęła ciężko i wynurzyła się z gęstwiny. Czas się skończył. Musiała wracać. Zamknęła oczy, nabrała powietrza. Przygotowała się do powrotu...

Naraz ciszę wypełniającą dotychczas podświadomość Króla Królów przerwało głucho warknięcie. Rosa raptownie uniosła powieki. Z gęstej mgły wolno wynurzała się Bestia. Złote migotliwe ślepie połyskiwały w mroku. Z potężnych białych kłów w rozwartym pysku ciekła pienista, gęsta ślina. Splątana czarna sierść pokrywała olbrzymi łeb i resztę ciała monstrum. Niski, cichy warkot dobywający się z głębi straszliwej gardzieli wzrastał się z chwili na chwilę, a dzikie spojrzenie nie odstępowało wojowniczką. Kobieta uśmiechnęła się ponuro.

A więc to tak.



Wypowiedziała zaklęcie w chwili, gdy Bestia skoczyła. Błyskawicznie, używając dużo więcej mocy, niż zamierzała, wycofała się z umysłu władcy.

Błękitne, zupełnie już trzeźwe oczy wpatrywały się w nią z wściekłością.

– Co ty robisz?! – Gniewny ton głosu pana Krainy wyraźnie wskazywał, że ten zna odpowiedź na zadane właśnie pytanie. Rosa nie odpowiedziała. Wzruszyła ramionami, wytrzymując spojrzenie Reingharta. – Pytam, co ty robisz?! – powtórzył, łapiąc ją za ramię. Wolno przekręciła głowę, nieco ostentacyjnie popatrzyła na zaciśnięte na jej ramieniu palce mężczyzny, a potem ponownie w jego twarz. Król Królów nie cofnął się jednak. Od dziesiątek lat nie bał się nikogo i nie zamierzał tego zmieniać dzisiaj.

– Sześć godzin jazdy od Syrelle zaatakował nas zbrojny oddział. Przyboczny pani Trydnette został ciężko ranny. Zamierzali zabić dziewczynę. Byli gotowi na śmierć, byle tego dokonać – powiedziała cicho kobieta.

– Dlatego czytałaś moje myśli?

– To byli Święci z Zakonu.

W ciszy, jaka zapadła w komnacie, słychać było dalekie trele nocnych ptaków.

– O cholera – cicho zaklął władca. Puścił ramię wojowniczkę i lekko się cofnął. – Myślałaś, że zrobili to na moje polecenie?

– Przyszło mi to do głowy.

– Gdybym nie chciał tego małżeństwa, nie prosiłbym o rękę dziewczyny. Nie wysyłałbym elity zabójców, by usunęli ją z drogi.

– Ją, Agrah Erra, mnie.

– Ty naprawdę... – Już się nie wściekał. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami. – Miałaś prawo tak myśleć. Święci odpowiadają tylko przede mną, a moja niechęć do elfiego bękarta nie jest tajemnicą. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Nikt tak jak ja nie wie, że potrzebujemy gaalskiej królowej, Kobieto Tradycji. Nie naraziłbym pokoju w Krainie. Nie wysłałem zabójców.

– Wiem.

– Ale mamy poważny problem, prawda? Ktoś zrobił to w moim imieniu. Ktoś na tyle potężny, by zdołać przekonać Wielkiego Mistrza, że działa na moje polecenie.

Rosa milczała. Trzeźwy Reinghart miał umysł jak brzytwa, więc by ukryć przed nim cokolwiek, musiała kontrolować wypowiedzi. A kilka rzeczy musiała przed nim ukryć. Przynajmniej na razie.

Król odwrócił się i podszedł do okna. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w ciemność za nim. Nie rozróżniał nawet konturów. Nie zdołał dostrzec szczegółów, ale mrok działał kojąco.

– Nietrudno udawać tego Króla Królów, prawda? – zapytał cicho. – Wiecznie pijany, nieświadom otaczającej go rzeczywistości... Nawet Zakon, który w zamyśle Tradycji

miął strzec władcy, gardzi nim, czyż nie?

Nie odpowiedziała, więc oderwał wzrok od czerni na zewnątrz i spojrzał na kobietę. Usiadła na jednej z ław i wpatrywała się w portret młodego władcy. Z obojętnej jak zwykle twarzy niczego nie można było wyczytać.

– Nic nie rzekniecie?

– A chcecie, panie, bym wam przytaknęła? – zapytała chłodno, unosząc przy tym brwi.

Westchnął ciężko.

– Przypominacie mi kogoś. Kogoś z odległej przeszłości. Ona też nigdy nie liczyła się z majestatem ani z moimi uczuciami.

– Nie jestem od tego, by się nad wami rozczulać – wstała – lecz by służyć Krainie... I waszemu majestatowi – dodała ironicznym tonem. – A teraz, jeśli pozwolicie, wezmę przykład z waszej narzeczonej. To była długa droga. – Skinęła szybko i ruszyła do wyjścia. Nim wyszła, zatrzymała się i spojrzała na władcę. – Nie wam pierwszym zdaje się podobna do królowej elfów. Pochlebia mi to porównanie, acz jest błędne. Arsii potrafi współczuć, rozumie, wybacza i daje drugą szansę. Ja nie. Nigdy.

Zamknęła cicho drzwi, pozostawiając zdumionego Króla Królów w pustej komnacie.

\*

Pod wejściem do komnaty, którą wyznaczono na sypialnię Rosy, stali Yorhowie. Spojrzała na nich pytająco. Wzruszyli ramionami i w milczeniu wskazali na otwarte drzwi. Nie pytała więcej.

Na przygotowanym dla Zakonnej szerokim pościeliu spała Try. Zwinięta w kłębek, wciąż w odzieniu, w którym przyjechała, najwyraźniej zasnęła, czekając na wojowniczkę. Pod oczami dziewczyny malowały się głębokie cienie, wywołane nie tylko zmęczeniem, ale i długimi godzinami leż wylanych, gdy tylko Try została sama. Płacz wreszcie ją zmógł i teraz spała głębokim, pozbawionym wizji snem.

Rosa weszła cicho i delikatnie zamknęła drzwi. W myślach nakazała Yorhom odejść. Usiadła na ławie obok łóżka. Odpięła miecze, zzuła buty i wsparłszy głowę o ścianę, zamknęła oczy. Czasami nawet Zakonne po Przemianach bywają zmęczone.

Magia snu, której użyła na Reingharcie, sporo kosztowała Rosę. Poranek, jak i poprzednie dni, też były wymagające. Potrzebowała odpoczynku. Kilku godzin niezmaconego snu. To musiało jednak poczekać. Obok spała zrozpaczona dziewczyna, za której życie Rosa nadal była odpowiedzialna. Wciąż nie wiedziała, kto chce śmierci Try. Miała niemal pewność, że jest to ta sama osoba, która umieściła w umyśle Króla Królów Bestię. Potwór został stworzony przez świetnego czarodzieja. Niemal tak dobrego jak Yasa. Nie jemu jednak Król Królów zawdzięczał gościa

w podświadomości. Potrafiłaby poznać magię Pierwotnego Maga, a Yasa raczej nie zasadziłby groźnego stwora w czyimś umyśle. Przynajmniej nie bez zgody jego właściciela. Reinghart zaś nie był świadom obecności swego współlokatora. Co do tego nie miała wątpliwości. Nie znała wielu czarowników obdarzonych mocą pozwalającą na takie zaklęcia, a jeszcze mniej gotowych jej użyć przeciwko najważniejszej osobie w Krainie. Pokazowe procesy i długie przerażające egzekucje zniechęciły odważnych.

Skąd więc Bestia? I jakie miała zadanie? Czy tylko śledziła poczynania władcy, czy również podejmowała decyzje w jego imieniu? Rosa nie znała odpowiedzi na to pytanie. I póki jej nie pozna, nie tylko nie będzie mogła spokojnie spać czy spuścić z oczu Gaalkę... Przede wszystkim nie będzie mogła powiedzieć o pasożycie swojemu władcy.

Mogła go nie szanować. Mogła nim gardzić. To nie zmieniało faktu, że Króla Królów wybrano i pobłogosławiono zgodnie z Tradycją. A Kobieta Tradycji miała obowiązek chronić Boskie Prawa, w tym też Reingharta. Dlatego uruchomiła zaklęcie oczyszczające w najgłębszym poziomie królewskiej jaźni jeszcze nim zobaczyła Bestię. Czar powinien pokonać demony wiążące króla z antałkiem miodu. Nie miał jednak wystarczającej mocy, by skrępować potwora. Taką potęgą nie dysponowała. Ani ona, ani Agraph Err. Musiała poprosić o pomoc.

Cóż, przecież i tak zamierzała odwiedzić Yasę. Był jej coś winien za ten żarcik z krasnoludem.

Dawno, dawno temu Pierwotny Mag obiecał nie używać sprzecznych z naturą zaklęć. Złożył Zakonowi uroczystą przysięgę. Złożył przysięgę Rosie. Ożywiającego krasnoluda zaklęcie złamało ją, więc Yasa pozostawał dłużnikiem Zakonu. Jej dłużnikiem.

Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. W sumie dobrze się stało, że Sodi pojawił się w karczmie. Przynajmniej raz przykurcz do czegoś się przydał.

Słabiutkie skrobanie do bram umysłu wyrwało ją z rozważań. Znała je już. Leniwie uniosła powieki.

– Nie próbuj, pani – ostrzegła miękko, chociaż ze stalowymi nutami w głosie.

Try dzielnie wytrzymała spojrzenie wojowniczkę. Powoli usiadła i wzruszyła ramionami.

– Chciałam wiedzieć.

– Wiem. – Skinęła głową Rosa. – Zdaje się, że to nie jest komnata narzeczonej Króla Królów.

– Czekałam na was. – Dziewczyna zawiesiła głos. Zakonna uniosła brew w milczeniu. Nie ułatwiała Gaalce zadania, mimo że czytała w niej bez trudu. – Poszłicie sami, bo nie ufacie władcy, prawda? Dlatego mi zostawiliście Yorhów. Tam,

na drodze, to byli Święci, gwardia królewskich zabójców. Poznaliście ich emblematy. Widziałam.

– Nie wiedziałam, że Gaalowie rozpoznają emblematy zakonnych oddziałów.

– Nie wszyscy Gaalowie, tylko te z nas, które wybrano na żonę dla Króla Królów. To on wysłał Świętych?

– Nie.

– A gdyby to był on, powiedzielibyście?

– Nie.

Skinęła ze zrozumieniem.

– Rozumiem. Musicie być lojalni względem swego zwierzchnika.

– Nie, nie rozumiecie. Coś dziurawa ta wasza edukacja. Moim zwierzchnikiem jest Matka Przełożona, a nad nią jest tylko Tradycja. Tylko im służę. Nie musicie bać się Reingharta. Agrah Err ślubował opiekę nad wami. Ja zaś złożyłam jemu obietnicę. Zawsze dotrzymuję słowa. Przy mnie jesteście bezpieczni.

– Sama umiem zatroszczyć się o siebie.

– Wierzę. A jednak tylko głupiec odmawia pomocy, gdy jej potrzebuje. Nie jesteście głupia, a pomoc wam się przyda.

Gaalka przyglądała się jej w milczeniu długą chwilę. Wreszcie potaknęła.

– Skoro nie król, to kto? – zapytała, przerywając ciszę.

– Nie wiem. Na razie. Powinniście odpocząć. Jutro poznacie przyszłego męża. Zważywszy na jego oczekiwania, nawet w tym stanie go zachwycicie, ale wypoczęta zwalicie go z nóg.

– Nie zależy mi na tym.

– A powinno. Przed wami długie lata życia u jego boku. Łatwiej żyje się z zakochanym mężczyzną.

– A skąd wy możecie to wiedzieć? Zakonne żyją w czystości.

Rosa wybuchła szczerym śmiechem. Rozbawiona klepnęła się w uda i wstała. Śmiała się tak jakiś czas, aż wreszcie usiadła obok zdumionej Try.

– Tak, zdecydowanie nie wiem tego z własnego doświadczenia – przyznała wciąż ze śmiechem w głosie. – Jednak tak właśnie jest. Dlatego też postaracie się olśnić jutro pana Krainy.

– Dziwna z was kobieta – szepnęła Gaalka.

– A ile Zakonnych poznałyście dotąd?

– Jesteście pierwszą.

Wojowniczką spoważniała.

– Zakon doradza Królowi Królów. Wiele Kobiet Tradycji mieszka w Syrelle. Poznacie wielu Zakonnych, ale macie rację... Ja jestem inna. Połóżcie się. Zostaniecie

ze mną tej nocy.

Dziewczyna zacisnęła usta. Nawet nie drgnęła, wpatrując się w Rosę.

– Chcecie jeszcze czegoś? – zapytała kobieta.

– Moglibyście... – z trudem dobierała słowa – moglibyście wreszcie powiedzieć mi, co z... co z Ronim. Gdzie... gdzie jest? Czy... czy żyje? – skończyła łamiącym się głosem.

– Długo czekaliście z tym pytaniem.

Try nie odpowiedziała.

– Roni umierał. Nawet Agrah Err nie ma takiej mocy, by go uzdrowić. Zabrał go do siostry. Tylko wspólnie mogą ocalić życie waszego przyjaciela. Jedyne połączona potęga Błogosławionego Rodzeństwa i tylko jeśli bogowie zechcą, może zatrzymać ostateczne odejście. To trudna i czasochłonna magia. Myślałam, że uczą tego przyszłe żony Króla Królów.

– Możecie mnie do niego zabrać? – Szmaragdowe oczy spoglądały błagalnie. W głębi już majaczyły łzy, choć Gaalka wciąż walczyła z emocjami. Zignorowała zaczepny ton Zakonnej i w napięciu wpatrywała się w mlecznobiałe tęczówki.

– Nie.

– Proszę – wyszeptała dziewczyna. – Jeśli on żyje...

Rosa z zaskoczeniem, ale i podziwem spojrzała na Try. Wiedziała, ile taka prośba kosztuje, sama nienawidziła błagać.

– Gdyby Roni umarł, Err już by tu był. Obiecał się wami opiekować. Nie mogę was zabrać na Czarną Górę. To kilka dni drogi, a wasze miejsce jest w Syrelle. Ja zaś mam pewne zobowiązania...

– Nie. Zabierz mnie, tak jak elf... – przerwała Rosie królewska narzeczona. – Muszę być przy nim. Nie rozumiesz... Roni jest największym wśród młodych gaalskich rycerzy. Dlatego go wyznaczono. Nikt nigdy nie zdołał go pokonać. On... On to zrobił specjalnie... jest taki... taki wrażliwy... Nie chce żyć beze mnie... Muszę mu powiedzieć...

– To ty nie rozumiesz, Try – nie dała jej dokończyć wojowniczką. – Nie umiem zbudować Mostu. Tylko Rodzeństwo, kilku magów i podobno smocze księżątka potrafią tego dokonać.

– Ale rankiem...

– Err zbudował Most. Ja mu tylko pomogłam przenieść chłopca. Sam też by zdołał, ale potrzebował mocy, żeby zatrzymać ducha Roniego, nim połączy siły z Arsii.

Przez chwilę dziewczyna, jakby nie rozumiejąc, przyglądała się rozmówczyni, a potem pochyliła głowę. Niewystarczająco szybko, by ukryć niechciane łzy. Dwie

krople spłynęły po pobladłych policzkach i skapnęły na splecione, mocno zaciśnięte palce.

Rosa westchnęła ciężko.

– Cholera, tak czułam, że nie powinnam pozwalać wam na pokładziny. Takie romantyczne wzdychanie zawsze jest bezpieczniejsze... Dobrze, już, dobrze, nie płacz.

– Położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. – Nie mogę cię przenieść, ale spróbujemy inaczej...

Usiadła na legowisku, krzyżując długie nogi. Oparła ręce na udach i odetchnęła głęboko. Przez chwilę wpatrywała się w Gaalkę, by wreszcie wskazać jej miejsce naprzeciwko siebie. Try spoczęła tam posłusznie, w takiej samej pozycji jak wojowniczką.

– To nie będzie przyjemne – ostrzegła cicho Zakonna. – Tylko raz płynęłam Nurtem Myśli. Boli i wyczerpuje, a powrót jest jak śmierć albo narodziny, zależy jak na to patrzeć. Jesteś gotowa?

– Nurtem Myśli? – Królewska narzeczona drgnęła niespokojnie. – Mówisz o...

– Nie przeniosę twojego ciała na Czarną Górę, ale mogę zabrać tam umysł. Nie na długo. Na kilka chwil. Wystarczająco, byście mogli powiedzieć swojemu romantycznemu głupcowi, że musi dla was żyć.

– Jak?

– Magią, oczywiście. – Uśmiechnęła się chłodno.

– Słyszałam, że to zakłęcie...

– To zakłęcie Yasy. Podarunek. – Zakonna wzruszyła ramionami. – Więc jak? – Łagodnie wyciągnęła rękę. Try uchwyciła je bez wahania.

W tej samej chwili świat rozbłysnął. Pękł na setki, tysiące błyszczących kawałków, a każdy z nich wbił się w skórę, rozorał mięśnie, w końcu wcisnął się w żyły i popłynął ku sercu. Rzeka krwi potężniała, rozrastała się i przyspieszała. Szeroki szkarłatny nurt niósł myśli. Szybciej i szybciej, a każda pokonana długość wyrzynała się blizną w umyśle, sprawiając świadomości fizyczny ból. Cięta tkanki, rozrywała ciało, żeby po chwili, krótszej niż mrugnięcie, zagoić ranę, a potem wyrwać ją od nowa, w niekończącym się tańcu powracającego cierpienia. Dwie kobiety połączone splecionymi dłońmi zeszywniały. Na puste, pozbawione głębi oczy wolno opadły ciężkie naraz powieki. W tym czasie obie dusze płynęły już krwawą, bezlitosną rzeką innego wymiaru, mknąc na spotkanie pozbawionego nadziei gaalskiego umysłu.

– Roni – załkało serce Gaalki, gdy trafiła w ciemność myśli ukochanego.

– Mów – ponagliła ją Rosa. Nie mogła się wycofać i zostawić zakochanych.

– Potrzebuję cię. Musisz żyć, bo cię potrzebuję. Musisz, Roni. Wrócisz do mnie. Jesteś moją siłą. Nie możesz mnie zostawić. Nie możesz.

Szmer dziewczęcych słów rozjaśniał mroki jaźni rannego. I te, choć niechętnie, poddawały się, odchodziły, uciekały przed światłem. Ciemność rozmywała się, a blask potężniał.

– Try?

– Roni!

Myśli, jak oddechy, wymieszały się i na moment zlały w jedno, łącząc wspomnienia i niewypowiedziane słowa jaśniejącym płomieniem, a ten wybuchnął pośród rzeki połączonych magią umysłów. Żar potężniał, jaśniejąc językami najczystszej bieli i krwawej czerwieni.

I naraz, w samym środku potężniejszego ognia, światło zgasło. Czar został przecięty.

Rosa uniosła ciężkie powieki, by zaraz gwałtownie je zmrużyć.

– Oż, kurwa, dwie takie panny w jednej pościeli. No się mnie spełniło największe marzenie ze smarkatych lat. – Rozczochrany krasnolud powoli wszedł do komnaty.

# RoydyałVI

## Poroyumienie

Sodi usiadł wolno na ławie naprzeciw łoża, uśmiechając się krzywo. Ciężki zapach pierwotnego zaklęcia wwiercał się w krasnoludzki umysł, podrażniony dodatkowo wykonanym przed chwilą wyłączeniem. Wydawał się całkowicie spokojny, pewny siebie i niemal zadowolony z życia. Tylko małe oczka pod krzaczastymi brwiami świdrowały wojowniczkę ze strachem.

Rosa zaś zerknęła na nieoczekiwanego gościa, a potem skupiła uwagę na Gaalce. Dłonie obu kobiet wciąż były połączone. Dziewczyna, tak jak Zakonna, uniosła powieki, jednak jej spojrzenie pozostawało nieobecne. Ze szmaragdowych oczu spłynęły łzy. Dwa cieniutkie strumyki, które ściekły po pobladłych policzkach i zadrzały na brodzie dwiema kroplami. Nic więcej nie świadczyło o tym, by myśli dziewczyny wróciły do ciała. Rosa delikatnie rozplątała połączone palce, a potem pieszczotliwie pogładziła przedramię królewskiej narzeczonej. Wyszepiała cicho zaklęcie. Starożytny czar w zapomnianym języku Pierwotnych Magów. Przez chwilę nic się nie działo, aż wreszcie dziewczyna wolno zamrugła. Raz, później drugi. Gęste czarne rzęsy zadrzały, jakby nieco wbrew sobie, a szmaragd rozbłysnął. Dusza z rozpaczliwym jękiem, wyrwanym z gwałtownie nabierających powietrza płuc, wróciła.

Zakonna uśmiechnęła się łagodnie. W ciszy musnęła skórę Try, dotykiem dodając jej odwagi.

Potem popatrzyła na krasnoluda.

– Wyłączyliście Nurt Myśli – bardziej stwierdziła, niż zapytała. – Zapewne wiedzieliście, jak niebezpieczne to było dla nas obu?

– Nic wam nie groziło. – Wzruszył ramionami, ale grube paluchy zacisnęły się na toporku zatkniętym za pas.

– Może i macie rację. – Uśmiechnęła się zimno. – Mnie nic nie groziło. Nie możecie tego jednak rzec o pani Trydnette, prawda?

Ponownie wzruszył ramionami, a mięsiste usta rozciągnął grymas, który zapewne miał być uśmiechem.

– Nie szkodziło spróbować, co nie?



Oczekiwał tego, był prawie pewien, że nastąpi, a jednak, kiedy Zakonna przyskoczyła, wciskając go w ścianę, stracił dech. Nie zauważył nawet, kiedy wyrwała zza cholewki smukły elfi sztylet, który teraz nacinał skórę na jego grdyce. Mowy nie było, żeby zdążył wyszarpnąć topór czy obronić się w inny sposób. Zadarł głowę, ledwie oddychając, by śmiertelnie ostra broń nie uszkodziła czegoś poza skórą. Odbarwione oczy wpatrywały się w krasnoluda obojętnie. Dałby sobie głowę uciąć, że szperała w jego myślach, choć nie czuł swędu magii.

– Chyba jednak szkodziło – powiedziała cicho. – Rzeknijcie mi teraz, drogi Yudherthardere, co powinno mnie powstrzymać przed uwolnieniem świata od kolejnego krasnoluda?

Aksamitny, zmysłowy głos przedziwnie podziałał na małego Tropicieła. Zbladł gwałtownie, poczuł żółć w gardle i coś zdecydowanie bardziej wstydlivego w gaciach.

– Czekam.

– Potrzebuję was, kobieto Tradycji – wycharczał wreszcie przez ściśnięte strachem gardło. – Potrzebuję pomocy Zakonu. Potrzebuję waszej Potęgi, starszej niż dana rodowi Małych Lordów.

Przez chwilę myślał, że nie rozumiała, gdyż patrzyła wciąż obojętnie, a dłoń trzymająca ostrze nie drgnęła. W ciągu tej samej chwili całkiem długie życie Sodiego przemknęło mu przed oczami. Każda krótka minuta, którą zmarnował czy którą się cieszył, zatańczyła w głębi umysłu, wypalając w nim bolesny ślad.

A potem Rosa cofnęła rękę, a sztylet, równie niezauważalnie jak się pojawił, znikł.

– Dobrze, Yudherthardere, porozmawiajmy.

– Roso? – Gaalka zaskoczona wpatrywała się w wojowniczkę. – Dlaczego...?

– Pan Yudherthardere użył słów Porozumienia, pani. Nie mogę mu odmówić.

– Porozumienia? Próbował nas zabić, groził mnie i Roniemu...

– Od tej chwili nie zrobi niczego, czego ja bym nie aprobowała.

– Skąd ta pewność?!

Krasnolud i Zakonna wymienili spojrzenia.

– Porozumienia zawarto po dziesiątkach lat walk. Pobłogosławili je mędrzy ze wszystkich nacji. Nasz Mały Lord z całą pewnością nie zechce go łamać. – Przyglądała się dziewczynie, a widząc, że ta nie rozumie, tłumaczyła dalej: – Krasnolud, prosząc o pomoc, oddaje się we władanie Zakonu. I odwrotnie, gdybym to ja użyła tych słów, pan Yudherthardere mógłby mną rozporządzać.

– Patrzcie panna – Sodi zerknął na Zakonną, a potem przeniósł wzrok na Try - niczego tych podfruwajek już nie uczą, nie? – zapytał filozoficznie. – I toto ma rządzić Krainą?

Zakonna uniosła lekko brew.

– Języka was na syrellskim uniwersytecie nie nauczono?

– A nauczono. – Uśmiechnął się szeroko. – Staroelfiego, Pierwszych, gaalskiego w obu dialektach, pięciu odmian języka Zachodnich Ludów... a prawiem zapomniał o dwóch martwych Ludów Śmierci...

– Tylko o uprzejmym zapomniano? – zakończyła już bez uśmiechu.

Wzruszył ramionami.

– A po cholere mi te dworskie gadki? Ani złota od nich nie przybędzie, ani szacunku nie przysporzą. Nie będę udawał jakiegoś przecacującego dupodajca z wysokiego rodu, coby się gaalskie pannisko nie gorszyło.

– Nie jestem delikatnym kwiatuszkiem. Byle kurdupel mnie nie zgorszy – mruknęła Gaalka, wstając. Widząc zaś zaskoczenie na brzydkim obliczu mężczyzny, kontynuowała: – Nie chce mi się wierzyć, że nagle tenże kurdupel zmienił zdanie i pogodzi się z gaalską królową.

– Oż, niech ja więcej miodzikiem pieczystego nie zapiję, ale się gówniara wyszczekana zrobiła – z uznaniem zauważył krasnolud.

– Pogodzi się, Try, nie ma wyjścia. – Zakonna przerwała dyskusję pozostałej dwójki.

– Porozumienie zamknęło śmiertelne zaklęcie. Ten, kto je złamie, umrze.

– Raz już go zabiliśmy...

– Kolejna śmierć będzie ostateczna. Ożywiający czar już wrócił do właściciela, prawda, Sodi?

Yudherthardere nie odpowiedział. Uśmiechał się krzywo, tylko ciemne oczy ponuro wpatrywały się w wojowniczkę.

– Dość tego, pani Trydnette. – Rosa spojrzała na dziewczynę. – Wkrótce zacznie świtać. Musicie odpocząć. Ja zresztą też. Połóżcie się, a ja niedługo wrócę. Muszę porozmawiać z naszym... sprzymierzeńcem.

– Ale...

Zakonna zmrużyła oczy, wbijając spojrzenie w wymęczone oblicze Gaalki. Żrenice kobiety rozszerzyły się, wypuszczając czar snu, a ten błyskawicznie wziął we władanie umysł Try. Nim dziewczyna zdołała się przeciwstawić czy użyć jakiejś osłony, słodkie macki otępienia otuliły ją i łagodnie złożyły nieprzytomne już ciało w szeleszczącej pościeli.

Zakonna odwróciła się do krasnoluda.

– Więc?

Sodi patrzył na śpiącą. Dopiero po chwili przeniósł wzrok na Rosę.

– Szybcyście. Nawet nie jęknęła.

– Wasz podziw mnie wzrusza, ale jestem zmęczona, więc wolalabym przejść do sedna. Sporo ryzykowaliście, przychodząc tutaj, więcej jeszcze przerywając Nurt. Kiedy

ostatnio się widzieliśmy...

– Kiedy ostatnio się widzieliśmy, moje flaki znaczyły śnieg pod waszymi stopami – dokończył mężczyzna.

Uśmiechnęła się chłodno i siadając obok Gaalki, wskazała na ławę przy łożu.

– Tak to zapamiętałam. Siadajcie. Nie wygląda mi to na krótką opowieść. Co zatem sprawiło, że nie pałacie już chęcią doniesienia na Try Królowi Królów? Zdaje się, że taki mieliście priorytet ostatnio?

– Pierdolić priorytety – zachnął się krasnolud.

Skrzywiła się lekko.

– Wydaje mi się, że Rada dała wam zadanie...?

– Ją też pierdolić – dodał z żalem, po czym posłusznie usiadł na ławie. Krótkie nogi zawisły w powietrzu, a ich właściciel przeczesał palcami brodę, oparł głowę o ścianę i kontynuował: – Najpierw chcą jednego, potem zmieniają zdanie... Siedzą, tam w tych lasach, matołki i radzą, a z tego ich radzenia nic prócz obesranej ściółki w lesie ni ma, ot co. Oddali moje usługi Leonerre, pani Doliny Serbithów. Zapisali w świętym glejcie, że pierdnąć bez jej zgody nie mogę, dopóki baba mnie nie puści.

Zakonna wolno skinęła głową.

– To rzeczywiście trochę kłopotliwe, ale gdzie moje w tym miejsce?

– Bo widzicie – westchnął brzydal – to głupie babsko chce, żebym rozwiązał jej problem, i wtedy mnie zwolni. A ja sam tego problemu rozwiązać, kurwa, nie potrafię... Znaczący potrafię, ale dziewczucha się upiera, że mam użyć innego sposobu, a do tego to już jesteście mi niezbędni.

– A jakież to problem ma królowa Doliny Serbithów?

– Zawarła umowę z Isiną.

Czarne brwi Zakonnej uniosły się wysoko.

– Właśnie. – Sodi pokiwał głową ze smutkiem. – Z pieprzoną martwą królową przekrętów. W życiu nic głupszego żem nie słyszał. Nie wiem, co obiecała Czarownicy, bo się nie chce przyznać, ale to i tak znaczenia nijakiego ni ma. Grunt, że Duch Pierwotnej ją wyruchał na całego i Leonerre chce się teraz z umowy wycofać.

– Powiedzieliście jej, że to niemożliwe?

– Chciałem. Bogowie wiedzą, że chciałem, ale, wiecie panna jak jest... Glejt nie pozwala. Echon go podpisał i obwarował takimi zaklęciami, że, jakem już wspomniał, pierdnąć samodzielnie, psia jego mać, nie mogę. Zawsze mnie skurwiel nie cierpiał.

Rosa podeszła do siedzącego. Pochyliła się nad nim.

– Słuchajcie, Yudherthardere, nie jestem specjalnie wybredna, ale wasz język nieco mnie męczy. Nie musicie, jak żeście to ładnie zauważyli, przechodzić od razu na dworską gadkę, ale trochę się przyhamujcie, dobrze?

Krasnolud wzruszył ramionami.

– Mogę się postarać, jak tak pięknie prosicie.

– Proszę. – Uśmiechnęła się lekko i na powrót usiadła. – Zatem nie powiedzieliście, że umowy z Isiną nie da się zerwać...

– Nie mogłem, a da się. Tylko tego łatwiejszego sposobu k... – zająknął się – ... królowa nie pozwoliła mi użyć.

– Na czym umowa polegała?

– Leonerre chciała mieć dzieci z jednym p... – znów się zająknął i z brzydkim grymasem pokręcił głową – ...z jednym Lodowcem. Poprosiła więc Isinę, żeby mogli być piękni i płodni jak wszyscy w Dolinie. No i k... są. Wszyscy w dolinie, piękni i kompletnie jałowi. Nie ma dzieci w całym królestwie. U wszystkich po równi.

– Cóż, Isina zawsze dotrzymuje swojej części umowy. Chociaż z tego, co się orientuję, nigdy nie w sposób, w jaki chciałby to widzieć ten, który z nią się umawia. Nie wiedziałam jednak, że można się z tego porozumienia wycofać.

– Bo w sumie nie można. Da się jednak je zerwać... tylko Leonerre się nie zgadza na wysłanie tego p... pięknego Lodowca do przodków.

– Ach – westchnęła Rosa z uśmiechem. – Taki sposób.

– Ano taki.

– Nie dziwi mnie jej niechęć. Chyba jednak nie sądzicie, że mnie się uda ją namówić? Krasnolud roześmiał się głośno, pokazując poźółkłe, krzywe zęby.

– Nie! Pewnie, że nie. Mało kto wie, że jest jeszcze druga możliwość zerwania umowy z Duchem Pierwotnej.

Zakonna wyprostowała się szybko. Naraz skupiła swoją uwagę na krępym brzydalu, zmarszczyła brwi, zmrużyła oczy.

– Tak? – spytała miękko. – A wy skąd go znacie?

– Moja prababka była kiedyś kochanką jednego Pierwotnego.

– Wasza prababka? – Nieukrywane zdumienie uniosło brwi kobiety.

– Co was wszystkich, do kurwy nędzy, tak to dziwi? – uniósł się krasnolud.

– A patrzyliście ostatnio w zwierciadło?

Zaskoczony Sodi zamrugął gwałtownie. Przez chwilę milczał, a potem pokiwał filozoficznie głową.

– No, w sumie racja. Żadne z nas cuda. Nie widziałem prababki, ale i ona pewnie nie była urodziwa... Mimo to jednak Pierwotny wziął ją do łóża. Są tacy, co twierdzą, że nawet spółdził z nią dzieci i zabrał ze sobą, kiedy prababkę oddalił. Podobnież wierna mu nie była i krasnoludzkiemu przybocznemu dawała na boku. Coś w tym być musi, boby mnie i braci nie było, nie? Taaa, wiem, że odchodzę od tematu. No więc, tak mówił dziadunio, jak się prababka zorientowała, że Pierwotny wie o jej... słabości...

i że tolerować jej nie będzie, trochę mu tych tajemnic podebrała. Między innymi, jak porozumienie z Pierwotnym przerwać.

– Słucham.

– Teraz to żartujecie, nie? No przecież wam tego nie zdradzę.

– Więc jak chcecie, żebym wam pomogła?

– Trochę mogę powiedzieć. – Sodi uśmiechnął się szeroko. – Jest takie zaklęcie... Babka je znała i ja je znam... Jeśli się je wypowie w sprzyjających okolicznościach, umowa z Pierwotną Czarownicą wygasa.

– Znacie zaklęcie, to po co wam ja?

– No przecież do tych sprzyjających okoliczności.

– To znaczy?

– Tak wszystko byście od razu chcieli wiedzieć...

– De Gra, mam za sobą ciężki dzień, nie ułatwiło mi go zerwanie Nurtu Myśli. – Rosa zniżyła głos i przechodząc prawie do szeptu, mówiła dalej: – Nie drażnijcie mnie, bardzo proszę.

Krasnolud pobladł lekko.

– Skąd wiecie? – zapytał stłumionym głosem.

– Że jesteście krasnoludzkim szlachcicem, a wasz pradziad i ojciec zarządzali Radą? Przeczytałam was. Więc jak będzie, de Gra Yudherthardere?

Krasnolud zeskoczył z ławy, zrobił dwa kroki w kierunku Zakonnej i zaraz cofnął się o jeden.

– Nie lubię tego przydomku – powiedział cicho, nie patrząc w przezroczyście oczy. – Jest wspomnieniem czasów, których już nie ma.

– A ja nie lubię krasnoludzkich tajemnic tuż przed wschodem słońca.

Skinął głową. Przez chwilę milczał, wreszcie westchnął ciężko.

– W Świętej Jaskini Pierwotnych o północy trzeba ucieleśnić martwą czarownicę. Kiedy duch wypełni ciało, trzeba ponownie ją uśmiercić. Ponowne odejście Pierwotnej zerwie wszystkie umowy, które zawarła.

Rosa uśmiechnęła się łagodnie.

– A ja wam jestem potrzebna, bo trochę boicie się spotkania z Isiną?

Wzruszył ramionami, nie odpowiadając.

– Dlaczego nie poprosicie Yasy? Musicie się dobrze znać, skoro wypożyczył wam takie drogie, kunsztowne zaklęcie.

– Żadni z nas przyjaciele, po prostu miałem coś, czego on chciał, a on coś, co mnie potrzebne było. Yasa do walki z Pierwotną się nie nadaje. To on wysłał jej ciało do piachu, a ducha zawiesił w niebycie. Jakby przyłożył rękę do jej ożywienia, bogowie Pierwotnych wezwaliby go na sąd.

– Nie wiedziałam.

– O sędzie?

– Nie, to wiem. Nie wiedziałam, że to Yasa zabił Isinę.

– Dziwne nie jest, jeszcze dziadunio waszego dziadunia nie byli w planach, kiedy się Pierwotni poprzykali. Zdaje się, że Czarownica źle zniosła odrzucenie i zarznęła Pierwotnemu narzeczoną.

– To mogło go nieco poirytować.

– No. Mogło. Trzaskali się tak, że uszkodzili jeden łańcuch górski w Delgharcie. Wiecie, ten Ścięty Szczyt to właśnie ich dzieło. No i Yasa wreszcie urwał babie łeb.

– To rzeczywiście pomóc wam raczej nie może. Dobrze, Yudherthardere, za chwilę zacznie świtać, a za mną trudne dni. Idźcie już. Rano ustalimy, co robić dalej.

Krasnolud zamarł na moment, a złośliwy uśmiech, drżący dotąd na mięsistych wargach, znikł błyskawicznie.

– Ale wiecie...? – zaczął zalękniony.

– Wiem, że nie mogę wam odmówić, nie martwcie się. Rano porozmawiamy. Dajcie mi odpocząć.

Posłusznie skinął głową. Spojrzał na śpiącą Gaalkę i znowu obleśnie się uśmiechnął.

– Może jednak zostanie? – Nie potrafił się powstrzymać.

Nie odpowiedziała. Spojrzenie Zakonnej, zimne jak śnieg na wierzchołkach Delghartu, przeslizgnęło się po brzydkim obliczu krasnoluda i w jednej chwili starło z niego uśmieszek.

– Już, kurwa, pożartować nie można – wymamrotał pod nosem i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Dopiero wtedy Zakonna uśmiechnęła się lekko. Zmęczone powieki opadły powoli. Dziewczyna wsparła głowę o filar łóżka i westchnęła ciężko.

– Err, potrzebuję cię – szepnęła. Nie miała już siły, by ponownie otworzyć Nurt Myśli. Zresztą i tak, nawet gdyby zdołała uruchomić zaklęcie, nigdy by tego Errowi nie powiedziała. Przyznanie się sobie było wystarczająco trudne. Westchnęła ponownie i nie otwierając oczu, wolno osunęła się na legowisko obok śpiącej. Sen przyszedł błyskawicznie. Głęboki, bez obrazów, oczyszczający. W jednej chwili zamknął się wokół niej niczym nieprzenikniony mrok. Potężny i absolutny. Nie było w nim jednak lęku, nie było obaw, a jedynie wszechobecny spokój.

Fala elfiej magii, najsilniejszej we wszechświecie, potęgi władcy elfiego gatunku, otoczyła komnatę, chroniąc obie śpiące kobiety. Nikt i nic nie mogło ich w tej chwili dotknąć. Nikt nie mógł zbudzić z magicznego snu. Król Czarnych Elfów, wywołany szeptem kochanki, wysłał swą moc naprędce zbudowanym Mostem. Stał na jego drugim końcu, wciąż związany magią z siostrą i Ronim. Chłopiec nadal potrzebował

obecności obojga, ale przyniesione Nurtem Myśli słowa Try przywróciły mu chęć do życia. Dlatego Agrah Err mógł przesłać zaklęcie i z tego powodu też mógł patrzeć na efekt jego działania. Mógł przyglądać się śpiącej wojownicze, zmęczonej bladej twarzy i cieniom pod oczami. Wyglądała na chorą, jak wtedy, przed laty, kiedy obudziła się w chacie. Gdyby go teraz zobaczyła, gdyby potrafiła czytać w jego myślach, och, ależ byłaby wściekła. Za czar snu, czar wypoczynku i współczucie na granicy bólu. Rosa nigdy nie przyznałaby się do słabości, tak jak nigdy nie powiedziała mu tego, co usłyszał przed chwilą. On zaś jak dotąd nie powiedział Rosie, że jeśli się skupi, potrafi usłyszeć każde jej słowo, każdą myśl. Mimo Przemian pozostawała elfką, była więc częścią dziedzictwa, które otrzymał z urodzenia. Na każdy możliwy sposób. Słyszał ją, widział, czuł. Zawsze i wszędzie. Od dnia, gdy uratował jej życie. Inne elfy pojawiły się w jego duszy dopiero w chwili przejścia władzy, ale nie ona. Ją poczuł wcześniej. Była jego częścią dłużej niż jakakolwiek istota, oprócz Arsii. Była nim.

Wyciągnął dłoń, choć wiedział, że nie zdoła dotknąć ukochanej, a ona, chociaż nie poczuła tego dotknięcia, drgnęła lekko i odwróciła się. Zaklęcie rozluźniło napięte ramiona, wygładziło rysy, rozjaśniło cienie pod długimi rzęsami i w kilka chwil usunęło szarość oraz oznaki zmęczenia. Spotęgowana moc króla Czarnych Elfów pokonała Przemiany i zapanowała nad Zakonną, łagodnie pieszcząc jej myśli, płynąc wraz z krwią tuż pod skórą. Wyciszała, kołowała, leczyła. Umysł i ciało. On zaś uśmiechał się z czułością, nie spuszczać wzroku ze śpiącej.

\*

Głęboki i słodki sen przyniósł Rosie odpoczynek, jakiego nie zaznała od lat. Długo, bardzo długo płynęła z nurtem ciepła i spokoju. A potem zerwała się wichura. I przyniosła wspomnienie.

*Nie wiedziała, jak długo czekała na czwartą Przemianę. Może była to chwila, może dzień. Na wpół przytomna wpatrywała się w czerwonożłote ściany ognia płonącego wokół niej. Ból i zmęczenie nie pozwalały jej stać. Siedziała, kotysząc się lekko, przekonana, że nie zdoła przeżyć. Nie chciała żyć. Musiała żyć. Dla niego. Dla Orena. Żeby oczyścić jego imię, żeby go pomścić.*

*Zmęczenie starwało się nieznośnie. Ciało słabło z chwili na chwilę. Oczy odmarwiały postuszeństwa. Zmrużyła powieki, ale obraz rozmazywał się coraz bardziej. Zamrugęła, próbując podnieść głowę. Nie mogła. Wolno, bardzo wolno uniosła dłoń. Nie, to nie mogła być jej ręka. Skóra była pomarszczona, a palce poźółtkły. Próbowwała nimi poruszyć, ale ciało już jej nie słuchało. Opadła na podłogę, włosy rozsypały się wokół. Popielatosiwe kosmyki białeły, gdy na nie patrzyła. Naraz pojawił się ból. Zaczął się w kończynach i płynął ku*

sercu. Chciała krzyczeć, ale z gardła wyrwał się tylko cichy skrzek. Wciąż świadoma dostrzegła, jak jej ciało z wolna rozkłada się i gnije, a wreszcie zmienia w proch...

– Roso...

– Oren? Umarłam? Tak chciałam żyć dla ciebie.

Jaśniejąca postać pochyliła się nad nią. W blasku twarz ukochanego wydała się uśmiechać.

– Będziesz żyć. Nie dla mnie, dla siebie. Masz siłę. Ona jest w tobie. Użyj jej, żeby dokończyć Przemianę.

– Oren!

Znikł, pozostawiając ją w ciemności. Cisza, ciemność, spokój. Ból zniknął. Było jej dobrze.

„Użyj jej, Roso, użyj jej. Dla siebie”.

Ściany wciąż płonęły. W środku Kręgu Przemian leżała kupka szarego pyłu, która kiedyś była Zakonną.

„Użyj jej, Roso, użyj jej”.

Małeńki promyk zatańczył w prochu. Przesuwał się wolno w popiele i naraz rozbłysnął. Jaskrawe światło miękko rysowało kształty na podłodze. Unosiło się i opadało, to gasnąc, to intensywniejac. Pył poruszył się i zaczął nabierać kształtów. Najpierw pojawiły się kości, białe w jasnych promieniach, wolno pokrywając się mięśniami. Krwista masa poruszyła się, pieszczona światłem. Czas dalej cofał się, odbudowując skórę, włosy, paznokcie. Wreszcie w oczodołach pojawiły się gałki oczne, odbarwione tęczęwki i małeńkie szpileczki źrenic. Zwinięta w kłębek dziewczyna z trudem złapała oddech.

Ostatnia pochodnia zgasła, a za nią kurtyna ognia.

Zgromadzeni w Komnacie Przemian jęknęli. Od wielu godzin wpatrywali się w płonące ściany, odliczając kolejno gasnące pochodnie. Nikt nie wyszedł. Wszyscy cicho się modlili. Matka Beathe również. Kiedy kurtyna płomieni opadła, kobieta zbladła. Troje Zakonnych za jej życia próbowało przejść Przemianę Czasu i za każdym razem, gdy pochodnia gasła, na podłodze zostawała kupka popiołu. Nikt nigdy nie przeżył tej Przemiany. Zasiadający w Radzie Zakonu uważali, że została ona stworzona, by eliminować chcących sięgnąć po władzę nad Krainą.

Rosa żyła. Leżała co prawda wciąż nieprzytomna, ale żyła. Beathe była tego pewna. Przerazenie ścisnęło ją za gardło. Matka Przetłożona nigdy jej tego nie wybaczy. Zakon nigdy jej tego nie wybaczy.

Podeszła do leżącej. Pochyliła się nad nią i dotknęła jej szyi, by sprawdzić tętno. Nie musiała. Bezbarwne oczy śledziły z nienawiścią każdy jej ruch. Czula je. Mimo to kucnęła przy dziewczynie. Potrzebowała czasu. Myślała, intensywnie myślała, jak wyjść z tarapatów. Dotknęła Przemienionej. Dziewczyna była lodowato zimna. Beathe uśmiechnęła się do niej, a potem odwróciła się do czekających. Znowu była poważna.

– Bogowie wydali werdykt. Rosa nie żyje – powiedziała mocnym głosem.



Zapadła cisza. Zakonni wpatrywali się w leżącą, a kiedy nie drgnęła, zaczęli pochylać głowy.

– Niech będzie chwala bogom i Zakonowi – mówiła dalej Beathe. – Rozejdźcie się i pomódlcie w ciszy swoich cel o spokój duszy dla zmarłych.

Zgromadzeni jedno po drugim bez słowa wychodzili z Komnaty. Na końcu zostały tylko Matka Beathe i siostra Jeanie.

– Nie do wiary – szepnęła ta ostatnia. – Nie spopielita się. Zdumiewające, że mimo to nie żyje.

– Jeszcze nie. – Beathe pochyliła się nad leżącą. – Bogom, moja droga, czasami trzeba pomóc podjąć właściwą decyzję. – Uśmiechnęła się złośliwie do Rosy.

Jeanie przyglądała się im obu zdumiona.

– Ona nie umarła! – wykrzyknęła nagle.

– Zamknij się! – wrzasnęła na nią Beathe. – Chcesz, żeby zleciał się tu cały Zakon?!

– Ale powiedziałaś... Pomyliłaś się?

– Ja się nigdy nie mylę. Ona nie żyje, tylko jeszcze o tym nie wie.

– Ale...

– Nie rozumiesz? – Matka odwróciła się gwałtownie i chwyciwszy Jeanie mocno za ramiona, spojrzała jej w oczy. – Jeśli ona nie umrze, to de Moreal był niewinny, a my przyjęliśmy kłamliwe świadectwo Seara. Wygnają nas, w najlepszym przypadku.

Wystraszona Jeanie rzuciła szybkie spojrzenie na leżącą, a potem utkwiała je w oczach rozsierdzonej przetożonej.

– Chcesz ją zabić?

– Jesteśmy kobietami Tradycji. Nie wolno nam, bez sądu i wyroku. Żadna z nas jej nie zabije. – Złożyła palce w znak przywołania. – Od tego są inni.

Bocznymi drzwiami weszli dwaj potężni mężczyźni. Od ogolonych głów odbiło się światło pochodni, jego blask zamarł w ciemnych, pogrążonych w magii wezwania oczach. Stanęli przed Matką Beathe i pokłonili się głęboko. Dokładnie tak, jak nakazywał im czar.

– Zabierzecie to ciało i pozostawicie w polu, pięć godzin jazdy od Zakonu. Tak Tradycja karze morderców.

Ukłonili się ponownie. Jeden z nich podniósł Rosę i szybko ruszyli do wyjścia. Nim zamknęli za sobą drzwi, dziewczyna usłyszała jeszcze Matkę Beathe:

– Śnieg i mróz pozbędą się problemu. Jest słaba, nie zdoła się ruszyć. Bogowie dokończą dzieła, trzeba im tylko pomóc.

Drzwi zamknęły się i zapadła cisza. A potem był chłód. Zabijający powoli mróz i wszechobecny śnieg...

Aż nadszedł Err. Znalazł Rosę pośród zamieci. Zabrał do chaty i rozgrzał umierające ciało. Przyniósł ukojenie. Ciepło. Czulość... Err.

Słońce wzeszło i ruszyło w podróż po horyzoncie. Połyskliwie igrało w płatkach śniegu leżących na dachach wieżyczek wschodniego skrzydła, odbijało się w złoceniach, tańczyło w witrażach okien, by po chwili przecisnąć się przez barwne szkiełka i malować kolorowe obrazy na ścianach.

Rosa leniwie uniosła powieki i bezmyślnie wpatrywała się w igrające barwy. Uśmiech zadowolenia zadrżał na pełnych wargach wojowniczkii, przesunął się przez policzki, by z wolna objąć całą twarz i wreszcie mleczne tęczęwki. Na krótką, bardzo krótką chwilę pojawił się w nich kolor. Słabe odbicie głębokiego szmaragdu.

– Err – szepnęła cicho Rosa.

Kiedy młoda Gaalka drgnęła obok niej, Zakonna przeciągnęła się lekko i nadal uśmiechnięta, wstała. Sprężyste ciało reagowało równie szybko jak wypoczęty umysł. Wydała milczące polecenia stojącym za drzwiami Yorhom, a potem spojrzała na Try. Dziewczyna już nie spała.

– Dzień dobry – powiedziała grzecznie, siadając.

– Dzień dobry. Wyspałaś się?

– Tak. Gdzie krasnolud?

– Gdzieś w zamku. Długo spałyśmy. Król Królów już czeka, żeby cię poznać. Umyjesz się, przebierzesz i pójdziemy spotkać twojego przyszłego męża.

Dziewczyna skrzywiła się.

– A Yudherthardere?

– Nie musisz się nim przejmować. Potrzebuje mojej pomocy bardziej, niż chce oświecić Króla Królów. Poza tym... – ten uśmiech nie ogarnął już oczu – to by było tylko jego słowo przeciw naszym. I przeciw żywemu dowodowi, który dostarczysz Reinghartowi w noc poślubną.

– Ale... – Gaalka spłonęła rumieńcem.

– Och, dziewczyno, naprawdę myślałaś, że pozwoliłabym ci... wam, na to, nie zabezpieczywszy się odpowiednio? Magia Czarnych Elfów, Try. Fizycznie jesteś nietknięta. Reinghart nigdy nie uwierzy krasnoludzkiej paplaninie. Nawet gdyby, a jak już ci mówiłam wczoraj, jest to wielce nieprawdopodobne, Sodi zechciał zdradzić Królowi naszą małą tajemnicę.

Wciąż jeszcze mówiła, gdy drzwi, bez uprzedniego pukania, otworzyły się i weszli przez nie Yorhowie, niosąc olbrzymią balię. Ponad brzegami naczyńia unosiła się para. Wojowie postawili wannę i bez słowa wyszli.

– Nie powinni zapukać? – Gaalka zmarszczyła brwi.

– Nie. – Rosa nie zamierzała tłumaczyć, że wojowie zapytali, stojąc przed drzwiami, i usłyszeli zaproszenie. – Wykąp się. Nową suknię znajdziesz w skrzyni pod oknem.

– Po co to? – Dziewczyna podeszła do wojowniczkę – I tak się ze mną ożeni. Nawet jeśli będę śmierdzieć jak stara oślica.

– Masz rację. I tak się z tobą ożeni. – Odbarwione oczy rozbłysły. – Jesteś gaalską szlachcianką, przedstawicielką wyższej rasy i przyszłą królową. Niech wie, że nie bierze za żonę ubogiej chłopki. Niech zobaczy, jak wielka dama zasiądzie u jego boku.

Try cofnęła się lekko. Wyprostowała ramiona i uniosła głowę.

– Macie rację, Kobieto Tradycji. Zapomniałam się na chwilę. Dziękuję, że mi przypomnieliście, kim jestem.

Kiedy dziewczyna brała kąpiel, Zakonna wyszła z komnaty. Stała przed nią, czekając na krasnoluda. Czuła jego obecność od chwili, gdy otworzyła oczy. I rzeczywiście, ledwie wyszła, zza filaru wychynął krótkonogi brodac.

– Aleście pospali, już myślałem, że się nie doczekam.

– Dzień dobry, panie Yudherthardere.

– Eee tam, dobry, cholera. Dzień jak każdy. To jak z nami będzie?

– A jak ma być?

– No wiecie, Porozumienie...

– No wiem. – Uśmiechnęła się. – Mówiłam wam, że rozumiem zasady.

– To kiedy wyjeżdżamy?

– Nie wiem.

– Ale – Sodi poczerwieniał gwałtownie – musicie pojechać ze mną! Porozumienie nas wiąże! Musicie!

– Muszę – potaknęła chłodno – ale zasady nie mówią kiedy. Na razie mam pewien problem i dopóki go nie rozwiążę, dopóty nie opuszczę Syrelle.

– Problem?! A co mnie, psia jego mać, wasz problem obchodzi?!

– Miarkuj się, Sodi – szepnęła Zakonna i jak zwykle, ten ton momentalnie ochłodził zapędy mężczyzny. Cofnął się, aż uderzył plecami o ścianę, a czerwień skóry zastąpiła niezdrowa bladość.

– Nie możecie mnie zabić – wyszeptał przerażony, zaciskając zbielełe palce na toporku zatkniętym za pas.

– Zawsze mogę was zabić. Zawsze mogę uznać, że nie stosujecie się do Porozumienia, a wtedy... – wciąż szeptała, nie spuszczać wzroku z krasnoluda. – Miarkujcie się więc, de Gra. Tradycja i bogowie stoją po mojej stronie.

W milczeniu krzyżowali spojrzenia, aż wreszcie brodac opuścił wzrok. Nie rzekł jednak ni słowa. Rosa zaś uśmiechnęła się lekko, widząc, że wściekłość pospołu ze strachem toczy żyły małego mężczyzny. Nie było w tej pochylonej głowie nawet odrobiny pokory czy spokoju, a z napiętego jak struna brzydkiego ciała prawie dymił gniew.

– Spokojnie, panie Yudherthardere – powiedziała głośniej, łagodnym tonem. – Pojadę z wami i zabiję Isinę. Wiem, że cierpliwość obca jest waszej rasie, ale musicie się w nią uzbroić. Mam wcześniejsze zobowiązania i, w przeciwieństwie do was, nie mogę zignorować priorytetów.

Sodi spojrział spode łba, nadal milcząc. Kobieta podeszła do niego i lekko poklepała go po ramieniu.

– Wybaczcie mi teraz, proszę, ale muszę porozmawiać z naszym wspólnym znajomym.

Odwróciła się i ruszyła korytarzem w kierunku wieży, pozostawiając zaskoczonego krasnoluda, by bezskutecznie zastanawiał się, o kogo jej chodzi.

# RoydyałVII

## Stary przyjaciele, stary wrogowie

Słońce stało już wysoko. Rosa zadarła głowę i spojrzała w niebo. Drobne obłoczki przesuwają się po zimnym błękitnie, tworząc dziwne obrazy. Zimny wiatr przeganiał nierealne postaci, zarysy zwierząt i kwiatów. Roztarła ramiona, kiedy chłód wdarł się pod jej koszulę. Zapomniała o nim, wychodząc z pałacu.

– Wietrze wschodni, wietrze zachodni, podmuchu z północy, porywie z południa – zaintonowała cicho, nie czekając dłużej. – Przywiejcie obraz waszego brata. Otwórzcie okno do jego domu. Wszystkie wiatry i ty, życiodajne słońce, odbijcie zwierciadło Pierwotnej Mocy. – Wyjęła zza paska niewielką szklaną monetę i przez chwilę w ciszy przesuwając ją między palcami, bawiąc się tańczącymi w niej promieniami słońca. Wreszcie zatrzymała pieniążek, a światło przemknęło przez wypolerowaną powierzchnię, rozdzielając się na tęczę barw.

– Otwórz się! – krzyknęła, a odbite promienie zadrżały w cichnym naraz wietrze, zawirowały i zamarły, tworząc jaśniejsze lustro. Na krótko zamajaczyła w nim twarz Rosy, by zaraz ustąpić miejsca ciemności. To z niej dochodziły ciche postękiwania i niskie, głębokie jęki. Ciemność wciąż trwała, nieprzenikniona, odbita w magicznej tafli, ale wieżę, na której stała Zakonna, wypełniły namiętne głosy, gorące szepty i podniecające dźwięki rozkoszy.

– Hmm... – chrząknęła Rosa.

Nagła cisza była jedyną odpowiedzią. Magiczne zwierciadło zdało się naraz czarnym, absolutnie martwym kołem.

– Przykro mi, Yaso – zaczęła Zakonna – że ci przerywam, tym bardziej że od wielu lat czekałeś na powrót swej... damy, lecz potrzebuję twojej pomocy.

Przez chwilę nic się nie działo. Lustro pozostawało martwe, a Rosa w milczeniu czekała. I nagle, gdy już zamierzała ponownie przypomnieć o swej obecności, mrok zafalował i całą powierzchnię niemałego artefaktu wypełniła szczupła twarz Pierwotnego Maga. Oczy mężczyzny błyszczały jednocześnie gniewem i rozbawieniem, a po skroni wolno płynęła kropla potu.

– Rosa! Jakże miło cię widzieć! Acz moment wybrałaś fatalny. – Uśmiechnął się szeroko i mrugnął figlarnie. – Jest szansa, byś wróciła za... powiedzmy rok?

Tym razem wojowniczką zaprezentowała równie szeroki uśmiech.

– Pochlebiasz sobie, mój drogi. Pamiętam twoje możliwości i chociaż niezłe, na rok ich chyba nie starczy. Bliżej prawdy byłby dzień... może dwa. I uprzedzając twoje pytanie, nie, nie mogę wrócić pojutrze. Pilnie potrzebuję twojej obecności w Syrelle.

Czuły uśmiech, który dotychczas towarzyszył magowi, znikł w jednej chwili.

– Raczej nie – odparł chłodno. – I to nie tylko dlatego, że mam tu lepsze zajęcia.

– Wiem, że nie darzycie się z Królem Królów miłością...

– Droga przyjaciółko, ja gardzę Reinghartem, a on się mnie boi.

– Jakiegokolwiek są twoje czy jego uczucia, przyjacielu, obiecałeś mi coś i czas się z tej obietnicy wywiązać.

– A nie mógłbym jakoś inaczej? – zapytał nieco urażony Yasa.

– Nie.

Przyglądali się sobie w pełnej napięcia ciszy.

– Kiedy zaklinałem monetę, nie myślałem, że wykorzystasz ją w taki sposób.

– Kiedy zaklinałeś monetę – ponownie się uśmiechnęła, bardziej do wspomnień niż żywej istoty w magicznym odbiciu – w ogóle nie myślałeś.

– Teraz ty sobie pochlebiasz, moja droga. – Ale on również się uśmiechnął. – Cóż, skoro się upierasz... Obietnica Pierwotnego rzecz święta. Będę w Syrelle za trzy dni.

– Przykro mi, Yaso, nie mogę czekać, aż dojedziesz z wielką pompą i setkami służby. Brak mi czasu i trochę też w tym twojej winy. – Skrzywiła się lekko. – Pogania mnie jeden pokurcz, na grobie którego winna właśnie osiadać ziemia...

– Yudherthardere? – domyślił się mag. – To ciebie wyrzuciła mu leśna pani? – A widząc jej zdziwienie, dodał: – Ty go zabiłaś?

– Poniekąd.

– Cóż, świat jest mały.

– Twoje ożywiające zaklęcie utrudniło mi życie, przyjacielu.

– Przykro mi. – Szeroki uśmiech bynajmniej o tym nie świadczył. – Nie mogłem się oprzeć temu, co mi zaoferował w zamian.

Rosa również lekko się uśmiechnęła.

– Rozumiem. Arthe, tak?

– Skąd...? – Zmarszczył brwi.

– Zakon wie o wiele więcej, niż myślisz.

– Muszę lepiej zadbać o własne tajemnice. Krasnoludy, Zakon... wszyscy wszystko wiedzą. Kiedyś byłem nieodgadniony... Kiedyś magią mógł się parać tylko wybrany... teraz byle pokurcz ma zaklęcie, którego ja nie znam.

– Taaa, to smutne. – Zakonna uśmiechnęła się ironicznie. – Ale odsuwa nas od tematu. Nie mogę czekać, aż pokonasz Delghartowskie Góry i Królewski Trakt. Użyj

Mostu.

– Droga Roso, tak właśnie zamierzałem zrobić.

– Więc po co ci trzy... Och! – Prawie się roześmiała. – Po to. Niestety, nie dam ci trzech dni. Albo bym oszalała, albo zarżnęła Sodiego. Masz czas do wieczora.

– Czy ty mi przypadkiem nie rozkazujesz?

– Tylko przypadkiem.

– Będę jutro. – Widząc, że zamierza dyskutować, dodał: – Nie, Roso. Każde magiczne okno ma wyłącznik, wiesz? Do jutra. – Zmrużył oczy i nim dziewczyna zdołała zaprotestować, odbicie Pierwotnego znikło pod czarną zasłoną. Magiczne lustro zaczęło drżeć, jego tafla załamywała się, tańczyła smagana zimnymi powiewami, by wreszcie rozpaść się na setki drobnych kropli, połyskujących w zimowych promieniach słońca diamentowym blaskiem. Brylanty upadły na szare kamienie wieży, turlając się, sunęły ku sobie, a gdy się stykały, stapiały w jedno, kropla po kropli.

Rosa skrzywiła się lekko. Podeszła do połyskującej kałuży. Gdy się schylała, ostatni brylant wtopił się w pozostałe, a błyszcząca plama błyskawicznie zmieniła w monetę. Ta zaś zniknęła między placami Zakonnej, a następnie za paskiem jej spodni. Kobieta z ciężkim westchnieniem ruszyła wolno do wyjścia.

\*

Król Królów znów był sam w sali tronowej. Siedział na tronie pradziada i z bólem zerkał na antałek miodu. Dwa głosy walczyły w jego głowie. Jeden kazał mu się napić, sięgnąć po miód i sycić się nim po samo dno. Wyobrażał sobie ten słodko-cierpki płyn, spływający gorącym strumieniem przez gardło aż do żołądka. Pragnął go. Pożądał bardziej niż jakiegokolwiek kobiety... od czasów Alesandry. Tak, ten potężny, donośny głos był skutecznie zagłuszony przez ten drugi. Mądry, cichy, prawie szept, powtarzający, że nie wolno. Nie wolno sięgnąć po alkohol. Nie wolno poczuć tego cudownego, wspaniałego zapomnienia, jakie daje. Szept brzmiał znajomo. Słodki, delikatny, a unosił włosy na karku i dreszczem przebiegał przez plecy. Reinghart wstał i podszedł do ławy. Wyciągnął rękę... przynajmniej sądził, że ją wyciąga, bo ani dłoń, ani ramię nie drgnęły. Ciało odmówiło posłuszeństwa. Strach zimnym płomieniem zatańczył pod skórą, zwłaszcza że każdy krok, który winien zbliżyć króla do antałka, oddalał go od niego. Władca sapnął cicho, a przekleństwo zamarło mu na wargach.

Już nie pamiętał, jak to jest, ale właśnie sobie przypomniał. Bał się. Opadł na siedzisko i ciężko wsparł głowę na rękach. Pokręcił nią wolno zaskoczony i zdumiony emocjami, które właśnie dały o sobie znać.

Skrzypnięcie drzwi przerwało rozmyślenia Króla Królów. Nie ruszył się ani nie podniósł głowy.

– Czego? – burknął cicho. Kiedy przez dłuższą chwilę nie otrzymał odpowiedzi, spojrział wreszcie w kierunku wejścia.

Bywa, że życie nagle staje przed oczyma. Całe, długie życie w ułamku sekundy cofa się, tysiącami obrazów przebiegając w umyśle. Bywa, że czas naraz zawraca, szaloną wichurą przemykając przez myśli, by zatrzymać się dziesiątki lat wstecz.

Dziewczyna miała długie złote włosy. Tylko raz, jeden jedyny, widział je rozpuszczone, wiatr igrał w nich wtedy, miękką pieśczęcią przesypując kosmyki. Minęło trzydzieści lat, a on wciąż pamiętał tamten obraz, złotowłosą piękność o szmaragdowych oczach, zimnych, bezwzględnych, a najwspanialszych we wszechświecie.

– Alesandro... – szepnął, zrywając się z tronu. Serce zdawało się rozsadzać mu pierś, a tchu niemal brakło. Zacisnął palce i przymknął powieki, by zaraz je otworzyć. Wciąż tam stała. Oszalał? Czy to właśnie to? Początki szaleństwa, które zniszczyło jego pradziada? Bo przecież ona... ona nie wróciła... Nie, nie mogła.

– Alesandro... – Ruszył ku stojącej.

– Wasza Wysokość. – Melodyjny niski głos dziewczyny zatrzymał go w miejscu. Zamrugnął gwałtownie, po czym zmarszczył brwi i uważnie przyjrzał się gościowi.

– Nie jesteś nią – stwierdził wciąż drżącym z emocji głosem.

– Nie, panie. Nie jestem królową Arsii czy też Alesandrą, jak ją nazywacie. Mówiono mi, że ją przypominam...

– Przypominasz. Jesteś... podobna. – Zawahał się.

– Mamy wspólnych przodków. Jestem Gaalką, jak ona.

Pokiwał głową, nie mogąc oderwać od niej oczu.

– Tak, wiem, jej matka... – urwał. – Jesteś moją narzeczoną, prawda?

Skinęła, a miękkie loki rozsypały się na ramionach. Poprawiła je nonszalancko, kompletnie nieświadoma tego, jakie wrażenie ten drobny gest zrobił na przyszłym małżonku.

– Trydnette Oreel hoe de Goddry – przedstawiła się, dygając lekko. – Córka Sorfe de Goddry, aktualnego Pierwszego Gaalskiej Rady.

– Nie wiedziałem. – Uśmiechnął się z trudem. Dopiero teraz dojrzał, że nie są sami. Za dziewczyną, w odległości kilku kroków, stała Zakonna, a za nią dwaj Yorhowie. Brzydkie twarze olbrzymów wydawały się otepiałe, a czarne oczy miały nieruchomo utkwione w oknach za plecami Króla, ale Reinghart zbyt wiele lat spędził w walce, by nie rozpoznać gotowości w pozornie obojętnym spojrzeniu i napięcia w rozluźnieniu. Oczekiwali ataku i ta świadomość zdumiała władcę.

– Dzień dobry, Kobieto Tradycji – przywitał się chłodno.



– Dzień dobry, Błogosławiony przez Tradycję Władco wszystkich Krain. – Nie zdołała i chyba nawet nie próbowała ukryć ironii, używając oficjalnego powitania. – Niech bogowie cię chronią.

– I was, Kobieto Tradycji. Teraz zostawcie nas samych.

Uniosła brew. Odbarwione oczy pozostały chłodne.

– Nie wolno mi tego zrobić. Nie, dopóki szlachetna Trydnette nie zostanie waszą małżonką.

Każde jej słowo ociekało drwiną. Czuł to, wiedział, ale nie mógł zaprzeczyć. Tradycja nie pozwalała mu zostać sam na sam z przyszłą żoną.

– Myślę, że ten jeden raz możecie uczynić wyjątek – syknął.

– Nie ma wyjątków w świętej Tradycji – odpowiedziała cicho. Nie potrafił czytać w myślach, ale i tak wiedział, że obojętne spojrzenie Zakonnej coś ukrywało. Nie chodziło jej o Tradycję. Znał ją. Miał szpiegów w całej Krainie, więc wiedział, że Rosa interpretuje Tradycję po swojemu i bardzo rzadko przejmuje się literalnym zapisem Praw Zakonu. Skoro więc nie chciała wyjść... Zrozumiał w tej samej chwili. Szybko podszedł do kobiety i pochylił się, by spojrzeć wprost w mleczone tęczę.

– Nie zrobię jej krzywdy, na litość boską! – szepnął poirytowany.

Przyglądała mu się w milczeniu. Ponownie pożałował, że nie potrafi czytać w myślach, bo, był tego prawie pewien, ona właśnie to robiła z jego umysłem. Długą chwilę stali tak w pełnej napięcia ciszy, aż wreszcie Zakonna powoli skinęła głową, odwróciła się i bez słowa opuściła komnatę. Wojowie wyszli za nią.

Reinghart uśmiechnął się cierpko, patrząc za nimi. Potem, minawszy narzeczoną, podszedł do wyściełanej poduchami ławy. Usiadł i klepnąwszy miejsce obok, spojrzął na gościa.

– Usiądź, proszę.

Dziewczyna posłusznie zajęła miejsce obok króla. Wpatrywał się w nią intensywnie, jakby chciał nauczyć się jej na pamięć. Uśmiechnęła się z trudem.

– Teraz nie wyglądasz jak Alesandra. Nie pamiętam jej uśmiechu. Całkiem możliwe, że nigdy go nie widziałem. Nie pamiętam...

Milczała. On również. Co miał powiedzieć temu dziecku, młodszemu zapewne od bękarta, którego spłodził? O czym rozmawiać z żywym wspomnieniem, ułudą czasów i uczuć, o których dawno winien zapomnieć? Z bolesną jasnością pojął, że Gaalowie wiedzą o jego słabości. Muszą wiedzieć, dlatego zapewne wybrali tę dziewczynę. Bardziej dla jej wyglądu niż innych zalet. Oblicza Alesandry.

– Jak wam się podoba Syrelle? – zapytał, przerywając ciszę.

– Przyjechaliśmy w nocy, niewiele zdołałam zobaczyć.

– Rzeczywiście, zapomniałem.

Ponownie zapadła cisza. Try przyglądała się królowi już z poważnym wyrazem twarzy. Najwięksi czarodzieje Krainy zadbali o ochronę jego umysłu, więc nie potrafiła doń zajrzeć, ale i bez tej umiejętności wiedziała, o czym mężczyzna myśli. Przez chwilę zastanawiała się, jak zareagować. Potem wspomniała słowa Rosy. Strach i niepewność, towarzyszące jej aż do tej chwili, minęły. Wyprostowała się i ponownie uśmiechnęła, tym razem chłodno i z wyższością. Tak samo jak robiła to Zakonna, tak samo jak Try uczono w gaalskim monasterze. Była w końcu gaalską szlachcianką, potomkinią pradawnych rodów. Przyszłą Królową.

– Nie wiem, panie – odezwała się cicho – czy wybrano mnie dla podobieństwa do waszej kuzynki. Może również. Przede wszystkim jednak zostałam wybrana na żonę Króla Królów, bo pochodzę ze świętego rodu, bo w szkołach miałam najlepsze wyniki, bo żadna kobieta spośród Gaalów nie mogła się równać ze mną nie tylko w szermierce, lecz także w wiedzy z historii, geografii, językach czy naukach ścisłych. Kraina jest częścią naszego dziedzictwa. Rada nie posadziłaby na tronie pustogłowej lalki. Bez względu na jej wygląd.

Reinghart słuchał tej przemowy ze zdumieniem. Nie tego się spodziewał. Miała rację, spojrzął na nią i był przekonany, że ją zna, że jest tylko namiastką, odbiciem Alesandry. Był jednak Królem Królów. Nie mógł... Nie zamierzał przyznawać się do błędu.

– Skąd wiecie, co myślę? – zapytał poirytowanym głosem. – Czytacie mnie?

– Nie, wasi magowie dobrze się spisali. Telepata pierwszego poziomu, jak ja, nie zdoła przejść ich bariery.

– Jesteście telepatką?

– Jak większość Gaalek.

– Skoro nie zdołaliście mnie przeczytać, skąd wiedzieliście, co pomyślałem?

– Wasze myśli krzyczały.

– Krzyczały?

– Nie zdołam wam tego wytłumaczyć. Tak po prostu było.

Pokiwał głową, chociaż nie rozumiał tego, co mówiła.

– I te myśli wykrzyczały wam, że spodziewam się pustogłowej lalki? Nie tak o was pomyślałem, ale dobrze, że mi wyjaśniliście ewentualną pomyłkę. Doceniam Radę za wybranie mi tak doskonałej narzeczonej.

– Żartujecie ze mnie? – zdziwiła się.

– Trochę – przyznał z uśmiechem.

Bogowie, nie robił tego, tak szczerze i z prawdziwą radością, od dziesiątek lat. Radość pogłębiła zmarszczki, ale również rozjaśniła niebieskie oczy, odmładzając zmęczoną twarz. Try zamrugnęła zdziwiona i chociaż wcale tego nie chciała,

odwzajemniła uśmiech. Długą chwilę wpatrywali się ciepło i w milczeniu jedno w drugie, wreszcie Reinghart wyciągnął rękę i delikatnie odsunął włosy z policzka dziewczyny. Zawahał się, ale nie cofnął dłoni, lecz musnął końcami palców skórę narzeczonej. Ona zaś nie drgnęła, zaskoczona nieoczekiwaną pieśczołą.

Naraz palce króla zamarły, zeszywniały i zacisnęły się na podbródku Try. Próbowwała ruszyć głową. Bezskutecznie.

– Panie... – powiedziała cicho, szukając spojrzenia narzeczonego.

Twarz Reingharta pobladła gwałtownie. Usta zacisnęły się w cienką kreskę. Oczy uciekły w głąb czaszki. Ponad przerażającą bielą białek opętańczo drgały rzęsy.

– Panie! – podniosła głos, ponownie próbując się wyrwać. Palce mężczyzny boleśnie wciskały się w jej skórę i choć walczyła z całych sił, nie zdołała się uwolnić. Król trzymał mocno, z nieludzką siłą.

Nagle drzenie rzęs się skończyło, a tęczówki powróciły spod powiek. Jednak błękit zastąpiło płynne złoto, mieniące się, połyskliwe, błyszczące zimnym światłem.

– Brudna suka – wycharczał król zmienionym, łamiącym się głosem – gaalskie ścierwo. Myślisz, że możesz zasiąść na świętym tronie Krainy? Rządzić ludźmi?

Złodowaciała nagle dłoń władcy zsunęła się z policzka narzeczonej i błyskawicznie zacisnęła na jej szyi. Dziewczyna szarpnęła, wystraszona nie na żarty. Silne palce zaciskały się na jej karku. Towarzyszył im odór nienawiści. Czuła go, jakby rzeczywiście unosił się w powietrzu. Realny prawie tak, jak otaczające ją zapachy. Raz w życiu czuła coś takiego, dawno temu, kiedy wraz z Ronim znaleźli w lesie padłego wiele dni wcześniej jelenia. Rozkładająca się zgnilizna cuchnęła podobnie jak nienawiść kraińskiego władcy.

– Zdechniesz, kurwo – sapał Reinghart, zaciskając ręce. Try krzyknęła. Wbiła paznokcie w pobielące oblicze mężczyzny i pociągnęła. Popłynęła krew, ale napastnik, jakby nie czuł bólu, nadal dusił dziewczynę. Szamotała się, kopiąc i bijąc pięściami, ale miążdzący uścisk z wolna pozbawiał ją sił. Ciemność zamykała się wokół niej. Już nie krzyczała. Mrok wyciszył ból, strach i gniew. Cisza.

I ciemność...

\*

Rosa wyczuła Bestię w chwili, w której ta zapanowała nad Reinghartem. Poczowała jej wściekłość. Smród zła, pierwotnej czarnej magii, dotarł do niej mimo zamkniętych drzwi do sali tronowej, chociaż stała w pałacowych krużgankach, przyglądając się pracującej na dziedzińcu służbie. Ohydna woń rozkładu i nagłej śmierci rozbiła się o nią z potężną siłą. Nie знаła dotąd takich czarów, a spotkało ją już wiele. Zmaterializowany potwór, przejmujący władzę nad nosicielem... to było coś nowego,

straszego i paralizującego jednocześnie. Odwróciła się i biegiem ruszyła w stronę sali tronowej. Im bliżej była, tym ciężiej oddychała, a powietrze wokół niej było coraz gęstsze. Zmrużyła powieki, zacisnęła palce na medalionie i wyszeptała ochronne zaklęcie. Jednocześnie pchnęła ciężkie drzwi i wpadła do komnaty.

– Zostaw! – krzyknęła, widząc Króla Królów zaciskającego ręce na karku narzeczonej. Srebrzyste skry posypały się z palców Zakonnej, lecz zamiast uderzyć w mężczyznę, opadły na kamienną podłogę, wzbijając promieniste ognisko. Kobieta wyrwała zza pleców jeden ze srebrnych elfich mieczy i zawahała się na moment.

– Zostaw! – Powołała zaklęcie. W napięciu wpatrywała się we władcę, a kiedy ten nie zareagował, skoczyła ku niemu. Wzięła zamach...

Srebro błysnęło w słońcu. Klinga zadźwięczała cicho. Ostrze pędziło z błyskawiczną precyzją do celu. W ostatniej chwili Zakonna cofnęła ramię i zamiast ściąć Reingharta, ledwie drasnęła jego policzek. Dotyk szlachetnego metalu wyrwał króla spod władzy Bestii. Potwór cofnął się rażony elfią mocą broni Agrah Erra. Jazgocząc głośno, błyskawicznie wrócił w podświadomość. Uwolniony mężczyzna zamrugał zdezorientowany.

– Zostaw – tym razem nie krzyknęła, lecz wypowiedziała zaklęcie półgłosem i zamiast uderzyć skrzącymi promieniami, ledwie musnęła Króla Królów. Wystarczyło. Reinghart puścił swoją ofiarę i nieprzytomny osunął się na podłogę u stóp Zakonnej. Ta zignorowała go i szybko podeszła do leżącej na wyściełanej ławie Try. Odsunęła włosy z posiniałej twarzy dziewczyny i dotknęła szyi. Nie wyczuła pulsu. Zamknęła oczy i wciąż dotykając Gaalki, w drugą dłoń chwyciła medalion. Cisza wokół nich zdawała się łkać, powietrze gęstniało. Aromat mchu i leśnego poszycia, starej elfiej magii wraz z jedwabistą, tężejącą z chwili na chwilę mgłą wypełniły pokój. Kontury mebli i stojących na nich naczyń zatarły się. Ściany i okna zlały w jedno. W szarozielonej rzeczywistości pozostały tylko dwie kobiety złączone dotykiem.

– Err – przerwała ciszę Rosa – potrzebuję cię.

Mech zgęstniał. Zieleń straciła na szarości, połyskując szmaragdem gaalskich oczu elfiego pana.

– Wzywam moc króla Czarnych Elfów – zaintonowała szeptem wojowniczką – siłę moich elfich przodków, potęgę wszystkich pokoleń elfich władców. Magia ją zabrała. Niech magia ją przywróci.

Słowa tańczyły, powtarzane setkami głosów, odbijały się od ścian mszystej mgły i wracały zwielokrotnione, głośniejsze, bardziej śpiewane niż mówione. Pieśń potężniała, coraz to nowsze głosy dołączały się do niej. Chór duchów zawodził krzykliwie, coraz szybciej i szybciej, tak że po chwili nie można było już rozróżnić poszczególnych słów. Dźwięk narastał, by wreszcie uderzyć. Wdarł się w ciało Rosy,

przepłynął przenień wrzącą lawą, aż do palców dotykających skóry Gaalki, a nimi do wnętrza dziewczyny. Szmaragdowa jasność rozświetliła skórę Try i wraz ze śpiewem przodków niosła się żyłami aż do serca. Gdy doń dotarła, wstrząsnęła nim, zmuszając je ponownie do pracy. I opuściła ożywione ciało przez łapiące oddech usta.

Mgła błyskawicznie opadła, kontury ponownie nabrały ostrości, a miejsce śpiewających głosów zajął świszczący oddech Gaalki.

Rosa również odetchnęła z ulgą, w milczeniu dziękując Agrah Errowi, i cofnęła rękę.

– Nie tak gwałtownie, Try. Spokojnie. – Usiadła obok dziewczyny i delikatnie poklepała jej ramię. – Przez jakiś czas będzie trudniej, trochę poboli.

– Co...? – Gaalka skrzywiła się, bo nawet powiedzenie tego jednego słowa przyniosło udrękę. Powoli i z wyraźnym trudem sięgnęła do gardła, ale nie odważyła się go dotknąć. W szmaragdowych oczach na moment błysnął strach, lecz zaraz zastąpił go gniew. Dziewczyna chciała poderwać się z ławy, ale osłabione nogi odmówiły posłuszeństwa. Rosa łagodnie podtrzymała ją i ponownie pchnęła na poduszki.

– Poczekaj. Posiedź chwilę i oszczędzaj głos. Byłaś prawie martwa. Tak, prawie. Gdybym weszła później, nawet ochronna magia, którą osłonił cię Agrah Err, by nie pomogła. Nie patrz tak na mnie. Nie, nie musiał ci mówić. I tak, miał do tego prawo. Err ma moc, jakiej nie potrafisz sobie wyobrazić. Wiedział, od chwili, gdy wasze palce się spotkały, że będzie ci groziło niebezpieczeństwo. Użył magii, by cię chronić. Tylko dlatego zostawiłam cię z Królem Królów.

Try zmarszczyła brwi. Przesunęła wzrokiem po komnacie i zauważywszy nieprzytomnego Reingharta, pytająco spojrzała na Zakonną.

– Nie zabiłam go. To Król Królów – odpowiedziała Rosa. – Zakon jest mu winien lojalność.

Uśmiechnęła się, słysząc niewypowiedziane na głos przekleństwo.

– Nie próbował cię zabić. Nie świadomie. Pamiętasz, co się stało?

Dziewczyna skupiła się i bezgłośnie wspomniała swoją rozmowę z narzeczonym, a kiedy w jej umyśle pojawił się obraz ataku, zadrżała i zaraz skrzywiła się gniewnie. Wściekła na własną słabość i bezsilność, zacięła usta, ale szmaragdowe oczy ciskały gromy.

Zakonna westchnęła ciężko.

– To nie twoja wina. Nie spodziewałaś się ataku. Nie masz się o co obwiniać. Tak, ja wiedziałam. Świętych Zakonu mógł wysłać tylko Król Królów. Wiem, że ryzykowałam twoim życiem. Miałam swoje powody. – Wzruszyła ramionami, bynajmniej nie zamierzając przeproszać. – Usta Reingharta wydały rozkaz, ale on nie chce twojej śmierci. Bo mi to powiedział i w tamtej chwili nie kłamał – dodała w odpowiedzi na ironiczną myśl dziewczyny. – Tak, jego ręce i słowa mogły sprawiać takie wrażenie... –

Uśmiechnęła się zimno. – Słyszałaś o zaklęciu Pasożyta? Niestety to nie bajka. Nie próbuję go tłumaczyć. Jestem Kobieta Tradycji, nikomu nie muszę nic tłumaczyć.

Wstała, ignorując dalsze milczące pytania podopiecznej.

– Dasz radę iść? – zapytała.

Try podniosła się już bez większego problemu, zrobiła krok i pokiwała głową.

– Dobrze, więc chodź. – Skinęła głową i ruszyła ku drzwiom, nie oglądając się za siebie.

W wejściu stanęła.

– Wyłaż, Yudherthardere – rzuciła, nie patrząc w stronę kolumnady, za którą chował się krasnolud.

Ten po krótkim wahaniu przydreptał do kobiet. Bez słowa spojrział pomiędzy nimi do wnętrza komnaty.

– O kurwa, zabiłaś jego wysokość – wyszeptał strwożony, acz z niejakim podziwem.

Rosa zignorowała go i gestem wezwała służkę przechodzącą między kolumnami. Mała, chuda, wystraszona dziewczyna dygnęła przed Zakonną.

– Pana zmogła słabość. Sprowadź lokajów, niech go zanosą do łoża – poleciła wojowniczką.

Służka posłusznie skinęła, a potem ponownie dygnęła i pobiegła korytarzem wykonać polecenie. Dopiero wtedy Rosa spojrzała na krasnoluda. Przyglądała mu się długo, w milczeniu, spod zmrużonych powiek, aż Sodi poczuł znajome łaskotanie w żołądku, a włosy na krępych karku uniosły się powoli.

– Cóż, Yudherthardere – odezwała się w końcu kobieta – zdaje się, że wcześniej, niż myślałam, przyda mi się twoja pomoc.

# Roydyał VIII

## Wspomnienia i sn

W przestronnej, wyłożonej białymi skórami komnacie ogień buzował pod kominkiem. Tym razem miejsce to nie było tylko złudną marą ani wytworem nadnaturalnych umiejętności Pierwotnego Maga. Pokój istniał naprawdę, w zamku ukrytym na małej wyspie w środku Południowego Lasu, tuż za granicą Krainy. Wieki temu Yasa kazał go wybudować dla Arthe. Wszystko było tu sprowadzone z myślą o niej, każdy obraz na ścianie, każde zwierciadło, każdy srebrny drobiazg, świecznik czy świeca. Najlepsze przywieziono z Zamory czy Delghartu. Skóry, które wyściełały marmurowe podłogi, wybrał spośród najmniejszych. Dotykając ich, wyobrażał sobie czarne włosy dziewczyny muskające runo, jasną skórę pieszczoną jedwabistą miękkością, palce zaciskające się w uniesieniu na białym włosiu. Wszystko dla ukochanej, której nie zdołał przywieźć do zamku przez następne stulecie.

Zawsze był gwałtowny. Kochał i nienawidził z tą samą namiętnością. Przeklął Arthe z bezmyślności, a potem został z nią, nieustannie płonącym ogniem, w zimnej jaskini. Ogrodził ją szalejącą śnieżycą, zatopił w magii i trwał wierny kobiecie, która kobietą nie była. Dziesiątki lat.

Ostatni żyjący Pierwotny Mag.

Po śmierci Isiny został tylko on. Nikt go nie nagabywał, nikt nie odwiedzał. Całe setki lat, ludzie, krasnoludy, elfy... nawet Gaalowie unikali go jak ognia, przekonani o nadludzkiej, równej bogom potędze czarnoksiężnika. Pozwalał im w nią wierzyć. Towarzystwo nie było mu potrzebne. Miał swój niespalający się płomień, miał wspomnienia. Bywały chwile, gdy tęsknił. Rozpaczliwie, bezkresnie tęsknił do czyjejś obecności. To była kara. Tak właśnie odczuwał samotność. On, zawsze skory do żartów, do zabaw, do spotkań... narzucił sobie dobrowolne wygnanie w górskiej wieży nad niespalającym się ogniskiem swojej kobiety.

Dziesięciolecia trwał w samotności, wierny wspomnieniom. Gdy zaś ból stawał się nieznośny, zamykał oczy i pozwalał rzeczywistości rozmyć się pośród reminiscencji, tak realnych, że prawie zdołał ich dotknąć, prawie zdołał poczuć pieszczotę długich czarnych włosów na rozpalonej skórze... prawie...

Tak, karał się. Tak, był wierny. I tylko raz...

Wysunął się spomiędzy skór, jednocześnie delikatnie przykrywając śpiącą kochankę. Umknął wzrokiem, pełen wyrzutów sumienia, choć dziewczyna spała. Och, wiedział, że nie zdoła go przeczytać. Była człowiekiem. Zawsze miał słabość do ludzi. Byli tacy krusi, tacy... nietrwali. Dzięki temu każde uczucie było intensywniejsze, głębsze... Wszystkie jego kochanki były ludźmi. Prawie wszystkie...

Podszedł do okna. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, a sierp księżycy wciąż zaglądał do komnaty. Yasa uśmiechnął się lekko. W oczach maga odbiło się światło kominka i jeszcze coś – wspomnienie. Powinien go żałować. Tak jak powinno żałować się każdego wiarołomstwa. Powinien.

Pomiędzy długimi palcami znikąd pojawiła się przezroczysta moneta. Bliźniaczka tej, którą przed laty podarował Zakonnej. Mlecznobiała jak tęczówki Rosy. Takie je stworzył. Monety Bram. Musiały być dwie, by wejść i wyjść. Przenosiły obraz jak Mosty ciała. Dawna, zapomniana magia. Magia Pierwotnych.

Podrzucił pieniążek, a ten poleciał wysoko. I mimo że biały, mienił się kolorami tęczy. Te zaś rozświetliły pogrążoną w półmroku komnatę...

*– Jeśli wypadnie reszka, przyjdiesz do mojego łóża, jeśli nie, ja przyjdę do twojego.*

*Roześmiała się cicho. Śmiech skrzył się milionami obietnic. Cichy, ciepły, otulał i pieścił.*

*– Powiedz, Yaso, to działa?*

*– Nie wiem, o czym...*

*– Och, wiesz. – Podeszła blisko. Tak blisko, że czuł jej zapach. Tylko jedna kobieta tak pachniała. Dzięką wolnością, siłą i smutkiem. Wiedział, że zawsze będzie pamiętał tę woń. Była jak Rosa. Niezapomniana. – Pytam – mówiła niskim, łagodnym tonem – czy twoja magia zawsze działa na kobiety.*

*Uśmiechnął się, a w ciemnych oczach zatańczyły chochliki.*

*– Kiedyś działała niezawodnie.*

*Delikatnie przesunęła palcami po jego policzku. Pieszczota przyspieszyła tętno. Nie walczył z tym. Za żadne skarby nie chciał z tym walczyć. Dziewczyna przysunęła się jeszcze bliżej. Była niższa od niego, więc spojrzenie mlecznobiałych tęczówek znalazło się na wysokości ust mężczyzny i na nich się zatrzymało, kiedy powiedziała:*

*– Mój drogi magu, nie ma szansy, byśmy dzisiaj znaleźli się razem w łóżu.*

*Szept i aromat. Jedno i drugie z równą siłą pozbaawiło go rozsądku. Kiedy się odwracała, złapał ją za rękę i przyciągnął ku sobie.*

*– To w sumie nie musi być łóże, wiesz? – wyszeptał.*

Nikt tak jak on nie znał się na magii. I to, co się wtedy stało... Tak, to była magia. Pierwotna, szalona, rozpaczliwa. Nie miała nic wspólnego z miłością. Tak mu się wydawało. Po prostu musiał ją mieć. Stopić się w całość i rozpaść na miliony kawałków. Z tego uczucia, z tego pożądania, stworzył Monety Bram. I dlatego, kiedy



użyła Wejścia, wspomniał tamtą noc. Jedyną przez stulecie noc wiarołomstwa. Wiarołomstwa, którego powinien żałować. Powinien...

Moneta znikła, tak jak się pojawiła. Pierwotny mag przeciągnął się, nie przestając się uśmiechać. Co było, to było. Nie będzie żałował. Wzruszył ramionami i lekkim krokiem wrócił do kochanki. Wsunął się w miękkie runo i wtulił w ciepłe nagie ciało Arthe. Pograżona we śnie dziewczyna mruknęła cicho. Złożyła głowę na ramieniu mężczyzny, łaskocząc jego nagi tors długimi lokami. Szczupłe palce leniwie błądziły po brzuchu kochanka, niżej i niżej... Westchnął przeciągle. Obudzone na nowo pożądanie zaśpiewało w żyłach. Poddał mu się z przyjemnością.

\*

Krasnolud aż podskoczył ze złości.

– Jaja sobie, kurwa, robicie?!

Nie raczyła odpowiedzieć. W milczeniu wbijała wzrok w małego mężczyznę.

– Nigdzie się stąd bez was nie ruszę! – Pobladł lekko, ale się nie cofnął. Zacisnął grube paluchy, żeby nie widziała, jak drżą, i wpatrywał się wściekły w odbarwione tęczówki.

– Tym razem zgadzam się z panem Yudherthardere – wtrąciła chrypliwym głosem Try. – To nie jest najlepszy pomysł. Nie wydaje mi się, by mu specjalnie zależało na utrzymaniu mnie przy życiu, więc wysyłanie go ze mną...

Rosa tylko na nią zerknęła i ponownie skupiła się na krasnoludzie.

– Pani Trydnette potrzebuje Tropicielea, a wy jesteście jednym z najlepszych...

– Najlepszym – przerwał jej Sodi. – Nie jadę. Na cholerę jej Tropiciel?

Uśmiechnęła się zimno.

– Najlepszym? I nie wyczuliście magii?

– Zaklęcia Pasożyta? – Wzruszył ramionami. – Cuchnęło na drugim końcu pałacu. Jasne, że czułem. Co to ma wspólnego ze mną?

– W drodze na Czarną Górę mogą czekać przeszkody. Przeprowadzicie ją bezpiecznie.

– Se sama poradzi. Żaden ze mnie obrońca.

– O ochronę zadbają Yorhowie. Wy macie tylko postarać się, by nie wpadli w jakieś magiczne sidła, nim panna wróci pod skrzydła Agrah Erra.

– A wy? Lepiej byście się sprawili. I ochrona z was byłaby lepsza, i do chłopca też się wam pewnie cni...

– De Gra... – cicho zaczęła wojowniczką. – Mierzicie mnie.

Tym razem krasnolud cofnął się lekko. Zacisnął mocno usta i zmrużył ukryte pod krzaczastymi brwiami oczy. Rozpaczliwie szukając pomocy, zerknął na Gaalkę. Ta,

uśmiechając się szeroko, uszczęśliwiona wizją wyjazdu, oparła się o ścianę i skrzyżowawszy ramiona, przyglądała się to Zakonnej, to Sodiemu. Jeśli nawet była przez chwilę poirytowana, że traktują ją jak przedmiot, złość już minęła. Wkrótce miała opuścić to okropne miejsce, znaleźć się daleko od człowieka, który prawie pozbawił ją życia.

Wkrótce zobaczy Roniego. Zbyt tym przejęta, nie zauważała bezgłośnego wołania o pomoc krasnoluda.

Nie doczekawszy się wsparcia, Sodi opuścił głowę.

– A Porozumienie? – zapytał drżącym głosem.

– Nie wycofuję się z Porozumienia – łagodniejszym tonem odpowiedziała wojowniczką. – Wróćcie za cztery dni. Mam nadzieję rozwiązać do tego czasu mój problem i zająć się waszym.

Wściekłość, strach i rezygnacja walczyły o pierwszeństwo na ponurym obliczu małego lorda. To czerwieniał, to bladł, na przemian otwierając i zamykając usta, chcąc i bojąc się jednocześnie powiedzieć, co myśli.

– Dajcie już spokój, Yudherthardere. – Zakonna zakończyła jego nieudolne próby. – Tak będzie lepiej dla wszystkich. Nie wyjadę stąd, dopóki nie... A wasze ciągłe marudzenie może sprawić, że zechcę zakończyć Porozumienie. Idźcie już, pani Trydnette musi się przebrać. Wyjedźcie przed zmrokiem.

Kiedy krasnolud wyszedł, w ostatniej chwili powstrzymawszy się przed trzaśnięciem drzwiami, Rosa zwróciła się do Try:

– Przebierz się. Czas ucieka. Nie wiem, jak długo będzie działać zakłęcie unieruchamiające króla.

– Ja... Nie podziękowałam ci...

– Nie trzeba.

Dziewczyna zawahała się, ale widząc obojętne oblicze Zakonnej, zmilczała. Przebrała się błyskawicznie i po chwili urocą pannę zastąpiła waleczna Gaalka. Stała przed opiekunką, gotowa do wyjazdu. Nie przestawała się przy tym uśmiechać.

Rosa przyglądała się jej z zastanowieniem. Wreszcie sięgnęła za plecy i wysunęła jeden z czarnoelfich mieczy. Ważyła go w dłoniach przez krótką chwilę. Nie rozstawała się z nim od lat. Nie była jednak sentymentalna i rozumiała, że właśnie nadszedł właściwy moment.

Podawała go Gaalce.

– Weź. Zaklęta w nim moc może, w ostateczności, pomóc bardziej niż krasnolud czy Yorhowie.

– Ale... – Dziewczyna zaskoczona i wzruszona jednocześnie wpatrywała się w Zakonną, nie potrafiąc wyartykułować słów wdzięczności.

– Nie przesadzaj, nie oddaję ci życia, tylko miecz – oschle rzuciła kobieta. – Bestię w Reingharcie stworzyła potężna siła. Każda pomoc ci się przyda.

– Dał ci go Agrah Err...

– Nie – zaprzeczyła z lekkim uśmiechem Rosa. – Ten otrzymałam od kogoś innego. Miecz Erra zostaje ze mną.

– Dziękuję. – Dziewczyna ruszyła ku drzwiom.

– Try – zatrzymała ją Rosa. – Nie żyj złudzeniami. Jesteś narzeczoną Króla Królów. Nic się nie zmieniło.

– Wszystko się zmieniło.

– Nie. Wysyłam cię do Erra, bo tam będziesz bezpieczniejsza. Dopóki nie pokonam Bestii i maga, który ją stworzył. Potem wrócisz i wyjdiesz za Króla Królów. Przyniesiesz Krainie pokój. Tak będzie.

– Zobaczymy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ano, zobaczymy. Powodzenia. Yorhowie i krasnolud czekają u bram. De Gra nie jest najodważniejszy, ale jest bystry, sprytny i rzeczywiście jest najlepszym Tropicielem. Słuchaj go.

Gaalka stanęła z dłonią na drzwiach.

– Wydawało mi się, że chce mojej śmierci. Jesteś pewna?

– Nigdy nie chciał twojej śmierci. Nie chce tylko twojego małżeństwa z władcą Krainy. Utrzymaj go w przekonaniu, że się nie pobierzecie, a będzie ci sprzyjał.

– Bo się nie pobierzemy.

Zakonna uśmiechnęła się ponuro.

– Zobaczymy. Jedź już.

Try wciąż stała, wpatrując się w opiekunkę.

– Jak ty sobie poradzisz? – zapytała wreszcie. – Bez Yorhów? Użyłaś magii przeciw Królowi Królów...

– Wzruszasz mnie, dziecko. – Rosa spoważniała. – Nie martw się. Dam sobie radę. Zmykaj już. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. – Gaalka skinęła i bez dalszego ociągania wyszła z komnaty.

Drzwi się zamknęły, a Rosa podeszła do okna. Nie mogła ich dojrzeć, ale wiedziała, kiedy Gaalka dołączyła do Yorhów i poirytowanego krasnoluda. Oczami wojów zobaczyła, jak dziewczyna lekko dosiadła swojego wierzchowca i spięła go kolanami, ruszając za pierwszym z kudłaczy. Za Gaalką, parskając z irytacji, na karym kucu jechał Yudherthardere. Grupę zamykał drugi z Yorhów. Żaden z nich nie obejrzał się w kierunku pałacu. Nie tylko dlatego, że z miejsca, z którego ruszali, nie mogli dostrzec Rosy. Nie czuli również potrzeby, żeby ją widzieć. Popędzali wierzchowce, pozostając zupełnie obojętni. Zdawać się mogło, że są nieobecni, a ciemne oczy biernie

wpatrują się w mrok. Jednak Rosa wiedziała, że nic i nikt nie ujdzie ich uwagi. Yorhów szkolono od kołyski. Byli szybcy, potężni, niepokonani. Żadna inna rasa, nawet Gaalowie, nie mogli się z nimi równać w walce. Gdyby te barbarzyńskie plemiona nie walczyły ze sobą, mogłyby nawet podbić Krainę. Byli jednak zbyt zajęci wojnami domowymi, zbyt niezależni i niechętni do podporządkowania się jednemu panu, by stanowić zagrożenie dla Krainy czy innych oświeconych ludów.

Uśmiechnęła się ponuro, wpatrując w mrok. Powierzyła dziewczynę najlepszym ludziom. Gaalka była bezpieczna. Co do siebie wcale nie była tego tak pewna.

\*

Złoto. Wszystko było złotem. Mieniącym się, błyszczącym złotem. Połyskiwało. Zdawało się płynąć, chociaż nawet nie drgnęło. Zdawało się zmieniać, mimo że było wciąż takie samo. Jego faktura to falowała, to drżała. Nic nie było jednorodne, a wszystko było...

Przywoływało, nęciło i zapraszało. Reinghart pragnął tego błysku i światła. Pragnął rozświetlenia. Ono go pragnęło, kusiło wciąż z nową siłą. Chyba coś go bolało. Gdzieś daleko... dawno... a może jednak blisko. Nie wiedział. Tak jak nie wiedział, gdzie jest i skąd to wszechobecne złoto. Połyskujące i niezmiennie. Szeptalo. Coś blisko szeptało w jego myślach. Chyba znał ten głos... a może tylko tak mu się zdawało. Nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów. Nie potrafił zrozumieć znanego głosu. Tak, to ten ból. Mocny i coraz bliższy. Gdyby wyciągnął dłoń, zapewne mógłby go dotknąć.

Zachichotał wielce ubawiony. Dotknąć bólu, też coś. Co też mu się roi w tym bolącym czerepie. Dotknąć bólu... Chichot odbił się od niezmiennie mieniącej się światłości i zadźwięczał jak kryształ. Lekko. Drżąco.

Zamilkł w tej samej chwili. Ból potężniał. Złoto drżało przed jego siłą. Rozmywało się, czerniało. Szept zmagął się z cierpieniem. Nadal go nie rozumiał, ale jakaś moc kazała mu słuchać. Kazała próbować... próbować pojąć, co mówi. Nie potrafił.

I szept zamilkł, zagłuszony cierpieniem. Zapadła cisza.

Złoto połyskiwało jeszcze przez chwilę, ale i ono wreszcie ściemniało i znikło. Nastąpiła ciemność. Jękliwa, bolesna ciemność.

\*

Rosa przyglądała się śpiącemu władcy, zaciskając palce na medalionie Zakonnych. Musiała użyć sporo mocy, by wejść w umysł Reingharta, zagłuszyć szepczącą Bestię i utrzymać króla we śnie. Ktoś mocno się natrudził, żeby namieszać w głowie pana Krainy. Ktoś na tyle potężny, że musiała użyć pierwotnych instynktów, żeby go

uciszyć. Musiała zranić Reingharta. Nie fizycznie. Z takim cierpieniem czar zapewne by sobie poradził.

Zraniła duszę. Nienawidziła tego robić, ale gdyby nie Konające Zakłęcie, Bestia przemówiłaby do swego nosiciela. Weszłaby w jego świadomość i zawładnęła nim. Gdyby zaś jej się to udało... Gdyby się udało, potwór rządziłby najpotężniejszym ze Światów i żeby się go pozbyć, musiałyby zabić nosiciela. I, zapewne, tym samym rozpętałyby krwawą wojnę domową. Reinghart, nawet taki słaby i zapijaczony, był wystarczająco silny, żeby utrzymać w ryzach szlachtę, krasnoludy, elfy i syreny. Był symbolem Tradycji, przedstawicielem bogów i panem, którego wciąż jeszcze szanowali władcy Zachodnich Lądów czy Północnych Wysp. Królowie sąsiadujących państw, choć naciskani przez Gaalów i elfich odszczepieńców, bali się wypowiedać wojnę Krainie, dopóki żył Król Królów. Gdyby go jednak zabrakło... Tak, gdyby go zabrakło, sępy, miejscowe i sąsiedzkie, rzuciłyby się rozrywać ziemie, nim jeszcze ciało ich pana by ostygło. Tym bardziej że Reinghart wciąż nie wybrał następcy. Żył w przekonaniu, że ma czas.

Uśmiechnęła się ponuro. Niewiele brakowało, żeby ten czas się skończył. Usiadła na ławie naprzeciwko królewskiego łoża i oparła głowę o ścianę. Za oknami zmierzchało, ale w sypialni Reingharta od lat nie gasło światło, dziesiątki świec płonęły w kryształowych świecznikach. Rozproszone w szkłe światło tańczyło wstęgami barw, malując szarzącą rzeczywistość ciepłem czystych kolorów. Przyglądała się, pozornie obojętna, jak odcienie czerwieni, błękitu i żółci zmieniają bladość jej skóry w bajkowe obrazy.

Czekała. Wiedziała, że sama nie zdoła pokonać Bestii, więc nawet nie próbowała wchodzić w umysł króla. Czuwała jednak, pilnując, żeby Pasożyt pozostał w podświadomości. Przynajmniej, dopóki Yasa nie zechce ruszyć swojego pierwotnego tyłka i nie przeniesie się do Syrelle.

\*

– Nie śpisz? – zapytała cicho Arthe.

Yasa uśmiechnął się z czułością, odwracając się do kochanki.

– Nie potrzebuję snu.

– Zapomniałam.

Pocałował lepkie od potu czoło dziewczyny i wysunął się spod skór. Nagi ukląkł przy kochance i wsunąwszy palce w jej długie, zmierzwiłone miłością włosy, powiedział miękko:

– Ale ty śpij.

Przeciągnęła się, sennym spojrzeniem próbując uchwycić wzrok kochanka.

– Coś cię trapi?

Wciąż się uśmiechał.

– Nic wielkiego. Śpij, Arthe.

Zmarszczyła gniewnie brwi, a czarne oczy w jednej chwili straciły nieprzytomny wyraz. Usiadła, a okrywające ją skóry opadły, odsłaniając idealne ciało.

– Nie odsuwaj mnie! Jestem częścią ciebie, sam mówiłeś. Chcę ci pomóc!

Zdziwiony cofnął się lekko.

– Nie odsuwam cię – zaczął cicho, przyglądając się dziewczynie. Przez chwilę milczał, a jego szczupła twarz pozostawała obojętna. – Przeciwnie. Rankiem wyruszysz ze mną do Syrelle. Nie chcę cię zostawiać. Nawet na chwilę. Kocham cię, przecież wiesz.

Rozpromieniona zarzuciła mu rękę na szyję i przyłgnęła ustami do jego warg.

– Ja też cię kocham. Tylko ciebie. Zawsze – szeptała, całując go w zapamiętaniu.

Jakiś czas oddawał pocałunki, pozwalając, żeby obudzone na nowo pożądanie rozgrzewało żyły. Potem z wyraźnym żalem odsunął Arthe.

– Dlatego musisz odpocząć, moja pani. Ty potrzebujesz snu, a w ostatnich dniach nie miałaś go wiele. Przeniesiemy się Mostem, a to, przypominam, odbiera siły. Nie chcemy, byś mdlała na królewskim dworze, prawda?

Przemawiał do niej rodzicielskim tonem, co zawsze irytowało Arthe. I tym razem błyskawicznie zmarszczyła brwi, gotując się do ataku, lecz nim zdołała wybuchnąć, jej nieposłuszne powieki opadły i sen przejął władzę nad jej ciałem.

Yasa złożył śpiącą na pościeli, troskliwie ją otulając. Uśpił ją. Wiedział, że będzie się złościć, ale musiał sprawdzić, czy czar zadziała. I nieco go uspokoiło to, że dziewczyna zasnęła. Tylko nieco. Łagodnie przesunął opuszkami po jedwabistym policzku kochanki. Potem cofnął dłoń, a czułość w ascetycznym obliczu zastąpił niepokój. Dlaczego, cholera, nie zdołał jej przeczytać?

# RoydyiaŁIX

## Pierwotn Mag

W mroku Sodi ledwie dostrzegął grzywę Doru, o zobaczeniu wyprzedzającej go Gaalki nie było mowy. Kilka razy zerknął za siebie, lecz ciemność nie pozwalała też dostrzec jadącego za nim Yorha. Gdyby nie tętent kopyt, nie miałby pewności, czy wciąż mu towarzyszą, czy też zapodziali się gdzieś po drodze. Już dawno bowiem nie wiedział, gdzie jest i w jakim kierunku zmierzają. Gęste chmury przysłaniały nie tylko księżyc, ale i gwiazdy, więc nijak nie mógł się upewnić, czy się nie zgubili. Był dezorientowany, zmęczony i coraz bardziej zły. Dodatkowo nieustannie miał wrażenie, że coś za nimi podąża. Coś dziwnie znajomego, magicznego, co jednak mu umykało i nie pozwalało się nazwać ani nawet umiejscowić w rozległym świecie czarów.

– Ej tam! – krzyknął jednocześnie wściekły i nieco wystraszony.

Odpowiedziały mu szum lasu i szybki stukot kopyt o zbity śnieg.

– Ej! – powtórzył. – Spać mi się, kurwa, chce!

Nadał nikt nie reagował.

– Może wy, włochate pomyłki boskiego planu, dacie radę jechać całą noc, ale mnie rzyć już boli! – krzyczał, zaciskając paluchy na uprzęży. – Spać mi się chce! Zaraz, wy ośli chędożcy, spadnę z siodła i gównem będziecie ze mnie mieli, nie pożytek.

Wciąż nic nie wskazywało, by jego monolog zrobił na kimkolwiek wrażenie.

– Pierdołę! Nie jadę dalej. Jedźcie se sami! – wyrzeszczał. Wściekły ściągnął wodze tak mocno, że krępy krasnoludzki wałach parsknął boleśnie i niemal stanął w miejscu.

– Ileż można jechać i jechać, i jechać. Jak takie jedne figurki... takie drewniane żołnierzyki, co to żem je u jednego księciunia widział. Też się, kurwa, nigdy nie męczą – mamrotał zezłoszczony. Nie zsiadł jednak z siodła, bo ciemność skutecznie go odstraszała. Rozglądał się zły i nieco dezorientowany. Mrok co prawda nie był dla niego problemem, ale mrok w lesie to już zupełnie co innego. Cóż bowiem z tego, że widział drzewa... i drzewa... i drzewa.

– No przecie, zostawcie krasnoluda, a sami pędźcie w cholerę – marudził dalej Yudherthardere, nerwowo czochrając brodę. – Niech głupi pokurcz zamarźnie samotnie.

– Zdecydujcie się, Yudherthardere. – Niski głos z mocnym syrenim zaśpiewem zabrzmiał nagle tak blisko, że Sodi szarpnął się przestraszony. – To chcecie zostać, to narzekacie na samotność. I nie kręćcie się tak, bo się zwierzę płoszy. Nie jego wina, że ma durnego kurdupła za jeźdźca.

Zaskoczonemu mężczyźnie brakło słów i tylko gapił się w szarą plamę twarzy Gaalki. – Nie trzeba się było wydzierać – kontynuowała dziewczyna. – W środku lasu chcieliście się zatrzymać? Nie wydaje się wam trochę za zimno? – Syreni zaśpiew ociekał ironią i, dałby głowę, szmaragdowe oczy zapewne błyszczały tym samym. – Niedaleko jest chata, tam przenocujemy. Ruszcie więc... jakeście to ładnie ujęli, swoją bolącą rzyć. Za chwilę będziecie mogli ogrzać ją przy ognisku.

Nie widział, kiedy odeszła, usłyszał jedynie tętent kopyt. Przez chwilę wpatrywał się w mrok z rozwartymi ustami. Potem poklepał bok wierzchowca, mamrocząc cicho:

– Aż się dziewczuszka wyszczekana zrobiła. – Nie ukrywał zachwyty. – Nie dość, że toto takie cacuśne, to jeszcze takie... Uch, aż mnie coś zaskrobało w dołku, Doru. Taką mieć... cholera, no. Chociaż raz taką mieć. Ależ ten gówniarz miał szczęście – wyszeptał z żalem i zaraz ruszył za cichnącym dźwiękiem odjeżdżającego konia.

Niedługo potem w ciemności zamajaczyło słabe światełko. Ledwie drżało, ale widział je wyraźnie, więc przyspieszył.

Kaganek płonął w oknie chaty, a Yorh właśnie karmił przywiązane do drzew konie. Przemawiał przy tym do nich cicho w języku barbarzyńców. Słyszac to, Sodi omal nie spadł z siodła. Zawsze był pewien, że wojowie Zakonnej są niemowami. Nigdy nie słyszał, żeby zamienili między sobą czy z kimkolwiek innym chociaż słowo. Podjechał powoli i zsunął się z wierzchowca. Drepcząc na krótkich i obolałych nogach, podszedł do olbrzyma.

– Zajmiesz się też moim Doru? – zapytał grzecznie, wyciągając wodze w kierunku woja. Yorh wziął je bez słowa, nawet nie patrząc na krasnoluda.

– Panna w środku? – ponownie zagał Sodi, wciąż tym samym grzecznym tonem. Wojownik w milczeniu skinął głową.

W czasie tej dziwnej półrozmowy nadjechał drugi z Yorhów. Olbrzymi wymienili spojrzenia, a Yudherthardere wyczuł lekki aromat bzu: wyraźny znak wymiany myśli. Zmrużył oczy zdziwiony. Nie wiedział, że barbarzyńcy są telepatami. Zawsze sądził, że to prymitywne ludy, zdolne tylko do zabijania. Cóż, należeli do Zakonnej... Zakon potrafił zmieniać ludzi.

Odwrócił się, więc nie zobaczył, jak Yorhowie uśmiechają się, słuchając jego myśli. Zbyt zmęczony, by sprawnie rozumować, nie poczuł, też, że gmerają w jego umyśle. Nie widział, że brzydkie twarze ukryte w gęstym zaroście odmienia rozbawienie, a czarne oczy łagodnieją.



W chacie panował półmrok, mimo że na stole płonął kaganek. Dziewczyna, klęcząc, rozpałała w kominku. Słaby ogień z wolna ogarniał drwa, rozświetlał pomieszczenie i miękko malował rysy Gaalki. Krasnolud stanął w progu, kolejny raz zaskoczony jej urodą.

– Zamknijcie drzwi, zimno wpuszczacie. – Nie podniosła głowy i nie obdarzyła go nawet spojrzeniem.

Zrobił, co kazała, a potem rozejrzał się po wnętrzu. Było ciasne. Znaczną część zajmowało legowisko zasłane skórami, obok stał stół, a na nim dwie puste miski. Sodi uśmiechnął się złośliwie i przeszedłszy za plecami dziewczyny, rzucił się na leże.

– No, kurwa, nareszcie. – Rozrzucił szeroko ramiona i tym samym zajął połowę łóżka. – Dupa mnie tak boli, że ino dobre chędożenie pomoże. – Uniósł głowę, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywarły jego słowa, ale Try wciąż kucąca przy palenisku. – To jak będzie? – Przeciągnął się, patrząc na plecy dziewczyny.

– Co jak będzie? – zainteresowała się, wstając. Na pięknych wargach igrał nieobecny uśmiech. Zmarszczyła brwi, patrząc na leżącego mężczyznę. Uśmiech zamarł i dziewczyna skrzywiła się lekko. – Tacyście zmęczeni? – zapytała. – Musicie zająć jedyne łożo? A Yorhowie? Mają zostać na zewnątrz i zamarznąć, byleście wy mogli ogrzać swoją... obolałą rzyć?

Przez chwilę mierzyli się na spojrzenia.

– Niech was tryton wygrzmoci, każdą zabawę popsujecie. – Krasnolud zsunął się na skraj legowiska. – I tak będzie za ciasno.

– Poradzimy sobie. Zawołajcie Yorhów.

– A co ja, kurwa, posłaniec?

– Nie znacie innych słów? To jedno nad wyraz mnie już nudzi.

– Znam, ino mi się, kurwa – podkreślił – używać ich nie chce.

– Jak chcecie. – Wzruszyła ramionami. Odwróciła się i wyszła z chaty, by zaraz wrócić, prowadząc za sobą olbrzymów Zakonnej. W małej chacie potężni kudłacze sprawiali wrażenie jeszcze większych. Minęli Try, zrzucili ciężkie niedźwiedzie skóry i położyli się na nich.

– O, widzicie. – Sodi roześmiał się złośliwie. – Yorhowie wybrali klepisko, więc możemy spokojnie poprzytulać się na łożu.

Dziewczyna nie skomentowała tej uwagi, za to jeden z olbrzymów wstał błyskawicznie. Ciemne oczy połyskiwały pod szopą kręconych czarnych włosów jak dwa onyksowe kamienie, gdy sięgał po krasnoluda. I zanim ten zdołał się uchronić czy zareagować w jakikolwiek sposób, wielkolud złapał go za kołnierz i rzucił na podłogę, między siebie i swojego pobratymca.

– Co ty...?! – wrzasnął Yudherthardere. Próbował wstać, ale drugi z Yorhów, nawet na niego nie patrząc, przygwoździł go do podłogi potężnym łapskiem. Sodi szarpał się, sycząc i przeklinając w kilku językach, ale nie podołał olbrzymom.

– Śpij, malutki – szepnął jeden z wojowników.

Słyszając to, Try wybuchła szczerym śmiechem.

Krasnolud zaklął ponownie i znów zaczął się wiercić. Yorh westchnął przeciągle i zagarnawszy małego mężczyznę, przycisnął go do piersi.

– Zdaje się – dziewczyna krztusiła się śmiechem – że znalazł się inny chętny do przytulania. Nie będę wam przeszkadzała.

Położyła się na pościeli, wciąż chichocząc.

– Taaa, śmieście się – wymamrotał Sodi. – Wczoraj nie było wam tak wesoło... Tak z ciekawości, myślicie, że dożyjecie ranka po nocy poślubnej?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale przestała się śmiać.

– Tak myślałem. To już nie jest takie zabawne, co?

– Was chyba bawi – odpowiedziała wreszcie.

Zastanawiał się chwilę.

– Nie, w sumie to nie. Zawsze szkoda, jak się takie cudeńko marnuje. Jak już i tak macie zejść, to może byście dali spróbować staremu krasnoludowi?

– Jeśli będę zamierzała... zejść... zastanowię się nad waszą uroczą propozycją – odpowiedziała chłodno.

– To już zaczynajcie... znaczy się, zastanawiać, bo sądząc po sposobie, w jaki powitał was narzeczony, czasu macie nie za wiele. No, chyba że liczycie na pomoc Zakonnej. Coś mi się jednak widzi, że jej się nie będzie chciało leżeć za wami do łóżnicy, coby nowożeńca pilnować.

– Nie liczę na Zakonną.

– Wasz chłopaczek też raczej nie poleci patrzeć, jak się z innym pokładacie...

Nie odpowiedziała, ale Sodi nie przestawał.

– Wiecie, jak się tak zastanowić, to jego też żal... Tego waszego dzieciaka. Nie będzie chyba szczęśliwy, kiedy jego wysokość zarznie was w nocy. To będzie taka smutna historia, jak w staroelfich bajkach... Pan pojmie pannę, zabije ją, a jej ukochany, chcąc pomścić dziewczę, porwie się na króla. Że ten jednak jest dobrze strzeżony... I młodzian wkrótce umrze.

Odpowiedziała mu cisza, przerywana głębokimi oddechami śpiących Yorhów. Krasnolud przekręcił się, ale nie zdołał uwolnić z objęć potężnego woja. Szarpał gniewnie brodę, co, oczywiście, nie poprawiło mu humoru, więc wyładował swoją frustrację, mówiąc:

– Pewnie nawet nie pochowają was razem, bo ciało zdrajcy musi zgnić wystawione na widok publiczny, a was pewnie pogrzebią z wszystkimi honorami należnymi królowej.

– Zapewne – mruknęła cicho Try. Nie brzmiała, jakby była przerażona czy chociaż zaniepokojona.

Yudherthardere zmarszczył brwi. W półmroku wpatrywał się w brzeg łoża. Nie mógł dojrzeć Gaalki, ale jej spokój, chłód głosu i brak reakcji, gdy wspominał o jej kochanku, bardzo go zastanawiały.

– Nie martwi was to? – zapytał wreszcie.

– Co?

– Że umrzecie i wasz gładkolicy gówniarz też.

– Każdy musi kiedyś umrzeć.

– Ale lepiej byłoby chyba jeszcze trochę pożyć... nie?

Ponownie odpowiedziała mu cisza.

– Ech, wy Gaalowie, zimni jak kamienie... Nic was nie jest w stanie ruszyć, co? A jakem się wam przyglądał, tam w karczmie, toście całkiem... gorący byli. Aż się iskry sypały, takieście cuda wyprawiali.

– Mhm – wymruczała Gaalka. – Tak, wiem, napatrzyliście się. Idźcie już spać.

Przez chwilę oboje milczeli. Naraz krasnolud szarpnął się, prawie się uwalniając.

– Psia jego mać! Wy nie zamierzacie wychodzić za Reingharta! Dlatego tacyście spokojni!

– Powiedział, co wiedział – szepnęła. – Ślubu nie będzie. Zadowolony? Śpijcie już.

Sodi uśmiechnął się szeroko. Przestał się szarpać i prawie wtulił w ramiona Yorha. Z przyjemnością zmrużył oczy, by bezskutecznie wpatrywać się w szczyt legowiska. Nie kontynuował już rozmowy. Powieki ciążyły mu ołowiem, więc pozwolił, żeby senność zawiadnęła jego ciałem.

\*

Obudził go niepokój. Zielona wstęga płynęła przez pogrążoną w mroku komnatę. Cuchnęła rozkładem, słodkawą, duszącą wonią śmierci. Tańczyła w powietrzu, miękkimi falami sunąc między ścianami, łaskocząc zmysły dane tylko Tropicielom. Włoski na karku Sodiego stanęły dęba, przez skórę przesunął się gwałtowny dreszcz. Źrenice raptownie się rozszerzyły, usta rozchyliły, język poruszył nagle, nozdrza rozdeły się, a małżowiny jakby naraz rozrosły. Pięć zmysłów danych każdemu przedstawicielowi jego rasy oraz szósty, tylko dla wybrańców, błyskawicznie wyostrzyło się, reagując na każdą zmianę.

– Wstawajcie! – Szarpnął leżącego obok Yorha. Wojownik od razu uniósł powieki i pytająco spojrzął na krasnoluda – Zbliża się potężna magia. Potężna czarna magia.

Musimy być gotowi.

Poderwali się, budząc pozostałych. Nadchodziło zło.

\*

Główna brama Syrelle widziała już wiele. Każdego dnia miały ją setki przechodzących. Byli to goście ze szlacheckich rodów, najprzedniejsi rycerze, wielkie damy. Byli i kupcy z dalekich krain, i mieszczaństwo. Przyjeżdżali i odjeżdżali odwiedzający przeróżnego autoramentu, tak ludzie, jak i elfy, Gaalowie czy krasnoludy. Kilka razy zawitały nawet do Syrelle przedstawicielstwa syrenich książąt. Mimo to dawno, jeśli w ogóle, nie przechodziła tędy tak niezwykła karawana.

Poprzedzały ją wysokie, acz niezwykle harmonijne dźwięki piszczałek. Drżały w chłodnym porannym powietrzu, głośne, melodyjne, ni to krzycząc, ni śpiewając, nawoływały, nie pozwalając przejść obojętnie. Liczni już o tej porze kupcy, straż bramy, przyjezdni czy mieszkańcy Syrelle, każdy, kto już nie spał, zamarli, oczekując przybycia źródła dźwięku. Byli i tacy, którzy słysząc przywołującą melodię we własnych domach, otwarli szeroko okiennice, by stojąc w otwartych mimo zimna oknach, oczekiwać na przejazd karawany.

A dźwięki potężniały, krzyczały, jękliwe i głośne. Wreszcie w ogromnych odrzwiach z brązu, rozwartych od wschodu do zachodu słońca, pojawiły się pierwsze postaci. Grupka trefnisiów, odzianych mimo mrozu i wciąż leżącego na polach śniegu w barwne i cienkie stroje, tańczyła, wywijając szalone koziółki. Za nimi jechała kawalkada jeźdźców odzianych w złoto i czerwienie. Każdy dosiadał śnieżnobiałego wierzchowca. Kopyta koni uderzały w bruk w ten sam rytm, w który szybowali w górę błazni, a który podawały melodyjne piszczałki. Słońce odbijało się w jedwabiach szat. Wiatr igrał w pióropuszkach szerokich kapeluszy, lecz chociaż nasilał się i szarpał jedwabiami, nie zerwał żadnego z nakryć głowy i nie naruszył równowagi żadnego ze skaczących.

Jeźdźcy zatrzymali się i rozstąpili, robiąc miejsce zaprzęgowi. W tym samym momencie do dźwięków piszczałek dołączyły harfy, cytry, lutnie, trąby, flety, wreszcie bębny, a muzyka z przenikliwym wizgiem, zlała się w jeden ciężki hałas.

I właśnie wtedy przez główną bramę krainiejszej stolicy przetoczył się wysłany jedwabiami i białymi niedźwiedzimi skórami wóz ciągnięty przez olbrzymie siwki. Grzywy połyskiwały w promieniach słońca, gdy zwierzęta potrząsały głowami. Odbite od nich słońce tańczyło w złocie karocy i wielobarwnych kamieniach szlacheckich zdobiących powóz. Siedząca w nim para zdawała się tego nie dostrzegać. Ciemnowłosa piękność złożyła głowę na ramieniu towarzysza i drzemała, zmęczona podróżą.

Ascetyczna twarz młodego mężczyzny pozostawała obojętna, oczy zaś przysłaniały powieki, jakby otaczający go świat nie był wart spojrzenia.

Kiedy wóz zrównał się z pierwszą parą jeźdźców, karawana ruszyła w kierunku pałacu. Trefnisie niezmiennie skakali ku nieboskłonowi, kopyta rytmicznie uderzały o kamienny trakt, a wszystkiemu przygrywała gwałtowna, ciężka muzyka na setki instrumentów, z których żadnego nie było widać. Jakby sami bogowie zesłali ją z niebios. Mieszkańcy i goście Syrelle wpatrywali się w jadących unieruchomieni, jak gdyby czas zatrzymał się dla wszystkich oprócz uczestników karawany.

U stóp pałacowych schodów kawalkada ponownie się zatrzymała. Melodia naraz zamilkła. Siedzący w wozie mężczyzna uniósł powieki.

Na schodach stała Zakonna. Mimo że była nieuzbrojona i nie towarzyszył jej żaden z wojowników, bynajmniej nie wydawała się bezbronna czy chociażby słaba. Biła od niej siła, wyczuwalna nawet dla zwykłych śmiertelników, a co dopiero dla Pierwotnego Maga.

– Witaj, Yaso – powiedziała, wolno schodząc po stopniach. – Jakie... niezwykle przybycie.

– Witaj, Roso. Wyłączyłaś moją piosenkę?

– Powiedzmy, że irytująco wpadała w ucho. – Uśmiechnęła się szeroko. – To przedstawienie chyba nie dla mnie?

Nie odpowiedział. Wysiadł z karocy i podał rękę kochance. Dziewczyna stąpała lekko, patrząc na Rosę. Zakonna zaś nie zwracała na nią uwagi, lecz przyglądała się magowi.

– Rozumiem, że napracowałeś się dla Króla Królów? – zapytała domyślnie.

– Tam zaraz, napracowałem. – Yasa wzruszył ramionami. – Jedno małe zaklęcie. Nie wymagało nawet pstryknięcia palcami.

– To dobrze, bo widzisz, Reinghart nie mógł podziwiać twego dzieła. Jest... niedysponowany. – Wciąż się uśmiechała. – Możesz więc cofnąć czar.

Przez krótką, bardzo krótką chwilę w oczach maga błysnęło rozczarowanie, lecz zaraz przysłoniły je długie czarne rzęsy.

Rzeczywiście, nie musiał nawet pstryknąć palcami. Trefnisie w kolorowych ubraniach zniknęli, a i po jeźdźcach nie został nawet cień, tak jak i po ich koniach czy wyściełanym futrami i inkrustowanym szlachetnymi kamieniami wozie. W jednej chwili kawalkada, która zajmowała cały przedpałacowy dziedziniec, tańczyła, podskakiwała – przestała istnieć. Zostali tylko wysoki ciemnowłosy młodzieniec w długim połyskującym białym płaszczu i piękna kobieta u jego boku. Tylko oni nie byli ułudą, wytworem sprawnego umysłu Pierwotnego Maga.

Zakonna nie spuszczała wzroku z Yasy, a mlecznobiałe oczy kobiety przybrały rzadki dla nich ciepły wyraz. Wyciągnęła dłoń i podała ją mężczyźnie.

– Cieszę się, że przyjąłeś zaproszenie.

– Nie wydaje mi się, byś dała mi wybór – odrzekł, ale ostrym słowem towarzyszył ten sam łagodny uśmiech, który błąkał się na wargach kobiety. Mocno uścisnął prawicę Zakonnej. – Ale i ja się cieszę, że mogę cię znów zobaczyć.

Kiedy ich palce się spotkały, czas się zatrzymał i gwałtownie cofnął.

*Lubił utrzymywać złudzenie w jaskini. Iluzję bogatego pałacu, śpiewu liry, złocieni i drogocennych tkanin... Byłby pustym człowiekiem, gdyby był człowiekiem.*

*Zawsze lubił luksusy. Nawet te zwodnicze, wyczarowane własną mocą, sprawiały mu przyjemność. Skazał się na samotność u boku niespalającego się płomienia, ale to wcale nie oznaczało, że miał każdego dnia patrzeć na mokre kamienie, mroczne korytarze i wszechobecną pleśń. Stworzył więc wyłożone drogimi dywanami korytarze, a na ich ścianach powiesił wielobarwne arrasы oświetlane setkami świec w złotych kandelabrach. Wyimaginował zamek, w którym dorastał, dawno, dawno temu, w czasach, których zapewne by nie pamiętał, gdyby był człowiekiem. Takie zaklęcie nie wymagało wysiłku. Nie musiał nawet użyć do niego dłoni, ba, nie musiał nawet wypowiadać słów. Wspomnienie zbudowało elewację i wypełniło wnętrze. Wysokie sufity, drogie tkaniny, kunsztowne naczynia, obrazy i gobeliny. Patrzył na nie godzinami, bo chociaż były tylko pozorem wyczarowanym przez podświadomość, potrafił za każdym razem dojrzeć w nich coś nowego. Przynajmniej przez pierwszych kilkadziesiąt lat. Potem musiał pogłębić czar. Sięgnąć do myśli, o których zapomniał, do marzeń, o których nie wiedział, że je ma. Wszystko po to, by ponownie zobaczyć coś innego, nowego.*

*No i nudził się. Nienawidził samotności, a wyimaginowane kobiety, z których usług czasami korzystał, nie potrafiły zaspokoić potrzeby towarzystwa. Kilka innych tak, i to całkiem profesjonalnie, mimo że były wyczarowane, ale nie nadawały się do rozmowy, do tej słodkiej przyjemności prowadzenia dyskusji, droczenia się, odkrywania. Brakowało mu obecności żywej istoty, której sam by nie wymyślił.*

*Rzadko miewał gości. Okolica i opowieści o strasznym czarodzieju skutecznie ich odstraszały. Sam się o to postarał na początku swego dobrowolnego wygnania, ale po dziesiątkach lat samotność ciążyła mu tak bardzo, że gotów był rozsyłać zaproszenia.*

*I właśnie wtedy wprosił się Zakon.*

*Od lat trwali w zawieszaniu, on i najwyższa duchowa władza Krainy. Kiedy Yasa zamknął się w jaskini, Zakon, chociaż istniał, nie znaczył wiele. Kiedy zdobywali władzę, Pierwotny Mag optakiwał rzucone w gniewie przekleństwo. Żył już tak długo, że nie przywiązywał wagi do kolejnych duchowych przewodnictw. Każde z nich najpierw buntowało się przeciw jego istnieniu, by wreszcie zrozumieć, że nie zdoła go pokonać. Przez*

ostatnie kilkaset lat jedynie kilka razy musiał użyć mocy, żeby samodzielnie zniszczyć rodzącą się religię czy inny duchowy ruch. W każdym z tych przypadków zagrożony był nie tylko on, lecz także ludzie. A on kochał ludzi. Dlatego, choć pogrążony był w rozpacz, przyjrzał się kierunkowi, w jakim zmierzała nowa siła. Przyjrzał dość dokładnie i uznał, że założenia Zakonu nie stoją w sprzeczności z jego wartościami. Nie stawał więc na drodze nowej władzy. Trwał w jaskini, gdy Zakon się rozrastał, gdy sięgał po coraz większe wpływy, gdy wreszcie umieścił swoich doradców u boku Króla Królów.

I wtedy Przełożeni przypomnieli sobie o dawno zapomnianym Pierwotnym Magu. Wystali do niego jedyną wojowniczkę, jaka mogła zdzierżyć ewentualny atak. Jedyną istotę, która przeszła wszystkie Przemiany. Jedyną, nad którą nie powinien mieć władzy.

Nie miał. Wyczuł Moc, nim weszła do jaskini. Zanim jeszcze mógł spojrzeć w odbarwione tęczęwki, już wiedział, że nigdy nie spotkał takiej potęgi. Samo to, że Zakon potrafił uruchomić Moc Przemian, niesłychanie go zaskoczyło. To zaś, że jakakolwiek istota zdołała je przeżyć... to zupełnie nie mieściło mu się w głowie. Nikt, absolutnie nikt nie powinien przejść przez cztery Przemiany. Zadbali o to przed tysiącletkami Pierwsi z Pierwszych. Zawarli pakt, oddając każdy część mocy. Pakt miał uchronić Światy przed boską potęgą w rękach śmiertelników, nie dopuścić do tego, żeby ludzie zdołali zapanować nad czasem, magią czy śmiercią. I przez tysiąclecia nikomu się ta sztuka nie udała. Aż dokonała tego Rosa. Pokonała pakt i sięgnęła po boskie moce.

Czuł je od chwili, gdy stanęła u stóp gór. Kiedy wspinała się po schodach, drżał w oczekiwaniu. Kim było to dziecię elfów i ludzi, któremu najwyraźniej błogostawili sami bogowie? Po tym jak weszła, nie zainteresowało go ciało zmienione Przemianami. Było doskonałe, ale miewał już takie. Długie nogi, idealne proporcje, mięśnie pracujące pod jasną skórą... Wszystko to już widział. Spojrzał w mlecznobiałe tęczęwki i musiał się cofnąć. Moc płonęła bezbarwnym płomieniem, myśli krzyczały, ukryte emocje rwały się na zewnątrz. Setki niepokornych, gwałtownych uczuć okrytych płaszczem obojętnego uśmiechu. Dusza Kobiety Tradycji zachwyciła go i przeraziła.

Rosa długo mu się przyglądała. Chłodno i z zastanowieniem. Był pewien, że nie zwiódł jej czar i widzi go takim, jaki jest. On i jego otoczenie.

Wreszcie dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie i wyciągnęła do niego rękę.

– Witaj, Pierwotny Magu. Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać.

Niski, wibrujący głos przemówił do miejsca, o którym Yasa już zdążył zapomnieć. Przemówił wprost do magicznej duszy.

– Jestem zaszczycony, Kobieto Tradycji. – Przyjął uścisk.

Ich palce się spotkały, a czas się zatrzymał. Pierwotna Moc spotkała swego stwórcy.

Jak teraz. Ta sama siła, która wstrząsnęła nim przed laty, dreszczem przepłynęła przez ciało maga. Uśmiechnął się i z najwyższym trudem cofnął rękę. Kobieta

uśmiechnęła się łagodnie, a potem spojrzała na towarzyszącą magowi piękność.

– Witaj, Arthe. – Nie podała jej ręki, a jedynie skinęła głową. Kochanka maga przygryzła wargę, a potem zrobiła krok do tyłu.

– *Nie bój się, panno z Etgherre* – szeptał niski głos wprost w myśli dziewczyny. – *Nie zrobię ci krzywdy.*

– Nie boję się – odpowiedziała głośno ciemnowłosa. Mimo że drżące ciało przeczyło słowom, powtórzyła warknięciem: – Nie boję się ciebie.

Rosa uśmiechnęła się, a zdumiony Yasa zmarszczył brwi.

– Tak właśnie myślałam. – Zakonna pokiwała głową, a potem spojrzała na maga. – Idziemy?

Mężczyzna patrzył to na jedną, to na drugą kobietę. Nie potrafił przeczytać żadnej z nich, nie rozumiał tego dziwnego dialogu. Ni cholery nie wiedział, o co chodzi.

Frustracja nie była mu obca. Przez lata przecież bezskutecznie szukał odczyniającego przekleństwo zaklęcia. Od kiedy jednak odzyskał ukochaną, był przekonany, że będzie mógł zapomnieć o tamtym parszywym uczuciu. Tymczasem ono wróciło, silniejsze niż poprzednio.

– Idziemy? – powtórzyła Rosa, patrząc na maga.

Skinął głową. Potem porozmawia z Arthe. Kiedy wrócą do domu. Jak najszybciej.

Nienawidził Syrelle. Gardził Królem Królów. Tym Królem Królów. Nie potrafił mu zapomnieć Białego Kodeksu i bezsensownych mordów na elfiej rasie.

Gardził nim też z innego powodu, ale o tym nie mógł teraz myśleć. Wiele lat temu obiecał Rosie, dając jej monetę Bram, że pomoże, jeśli będzie tego potrzebowała. Nie sądził, że kobieta poprosi o przysługę. Nie należała do proszących. Należała do tych, którzy rozkazują. Jak on. Ciekawość. Kolejna ludzka emocja, zaskakująca dla pierwotnej istoty...

Tak, zdecydowanie zaciekała go. Co to musiał być za problem, że poprosiła o pomoc?

\*

– Pasożyt? Jesteś pewna?

Stali w sypialni Reingharta, u wezgłowia łoża wciąż śpiącego władcy. Rosa spojrzała chłodno.

– Umiem rozróżnić zaklęcia, Yaso. To z pewnością Zaklęcie Pasożyta.

– Niewielu potrafi go użyć, a jeszcze mniej jest tych, którzy rzucą czar zdolny do przejścia nosiciela.

– Wiem. Nie rzucił go jakiś młody adept, nie zrobił tego nawet mag Trzeciego Kręgu. Z tym bym sobie poradziła.



- A nie prosiła mnie?
- A nie wzywała ciebie – poprawiła go.

Uśmiechnęli się jednocześnie.

- Brakowało mi cię – przyznał Yasa.
- Chyba jednak nie w ostatnich tygodniach...
- Nie, w ostatnich nie.
- Zrobiłeś się szczery.
- Zrobiłem? Zawsze byłem.
- Inaczej zapamiętałam.
- Zawsze byłem szczery, ale moja szczerość i szczerość w pojęciu ludzkim to zupełnie

odmienne rzeczy.

Pokiwała głową, spojrzała na śpiącego i przestała się uśmiechać.

- Wiesz, co będę musiała zrobić, jeśli nie pozbedziemy się pasożyta?

Potaknął.

– I wiesz, że to przyniesie Krainie kolejną wojnę? Zginą ludzie. Wielu ludzi, elfy, krasnoludy, Gaalowie.

- Wiem. Nie musisz mi tego tłumaczyć.

– Tylko ci przypominam. To na wszelki wypadek, jakby cię koczyło odpłacić Reinghartowi za... przeszłość.

Zmrużył oczy zaskoczony. Przez chwilę milczał.

– Rzeczywiście muszę lepiej zadbać o moje tajemnice – powiedział wreszcie. – I dokładniej przyjrzeć się Zakonowi. Jest potężniejszy, niż myślałem.

- Zakon nie wie o Gherdeire. Tylko ja.

Nie zapytał. Bardzo chciał, ale nie zapytał skąd. Zdumiony przyglądał się dziewczynie. Nie był pewien, co go bardziej zaskoczyło. To, że nie doniosła Radzie Zakonu, czy to, że mu się przyznała.

- Zdumiewasz mnie, pani.

- Czasami trzeba coś stracić, żeby coś zyskać. Sam wiesz najlepiej.

Skinął. Wyciągnął rękę...

– Skoro ledwie uciekłaś poprzednio, teraz idziemy na moich zasadach. Trzymasz się mnie. Słuchasz moich poleceń.

Rozbawiona uniosła brew.

- Nie sędzę, żeby to było możliwe. Sługa Zakonu jest posłuszny tylko Radzie.

– Tym razem nagniesz zasady albo ci nie pomogę. – Już się nie uśmiechał. – Cokolwiek siedzi w głowie króla, zagraża całej Krainie. To chyba nieodpowiedni czas, by się sprzeczać o to, kto winien mieć władzę?

Przyglądała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Mam w tym większe doświadczenie – dodał łagodząco.
- Dłuższe – poprawiła kobieta, ale zamiast dalej dyskutować, ujęła wyciągniętą rękę mężczyzny.

Ciemność nastąpiła nagle. Skrzyżowane palce zadziałały jak łącznik, przenosząc oboje w umysł Króla Królów. Tym razem nie przechodzili kolejnych poziomów królewskiej podświadomości. Tym razem weszli od razu w ostatni.

W jednej chwili zanurzyli się w gęsty myślami mrok. Nasączona alkoholem mgła zniknęła, czerń była przejrzysta, ostra niczym miecz Zakonnej i raniła równie precyzyjnie. Kąsała i cięła. Bez trudu przebijała ochronne bariery Rosy. Jak poprzednio, uderzała i cofała się błyskawicznie. Raz za razem, jak żywa istota, trafiała dokładnie w najczulsze miejsca. Zakonna zacisnęła palce, by złożyć je w kolejny obronny znak. Nim jednak zdążyła dokończyć... macki mroku cofnęły się gwałtownie. Zapłakały jękliwie, ale nie uderzyły ponownie.

Rosa spojrzała na maga. Wzruszył ramionami w milczeniu. Nie wypuszczał przy tym jej ręki i w skupieniu rozglądał się wokoło. Czekał. Macki stworzone przez największe magiczne umysły Krainy bynajmniej go nie wystraszyły. Zapanował nad nimi kilkoma zaklęciami. Nie namęczył się przy tym, chociaż, musiał przyznać, nie poszło tak łatwo, jak się spodziewał. W podświadomości władcy magia Pierwotnego nieco straciła na sile, ale połączenie z Przemienioną przywróciło jej moc. To z tego powodu nie przestawał ścisnąć palców kobiety. Z tego i kilku innych również.

Uśmiechnął się lekko. Zerknął na Rosę. Nie patrzyła na niego, przyglądała się bestii. Stwór wolno wynurzył się z ciemności. Nie przypominał żadnego znanego mu zwierzęcia. Ogromny i włochaty, siedł wolno na czterech kończynach z pochylonym olbrzymim łbem. Przyklejone do kudłatej głowy małe uszy drgnęły nerwowo, a nozdrza szerokiego czerwonego nochała poruszyły się, gdy wyczuł ofiarę.

Yasa zmrużył powieki, splótnął wstęgi swojej mocy, a ta przepłynęła falą i zatańczyła we krwi maga. Tętno przyspieszyło i przez chwilę tłukło w żyłach z bolesną intensywnością. Oczy maga rozbłysły białym żarem. Kiedy puls zaczął zwalniać, czarodziej uruchomił magię. Wyrwała się oślepiającymi płomieniami z pobielałych tęczówek Yasy. Rozświetliła mrok i cienie na poblądłej naraz skórze Rosy. Dziewczyna też poczuła nagły odpływ sił. Dokładnie wiedziała, kiedy mag uderzył w Bestię. Płomień najpierw przepłynął przez nią, a dopiero potem przez Pierwotnego, by wreszcie wyrwać się na wolność. I uderzyć.

Biały żar potężną falą walnął w potwora. Od czarnej sierści odbiły się setki iskier, niczym gwiazdy rozświetlając ciemność, po czym błyskawicznie zgasły. Stwór zaskowyczał cicho. Odskokzył i obnażywszy długie, mocne kły, warknął głucho. A pociemniałe w mroku ślepie rozbłysnęły złotem.

Yasa cofnął się raptownie. Bestia, nadal warcząc, wolno szła ku nim.

– *Wracamy!* – Myśl pojawiła się w umyśle Rosy, a długie mocne palce zacisnęły boleśnie na jej dłoni.

Złoto w oczach potwora ściemniało. Warkot się pogłębił. I zabrzmiał jak... powitanie. Jak imię.

– Yassa – syczał potwór.

– Już, Rosa! – krzyknął mag i pociągnął dziewczynę, w chwili gdy kły stwora prawie dotykały jej twarzy.

Szarpnięcie wyrwało ich ze świata królewskiej podświadomości.

Dziewczyna cofnęła się, ciężko dysząc. W milczeniu wpatrywała się w maga, czekając odpowiedzi.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął Reinghart. Podobnie jak ostatnio, tak i tym razem wyjście nieproszonych gości z jego umysłu wyrwało go ze snu. Podskoczył wściekły na łożu. – Co wy tu...?

– Śpij! – warknął Yasa, nie patrząc na króla. Władca otworzył usta, by zaprotestować, ale nie zdołał. Błyskawicznie opadł na poduszki i od razu zasnął.

Rosa uniosła brwi. Milczała, ale nie musiał czytać w jej myślach, czego zresztą nie potrafił, żeby wiedzieć, o co chciała zapytać. Usiadł na brzegu łóżka i powiedział coś, czego nie mówił od setek lat:

– Kurwa.

Zakonna wciąż czekała. Westchnął ciężko i odpowiedział na niezadane pytanie:

– Nie pokonamy Bestii. Nie zdołamy jej wypędzić. Nie przez umysł twojego króla.

– Więc jak?

– Musimy znaleźć twórcę i go... cholera, nie wierzę, że znów muszę to zrobić... zabić.

– Znów?

– Znałem tylko jedną istotę zdolną tworzyć złotookie potwory. Tylko jej bestie potrafiły przejąć kontrolę nad żywym stworzeniami zmaterializować w podświadomości gniew zdolny zabijać. I co ważniejsze, tylko ona tak wypowiadała moje imię. – Uśmiechnął się ponuro. – Miałem nadzieję nigdy już tego nie usłyszeć. Ostatecznie urwałem jej głowę, a prochy rozsypałem na cztery strony świata.

– Isina? – zapytała Rosa.

– Tak. – Westchnął znowu. – Isina.

# RoydyałX

## Lodowiec

Yorhowie wstali szybko i w absolutnej ciszy, jakby ich potężne ciała nic nie ważyły. Poruszali się jak Zakonna, bez najmniejszego hałasu, niczym dzikie koty gotowe do odparcia ataku. Brzydkie twarze wydawały się obojętne, ale oczy pozostawały skupione.

– Co się dzieje? – Głos Try brzmiał świeżo, mimo że właśnie obudziła się z głębokiego snu. Za to krasnolud prawie się zająknął, odpowiadając:

– Musimy iść. – Wyostrzone zmysły wrzeszczały jak opętane, ostrzegając o niebezpieczeństwie. – Szybko.

– Dlaczego? – Nie dawała za wygraną. W chacie właśnie zrobiło się ciepło i przyjemnie, więc jakoś nie spieszyło jej się na zewnątrz... – Do świtu jeszcze przynajmniej godzina.

Żrenice krasnoluda gwałtownie się rozszerzyły. Nozdrza zadrgały. Nadchodził Mrok. Potężna zła siła była tak blisko, że skóra Sodiego płonęła od środka. Czuł swąd mieszający się ze stęchlizną zła pukającego do drzwi. To, co było za nimi, nie pochodziło od bogów. Nie natura dała temu życie, lecz czarna magia. Martwa Pierwotna Moc. Zapach przywodził na myśl Leonerre, ale był intensywniejszy. Boleśniesz. Bardziej martwy.

Inaczej nie potrafił tego nazwać. To, co szło przez las, było martwe od wieków i nieśmiertelne zarazem. Zadrzał gwałtownie. Wizja przemknęła przez podświadomość, pozostawiając jedynie niechciany ślad. Nieokreślony, a jednocześnie brutalnie rzeczywisty. Realny jak płomień ognia w palenisku.

Wojowie błyskawicznie sięgnęli po skóry. Bez zwlekania zarzucili je sobie na ramiona. Jeden podszedł do ogniska i zalał je wodą z roztopionego w garncu śniegu. Drugi bezceremonialnie poderwał dziewczynę z łoża i narzucił na nią kozuch. Żaden z nich nie zapytał krasnoluda. Żaden się nie odezwał. Nie musieli.

– Yudherthardere? – Dziewczyna nie wyrywała się. Przez opary snu dotarło do niej, że dzieje się coś złego. Nie dyskutowała. Stała przed brodaczem i spojrzała w ciemne oczy, w których tęczęwki prawie znikły za szerokimi żrenicami.

– Nie zdążymy. – Sodi wyrwał zza paska topór.

Yorhowie spokojnie sięgnęli po miecze. Try rozejrzała się. Na podłodze obok łóżka leżały dwa miecze, potężny gaalski obosieczny oręż i skromniejszy srebrny, czarnoelfi. Wzięła w dłonie oba i spojrzała na mężczyzn.

– Idziemy?

Yorhowie utkwili wzrok w Tropicielu. Ten zaś odetchnął głęboko. Wolno przekreślił głowę. Tęczówki kompletnie znikły, nozdrza się rozszerzyły. Wszystkie sześć zmysłów na wpół oszalało od nadmiaru wrażeń.

– No, idziemy – wycharczał cicho i ruszył ku drzwiom. Kiedy sięgnął po skobel, jeden z Yorhów łagodnie złapał go za kołnierz kurty i przesunął za siebie. Sodi nie protestował. Gdy ciężkie macki czarnej magii dosięgały jego podświadomości, czuł się bezpieczniej, o ile było to w ogóle możliwe, ukryty za rozłożystymi barkami wojownika.

Yorh powoli otworzył wejście. Wyjrzał szybko, a upewniwszy się, że nic im nie zagraża, wyszedł przed chatę. Za nim, drepcząc szybko, wybiegł krasnolud, potem Try, a na końcu drugi Yorh. Las ogarnęły sen i cisza. Dziwna, nienaturalna cisza. Nie słychać było szumu wiatru, szeleszczących liści ani łamanych przez zwierzęta gałązek. Żadnych pohukiwań. Żadnego dźwięku. Nawet przywiązane do drzew konie zdawały się wstrzymać oddech. Tylko ciemność i cisza.

I naraz... Naraz rozpętało się piekło.

\*

Yasa zmrużył powieki, przyglądając się Rosie z zastanowieniem.

– O Isinie też wiesz tylko ty czy cały Zakon?

– Nie mam pojęcia. Mnie opowiedział zaprzyjaźniony z tobą krasnolud.

– A on skąd...? Zapomniałem o tej jego nieszczęsnej prababce. Cholerny Stroidar i jego Beneria. Nie mam nic do krasnoludów, ale Pierwotny powinien umieć trzymać język za zębami.

– Zapewne. – Skinęła głową z niewesołą miną, przyglądając się śpiącemu Reinghartowi. – Ale to akurat nie jest nasz największy problem w tej chwili.

– Ano nie. Nasz największy problem tkwi zawieszony między światami. Będziemy musieli się go jakoś pozbyć. Tylko nie mam pojęcia jak...

Spojrzała nieufnie. Nie potrafił jej przeczytać, ale tego akurat nie ukrywała.

– Nie wierzysz mi?

– Tylko się dziwię. – Wzruszyła ramionami. – Dziwię się, że zniszczyłeś jej ciało, a ducha pozostawiłeś. Sądziłam, że zawsze kończysz, co zacząłeś, więc zrobiłeś to świadomie?

– Kiedy zabiłem Isinę... Nie wiedziałem, że nie wystarczy uśmiercić ciało.

– Nie?

Westchnął ciężko.

– Byłem młody, nie wiedziałem wielu rzeczy. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, bo znasz mnie teraz, a teraz jestem wszechwiedzący. – Uśmiechnął się, ale Rosa nadal nie wyglądała na rozbawioną. – Isina... Isina była...

*Była boginią...*

*Tak czuł. Za każdym razem, gdy unosiła się i opadała, gdy jej ciało zamykało się wokół niego, a długie krwistoczerwone włosy laskotały jego pierś. Za każdym razem, gdy miękkie wargi chłodziły jego rozgrzaną skórę czy też paznokcie szczupłych palców ją rozrywały. Za każdym razem, kiedy go posiadała, tylko ona, wciąż od nowa. Była boginią.*

– Yaso?

Potrząsnął głową, odganiając niechciane wspomnienie. Gdzieś w głębi podświadomości usłyszał złośliwy chichot. Znał go. Kiedyś pragnął tej, do której należał. Dawno, dawno temu.

– Yaso? – powtórzyła Rosa.

– Isina była moją cioteczną prababką i Pierwotną Czarownicą. Miała setki lat, kiedy się urodziłem. Uznała, że będę należał do niej i tylko do niej. Poczekala, aż podrosnę, a potem sobie mnie wzięła.

Uniesienie brwi było jedynym komentarzem Zakonnej.

– Przez wiele, wiele lat podobało mi się to... Nie, nie podobało. Byłem zachwycony. Bycie kochankiem Isiny stało się sensem mojego bytu. Uzależniłem się, istniałem tylko dla niej, dla jej uśmiechu, ruchu jej dłoni, spojrzenia, dotyku... Żyłem, bo ona mnie chciała. Bo, rozumiesz, chciała mnie. Istniałem więc dla niej i dla tego, co robiliśmy w łóżu... a ona była w łóżu...

– Powiedzmy, że akurat tego nie chcę słyszeć – chłodno przerwała wojowniczką.

Yasa uśmiechnął się.

– Ty też... – Jedno spojrzenie kobiety powstrzymało słowa, które miały paść. – Rozumiem. Więc jak już mówiłem, uzależniłem się. Lata zmieniły się w dziesięciolecia, dziesięciolecia w wieki, a ja...

– Byłeś siennikiem Pierwotnej Czarownicy – dokończyła zimno.

Skrzywił się, ale, chociaż niechętnie, przytaknął.

– Właściwie masz rację, chociaż nie podoba mi się dobór słów. Bywasz okrutnie dosadna.

Milczała, więc kontynuował.

– Któregoś dnia powiedziała, że jej się znudziłem, znalazła sobie kogoś innego i kazała mi się wynosić. Mój świat się rozpadł. Życie utraciło sens.

– Ale to nie dlatego urwałeś jej głowę, prawda?

Uśmiechnął się niewesoło.

– Oczywiście, że nie.

– Więc?

– Przez wiele lat leczyłem złamane serce i wierz mi, nie polubiłabyś tamtego Yasy. Absolutnie byś nie polubiła... Wreszcie jednak pozbierałem się i zakochałem. Prawdziwie, szczerze, całkowicie. Zakochałem się w dobrej kobiecie. Dobrej, czułej i mądrej. Ona pokochała mnie i co dziwniejsze, została ze mną. Ledwie kilka lat, a jakby całe życie... Bogowie zdawali się nam błogosławić... Pierwotni Magowie rzadko są zdolni do prokreacji, nie oczekiwaliśmy więc... a udało się. Miałem więc ukochaną, wkrótce miał nam się urodzić syn...

– Isina sobie o tobie przypomniwała?

– Tak. Przypomniwała sobie. Byłem przecież jej własnością. Należałem do niej. Przyszła po mnie. Zabiła kobietę, którą kochałem, zabiła nasze dziecko... – Głos maga stwardniał, oczy rozbłysły lodowym żarem. – Ścigałem ją latami. Ponownie stała się moją obsesją, chociaż z zupełnie innych powodów. I wreszcie dorwałem ją. Nie miałem wielkich szans. Była starsza, miała większą wiedzę, większe umiejętności... ale ja miałem swoją nienawiść. Dała mi to, czego potrzebowałem: siłę i moc. – Przez chwilę milczał, wpatrując się w ogień płonący pod kominkiem. Potem uśmiechnął się krzywo. – Niestety, kiedy już było po wszystkim, dowiedziałem się, że przed spaleniem ciała trzeba było odprawić egzorcyzmy, żeby i ducha wysłać do otchłani.

Zakonna przyglądała mu się spokojnie. W milczeniu.

– Przez stulecia Isina była zbyt słaba, żeby naprawdę zaszkodzić ludziom. – Wstał i podszedł do Rosy. – Słyszałem o jej głupich chochlikach, o umowach dotrzymanyh inaczej... Gdyby dawała ludziom to, czego oczekiwali, pewnie mielibyśmy taki problem już wieki temu.

– Dlaczego?

– Bo, moja droga, żeby duch osiągnął taką potęgę, by materializować stwory i zawładnąć ciałem, musi mieć wsparcie. Wsparcie żyjących. Przynajmniej trzech żyjących jednocześnie. Nasza królowa przekrętów zawarła co najmniej trzy wiążące umowy. Może być ich i więcej... Musimy więc zlikwidować źródło problemu... Niestety nie mam pojęcia, jak zabić ducha Pierwotnej... skoro już jest martwy.

Długą, długą chwilę wojowniczką wpatrywała się w ciemne tęczęwki maga.

– Rozumiem dlaczego Reinghart, ale jak? – zapytała wreszcie. – Najlepsi magowie Krainy zabezpieczali jego umysł.

– Ja wszedłem doń bez problemu. – Wzruszył ramionami. – Ale masz rację, miałem twoje wsparcie. Jeśli więc to nie on zawarł porozumienie z Isiną, ktoś musiał zdradzić

twego władcę. Ktoś bliski, z kim łączą go więzy krwi. To najskuteczniejszy sposób, żeby wpuścić Pasożyta. Przecież wiesz. Dlaczego mnie sprawdzasz? Nie ufasz mi?

Tym razem ona wzruszyła ramionami.

– A powinnam?

– Ranisz mnie, Kobieto Tradycji. – Uśmiechnął się, lecz zaraz spoważniał. – Nie, nie powinnaś. Nikomu nie powinnaś ufać. Tym razem jednak cię nie oszukuję, jestem po twojej stronie. Możesz mi powiedzieć.

– Co?

– Jak zabić Isinę. Nie byłaś zdziwiona, że ona stoi za Bestią. Podejrzewałaś to, prawda? Dlatego mnie ściągnęłaś. I czuję, że wiesz, jak pozbyć się tego problemu.

Teraz to ona się uśmiechnęła.

– Nie wiem, ale znam kogoś, kto wie. Właściwie oboje znamy.

\*

Ciszę rozerwał huk tak potężny, że spłoszone konie zaczęły wierzgać i rwać więzy, a biegnący ku nim jeźdźcy zatrzymali się gwałtownie. Grzmot błyskawicznie narastał. Zwierzęta skowyczały. Yorhowie i Gaalka zatkali uszy. Krasnolud stał z szeroko rozwartymi oczyma, jakby nie słyszał ogłuszającego hałasu, i patrzył. Grube paluchy zacisnęły się na toporze, a wzrok skierował na źródło dźwięku. Jeszcze go nie widział, ale już wiedział, z czym przyjdzie mu się zmierzyć.

Zamknął oczy.

Wszechobecny hałas zagłuszał wszystko inne. Dźwięk łamanych gałęzi i pisk przerażonych zwierząt nikły pod jego naporem. Zagłuszał nawet Try krzyczącą do Sodiego, by się ruszył. Słyszał ją. Widział, chociaż nie patrzył, że dziewczyna próbuje uspokoić wierzchowca, żeby go dosiąść. Jeszcze nie wiedziała, w przeciwieństwie do Yorhów, że nie zdoła. Żadne z nich nie zdoła uciec.

Nadchodziło. Yorhowie też to czuli. Wbili w ziemię miecze, wyrwali zza ramion łuki. Napięli cięciwy. I czekali.

Wyostrzone zmysły Tropicielea wyodrębniły dźwięki ukryte w potężnym huku. Słyszał pękające pod naporem potężnego cielska konary drzew, szum ogromnych skrzydeł, głośniejszych niż wichura. I widział. Widział potwora. Stwór sunął ponad koronami drzew. Ogromne złociste skrzydła połyskiwały w świetle księżyca, to unosząc się, to opadając. Zostawiały za sobą szeroki ślad połamanych gałęzi. Wysoki, ciężki zaśpiew dobywający się z gadiopodobnej mordy rozrywał ciszę, ranił.

Sodi dokładnie wiedział, kiedy stwór zanurkował. Poczul na skórze poruszenie powietrza, a Tropiciel swąd nienawiści. Gad opadł na ziemię tuż przed nimi. Strzały Yorhów posypały się ku potworowi. Każda odbiła się od twardej skóry i spadła



w śnieg. Wojownicy zamarli na moment. Kolosalny stwór, większy niż jakakolwiek żyjąca istota, wciąż śpiewał straszliwą pieśń zagłuszającą wszystko. Wzbijając w powietrze tumany śniegu, machnął jeszcze raz złocistymi skrzydłami, a potem schował je. Złote oczy rozbłysły, kiedy stworzenie dojrzało Gaalkę.

Krasnoludy nie są stworzone do walki. Nie, z całą pewnością nie są stworzone do walki. Kiedy jednak trzeba, zapominają o tym. Sodi rzucił się na bestię, wywijając toporem. Magiczna istota leniwie przeniosła na niego wzrok. Zmrużyła złociste oczy. Błysnęła w nich jakaś namiastka myśli...

– Aaa!!! – wrzeszczał Sodi, biegnąc Gaalce na ratunek.

Olbrzymie skrzydło wyprostowało się wolno i niemal łagodnie odepchnęło krasnoluda. Uderzenie zamknęło mu usta. Przeleciał kilka kroków i ciężko opadł na miękkiego śnieg. Kiedy zaczynał się gramolić, na stwora ruszyli Yorhowie. Dwa potężne miecze uderzyły w skórę bestii i jak poprzednio strzały, odbiły się od niej, nie uczyniwszy żadnej szkody. Raz za razem. I jeszcze. Wojowie szukali wrażliwego miejsca. Bez skutku. Potwór zdawał się drwić z napastników, pozwalając im uderzać. Złote spojrzenie utkwiał w dziewczynie.

Try trzymała w dłoniach srebrny czarnoelfi miecz. Stała, nie mogąc się ruszyć, uwięziona magią złotych oczu. Ociężałe ciało odmówiło współpracy. Wrzask stwora śpiewał słodką melodię w jej głowie. Wiedziała, że powinna użyć broni. Powinna walczyć, ruszyć się, biec, krzyczeć. Nie mogła. Gad uwięził i ciało, i umysł, jednym tylko złocistym spojrzeniem. Uniósł się powoli i nie spuszczać wzroku ze stojącej przed nim Gaalki, potężnymi ciosami odrzucił wojów. Olbrzymi kudłacze, jak poprzednio Sodi, przelecieli w powietrzu kilka kroków. Siła uderzenia w ich przypadku była jednak znacznie większa. Mężczyźni trzasnęli w stojące drzewa i spadli pod nie niczym szmaciane lalki.

Krasnolud wstał, by ponownie skoczyć ku stworowi. Po dwóch krokach znów poleciał na spotkanie ziemi.

Gad podszedł do dziewczyny. Schylił głowę. Szerokie nozdrza rozchyliły się, wciągając woń Try, jakby ich właściciel chciał się upewnić. Łeb się uniósł. Złote oczy błysnęły. Powinna się ruszyć! Uciekać! Uciekać!!!

Paszczka rozwarła się raptownie. Potężne kły błysnęły zapowiedzią śmierci. Rusz się! Uciekaj! Sodi nie krzyczał. Bezradnie patrzył, jak olbrzymi łeb wolno opada ku Gaalce.

Nagle... kiedy już nie było nadziei, kiedy ledwie szerokość dłoni dzieliła dziewczynę od śmierci, spośród drzew zza jej pleców wybiegł mężczyzna. Błyskawicznie wyrwał z ręki Try elfi miecz. Świat rozbłysnął milionem iskier. Wielobarwny blask, mieniając się i płonąć, otoczył nowo przybyłego. On i broń złączyli się w jedno. W potężny, śmiercionośny oręż. Młodzian odepchnął Gaalkę, jednocześnie wbijając ostrze

w magiczne zwierzę. Błogosławiony miecz wsunął się w nieprzebitą dotąd skórę. Wszedł gładko, aż po rękojeść.

Magiczna pieśń zamilkła. Tęczowa łuna płonęła wokół obrońcy Try. Drobne skry przeskoczyły zeń na złotą skórę umierającej istoty. Jedna za drugą. Jak z paleniska sypały się tęczowe iskierki. Wkrótce magiczny płomień zagarnął stwora. Zapłonął. I błyskawicznie spopieliwszy stworzenie, zgasł.

Mężczyzna wypuścił miecz. Opadł na kolana. Zaraz jednak i one ugięły się pod nim, a miękki śnieg przyjął omdlałe ciało.

Sodi uniósł się z trudem. Spojrzał na Yorhów. Oni również, chociaż z nieukrywanym bólem, wstawali z ziemi.

– Pani Trydnette, caliście są? – zapytał krasnolud, przyglądając się dziewczynie.

Zdezorientowana wojowniczką potrząsnęła głową.

– Chyba... Co to było?

– Bazyliszek. Mieliście w cholerę szczęścia.

Gaalka, jakby dopiero do niej dotarło, co się stało, przyskoczyła do wybawcy. Uklękła przy nim i delikatnie obróciła go na plecy.

– Panie... Panie! – powtórzyła lekko drżącym głosem.

Yudherthardere podszedł do nich i ciężko klapnął obok.

– Czy on...? – Nie śmiała skończyć.

Sodi poszukał tętna na szyi młodzieńca. Nim je znalazł, setki myśli przesunęły się przez głowę małego lorda. Niezbyt miłych myśli.

– Żyje – powiedział wreszcie.

– Jak? Ja nie mogłam... Kto to? Skąd się tu wziął? Jak?

Krasnolud bezceremonialnie trzasnął nieprzytomnego w policzek. Uderzenie odrzuciło głowę chłopca. Yudherthardere zamierzył się ponownie, lecz tym razem powstrzymała go żelazna dłoń dziewczyny.

– Nie! – wyszczała. – On uratował mi życie.

Sodi wzruszył ramionami.

– No dyć, przecie go do tego szkolili – mruknął. – Pewnie zadziałał odruch.

– Odruch, nie odruch, zaryzykował życie. Jak to szkolili?

– Nic tych panien teraz nie uczą – wymamrotał, uśmiechając się złośliwie. – To Lodowiec jest. Nietrudno poznać, biała skóra, jasne włosy... i gęba jak z obrazka. Hodują toto do ochrony przed magią. Nie widziałaś, panna, jak się zlał w jedno z magicznym mieczem? Przy okazji chwałaż bogom, że wam ten oręż Zakonna dała. Wszyscyśmy dziękować winni. Zdechlibyśmy na tym śniegu jak nic. Drugi raz w ciągu miesiąca. Jakoś o tym leśna wróżka wspomnieć zapomniała. Oj, chyba trza będzie tego świerczka wsadzić tu i ówdzie... Nic to, wy przecie nie o to, co nie? Takem coś, kurwa,

czuł od jakiegoś czasu magię jakowąś, niby słabiutką, jak cień jeno. Teraz już wiem, że o toto chodziło. Wkurwiła mnie trochę Leonerre, ale w sumie dobrze, że mi królowka nie ufa. Jakby tego tu wybryku natury za mną nie posłała, gnibym jak nic. No i wy też...

Try łagodnie przesuwiała palcami po twarzy pięknego młodzieńca.

– Jesteście pewien, że żyje? Nie wygląda...

– Żyje, żyje. Osłabiło go uderzenie mocy. Dla mnie to i tak, o zaropiały wrzodzie na przesłicznej panny dupie, bez znaczenia. Już odwołałem się do Porozumienia, więc i tak służę Zakonnej. Nawet jakby gówniarz ducha wyzionął. Ale jakby zdechł, Leonerre by mi tego nie darowała, więc lepiej...

– Mamroczecie... Nic z tego nie rozumiem.

Krasnolud westchnął. Wstał i otrzepał nogi ze śniegu.

– Trzymacie na swoich kolanach przyczynę mojej chwilowo bliskiej więzi z panią Rosą. To Grem, ukochany Lodowiec królowej Doliny Serbithów. To przez niego... i chuć królowki całe to kurewskie zamieszanie. Znaczy moje, bo wasze to z innego powodu...

Nieprzytomny młodzian poruszył się lekko. Okolone długimi jasnymi rzęsami powieki drgnęły i powoli się uniosły. Wyjrzały spod nich najbardziej błękitne oczy, jakie Try widziała w życiu. Przejrzyste jak czyste niebo, ze śnieżną otoczką wokół źrenicy i kroplami mrozu na tle niezmiernego błękitu...

– Bogowie, piękni jesteście – westchnęła w starogaalskim.

– No dyć, że jest – przytaknął jej w tym samym języku krasnolud. – Hodują ich też do uciechy królowek, to szpetny być nie może.

Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała. Cofnęła palce z twarzy wybawcy i uśmiechnąwszy się ciepło, zapytała w kraińskim:

– Jak się czujecie?

Zapatrzony w jej uśmiech Grem z trudem zbierał myśli.

– Chyba dobrze... Nigdy wcześniej nie... nie spotkało mnie nic takiego.

– Uratowaliście nas. Wszyscy winni jesteśmy wam dozgonną wdzięczność. Ja nigdy wam tego nie zapomnę.

– Każdy by tak postąpił. – Młodzieniec usiadł powoli.

– Taaa, ino nie każdy skradałby się za czyimiś plecami – prychnął Sodi.

Chłopak spojrzał na niego z niechęcią.

– Nie słyniecie z honorowego zachowania, jakbyście nie wiedzieli. Musiałem się upewnić, że dotrzymacie słowa danego mojej pani.

– Oż, wyszczekany niewolnik – warknął krasnolud. – Nie wiesz, gówniarzu, gdzie twoje miejsce?

– Tuż za waszymi plecami – spokojnie odpowiedział Grem. – I dla waszej wiadomości, od lat jestem już wolny.

– Już wszyscy wiedzą, jakieś tę wolność zdobył.

– Dość! – podniosła głos Try. – Zachowujcie się, Yudherthardere!

– A co ja, kurwa, robię?! – zapytał rozżalony Sodi. – Jakieś, gówniarz, zarzuty mnie tu stawia... Jakbym chociaż mógł wyrolować królowkę... Tak, smarku, możesz wracać do swojej pani. Dopóki ma glejt od Rady, nie mogę nawet pierdnąć bez jej zgody.

Młodzieniec wstał. Uśmiechnął się nieco złośliwie do krasnoluda, a potem już szczerze do Try.

– Jeśli pozwolicie, pani – zwrócił się do Gaalki, ignorując gniewne sapanie Sodiego – pojedę z wami.

– Będziemy szczęśliwi, jeśli zechcecie nam towarzyszyć – miękko odpowiedziała dziewczyna, wyciągając rękę do Grema, a ten uściśnął ją oczarowany.

Tęczowe skry, tym razem widzialne tylko dla zmysłów Tropicielea, zatańczyły na skórze połączonych palców obojga młodych.

– W sumie – krasnolud uśmiechnął się zjadliwie – to może być nawet zabawne.

I nie patrząc już na obie przyczyny swoich problemów, ruszył ku przywiązanemu do drzewa kucowi. Yorhowie już tam czekali.

# RoydyałXI

## Ucyucia

Arthe stała w oknie, opierając czoło o jego szklaną taflę i tęsknie wpatrując się w niebo. Bogowie, jak jej tego brakowało! Światła, widoku nieba, nawet takiego jak to za oknem, ponurego szarością, ukrytego pod warstwami ciężkich, granatowych chmur, przez które słońce nie mogło się przebić. Marzyła latami o takim widoku.

Zadrzała na niechciane wspomnienie. Tak, pamiętała każdą chwilę niegasnącego płomienia. Każdą przesypaną skrę gęstą łzami, których nie mogła wypłakać. Pamiętała godziny zmieniające się w dni i dni zmieniające w lata, tęsknotę i ból. Ten nigdy nie odchodził. Trwał na granicy jawy i snu. Tak jak ona. Zawieszona we wszechświecie. Nie całkiem żywa, nie całkiem martwa. Słyszała i widziała, ale nie mogła dotknąć, nie mogła posmakować. Ból i strach. Tak, to pamiętała najlepiej.

Pamiętała też ją. Jediną żywą istotę, z jaką zdradził ją Yasa. Latami pojawiały się wyczarowane kobiety. Żłudnie prawdziwe. Oddawały się jej lekkomyślnemu kochankowi, bo tak je sobie wymyślił. Na każdy sposób, jakiego zapragnął. Patrzyła na to, nie czując ni żalu, ni zazdrości. Wiedziała, że to nie jest rzeczywiste, że tak naprawdę tego nie ma. Dopóki nie zjawiała się ona.

Arthe krzyczała wtedy z gniewu i zazdrości. Krzyczała głośno, sypiąc skrami niechciane łzy. Rozpaczliwe i gwałtowne. Nie mogła odejść, nie mogła odwrócić oczu. Była płomieniem. Wtedy, jak nigdy, naprawdę płonęła. Nie wie, nigdy się nie dowie, jak zdołała przetrzymać ten widok. Żal prawie odebrał jej rozum. Zrobił coś, czego lata zawieszenia i bólu nie potrafiły. Zabił jej miłość. Nie umierała powoli. Nie gasła przez dziesięciolecia palącego się ogniska. Skonała w jęku kochanka nurzającego się w innej. Brutalnie i szybko.

Tych kilka nocy Zakonnej i Yasy... Zapłacą za to. Za jej cierpienie, za tortury dźwięków, oddechów, pojękiwań. Za katusze widoku rozsypanych w pościeli kruczoczarnych włosów i połyskującej potem skóry. Za obrazy, których nigdy nie zapomni.

Uderzyła dłońmi w ścianę i wściekle przeciągnęła po niej palcami, łamiąc przy tym paznokcie i ścierając naskórek do krwi. Ból ją otrzeźwił. Przywołała na twarz uśmiech, zamrugła, żeby nadać spojrzeniu magii. Teraz była gotowa. Słyszała jego kroki za

drzwiami. Ciche, miękkie stąpanie. Kiedyś myślała, że tylko on tak chodzi, jak dziki kot gotów do łowów. Podniecała ją myśl, że oto ona jest zwierzyną. Nie mogła doczekać się ataku. Na samą myśl miała dreszcze.

Miłość skonana, ale pożądanie... Pożądanie pospołu z nienawiścią wciąż władało jej ciałem. Przyspieszało tętno. Wiązało oddech. Unosiło piersi. Zmieniało sutki w drobne guzeczki. Lawą rozlewało się w podbrzuszu. Była gotowa na sam odgłos kroków kochanka.

Nie odwróciła się, gdy wszedł. Wolno zsunęła suknię, a potem ponownie oparła czoło o szybę, a ręce o framugi. Chciała, żeby ją wziął. Bez słowa, w milczeniu, bez zapewnień o miłości. Tak jak stała, nie patrząc jej w oczy. Nie chciała widzieć jego twarzy. Tak było lepiej. Bezosobowo. Pozwalało się skupić na tym, czego pragnęła mocniej niż ciała Yasy.

Na zemście.

\*

Piętro wyżej, w sypialni nadal pogrążonego w magicznym śnie Króla Królów, Rosa usiadła, krzyżując długie nogi i opierając się o ścianę. Przymknęła oczy i lekko pokręciła głową.

Nie, nie była śpiąca. Zbierała siły. Potrzebowała rozmowy z Agrah Errem. Musiała mu wiele powiedzieć, o kilka rzeczy poprosić. Potrzebowała rozmowy i jeszcze czegoś. Bliskości. Tak jak powietrza, jak wody, potrzebowała bliskości Agrah Erra.

Przez te wszystkie lata od dnia, w którym uratował jej życie, broniła się przed byciem z nim. Wiedziała, że nie skończy się na kilku szalonych nocach i słodczy wspomnień. Bogowie połączyli ich więzami sięgającymi nawet głębiej niż te, którymi splekli ją i Orena. Czuli to od pierwszego uniesienia powiek, tam, w chacie. I z tego powodu obiecała Errowi, że nigdy nie będą razem. Złamała obietnicę, a teraz...

Nie, nie żałowała. Nigdy nie mogłaby żałować. Ot, po prostu teraz spotykały ją konsekwencje. Nie tęskniła za Orenem. Czasami go wspominała, ale nie tęskniła. Był słodko-gorzki marzeniem, jak dawno zapomniany sen, cudowny i straszny jednocześnie. Za Errem tęskniła nieustannie.

Odetchnęła głęboko. Nie będzie nad tym rozmyślała. Nie teraz. Odetchnęła raz jeszcze. Zebrała Moc. Jeszcze nim wypowiedziała zaklęcie, uśmiechnęła się ponuro. Będzie bolało. O tak, będzie bolało. Zaciśnęła palce i weszła w Nurt Myśli...

Bolało. Ciało odrywało się, kawałek po kawałku, mięsień po mięśniu, a każda część spadała do gorącej rzeki krwi i rwała przed siebie. Myśl po myśli, jak mięsień po mięśniu, wpadała w krwiste fale i uciekała. Pogrążała się w ciemności, w absolutnej

czerni, a wraz z nimi Zakonna. Niby szybko, a jednak boleśnie powoli... jakby czas rozciągał się niemożebnie, aż po kres istnienia. Wiecznie.

– Err... – szeptała rzeka – Err...

Echo myśli powtarzało szept jak słodką pieśń z głębi serca.

– Err...

– Rosa...

Ból zniknął w jednej chwili. Nie cichł z wolna, nie odchodził, lecz zgasł w tym jednym słowie wypowiedzianym miękkiem głosem elfiego władcy. Zastąpiła go błogość. Mrok rozświetliła delikatna jasność. Wolno, bardzo wolno ogarniała wszechświat, zamykając się wokół Rosy. Wreszcie dziewczyna zatonęła w jasnej poświacie niczym w piernatach. Spokój wpełzł w umęczony umysł i rozplątał się w nim przyjemnością. Łagodność nurzała się w niezdefiniowanej jasności, pozbawionej kształtów i dźwięków.

Err wpuścił ją w progi swoich myśli. Na tyle głęboko, żeby nie trwała w niebycie, ale nie wystarczająco, by mogła go czytać czy przejrzeć.

– Err? – zapytała cicho.

Odpowiedziała jej cisza.

– Err – powtórzyła.

Jasność zaczęła nabierać kształtów. Najpierw pojawiły się skały. Strzeliste, wysokie i ostre. Nagie wierzchołki, porośnięte tylko miejscami małymi kępkami trawy, rwały się ku błękitnemu niebu. To zaś było czyste. Doskonale jasne i pozbawione choćby jednej chmury. Szarobiałe skały odcinały się od jego tła ostrymi krawędziami. Potężne i piękne.

Spomiędzy skał, wysoko tuż pod szczytami, wypływały strumienie. Pokonały moc kamieni i wyrwały się na wolność. Silne, chociaż wąskie, tańczyły między głazami, łącząc się jeden po drugim i gdzieś w połowie gór tworzyły potężniejącą rzekę, która miał, jak jej ojcowie, sływać, odrywała się od góry hukiem wodospadu, spadając w dół, w głąb szafirowego jeziora przytulonego do stóp skał.

– Lepiej? – wyszeptał Agrah Err wprost w ucho kochanki.

Oderwała spojrzenie od cudu natury i zaskoczona spojrzała na elfa.

– Jak?

– Magią, kochanie, jak zwykle.

Nieposłuszne usta drgnęły, gdy usłyszała słodkie słowo. I naraz uświadomiła sobie. Ciężar ciała, zapach, widok, dźwięk... Podniosła rękę i dotknęła twarzy stojącego obok mężczyzny. Nie byli myślami, wyobrażeniem uczuć, magią niemożliwych do spełnienia marzeń i wspomnień. Byli realni.

Łagodnie przesunęła opuszkami po pełnych wargach kochanka. Ciepło i słodczy. Cofnęła się lekko. Agrah Err uśmiechał się. Czarne włosy puklami opadały na kołnierz rozpiętej białej koszuli sięgającej do bioder okrytych ciemnymi skórzanymi spodniami. Rosa przesunęła wzrokiem po długich nogach mężczyzny i zatrzymała spojrzenie na bosych stopach tonących w wysokiej, soczyście zielonej trawie.

Wolno uniosła głowę.

– Gdzie jesteście?

– W Górach Delghartu.

– Nie powinno być zimniej? I... więcej śniegu?

Roześmiał się cicho.

– Nie w tym miejscu. To Jezioro Kochanków. Tu nigdy nie jest zimno.

– Przeniosłeś nas? Mostem?

Skinął głową. Delikatnie ujął twarz Rosy w dłonie. Przez chwilę bez słowa, samymi kciukami pieścił blade policzki dziewczyny. Stała sztywno, z opuszczonymi ramionami, podczas gdy irytacja, głęboko skryta w bezbarwnych tęczęwkach, walczyła z pożądaniem.

– A Reinghart?

– Będzie spał. Nie martw się.

Ledwie drgnęła, przysuwając się ku mężczyźnie. Smukłe ciało odrobinę zwiotczało.

– Nie wystarczył Nurt Myśli? – spytała, znając odpowiedź.

– W Myślach nie da się zrobić tego – musnął ustami czoło dziewczyny – i tego – pocałował powieki – a już na pewno tego – wyszeptał i łagodnie, nieskończenie powoli zamknął wargi Rosy czułym pocałunkiem.

Westchnęła głęboko, namiętnie. Oplotła ramionami kochanka i mocno do niego przylgnęła. A potem zatopiła się, pogrążyła w magii. Pozwoliła, by Err jednym gestem, jednym dotykiem, jednym pocałunkiem rozpałił miliony gwiazd w jasny dzień. Rozspiewał ptaki. Rozbudził muzykę. Wypalił każdą z gwiazd na skórze. Podążyli razem. W nieskończoność.

\*

Zmierzchało. Krasnolud co rusz ziewał, kompletnie zmordowany, mimo że bawił się świetnie. Zawsze się świetnie bawił, gdy mógł obserwować złośliwość losu i ludzi, którzy gotowali sobie kłopoty. A ta parka ewidentnie ku temu zmierzała. Taaa... trochę irytowało go to, że panna wybrała takiego... Lodowca. Co też te baby widzą w takich gołowusach? No ładne toto, fakt. Takie wyhodowali. Przez wieki tworzone Lodowe Bękarty, by chroniły kolejne królowe Doliny Serbithów, wybierając tylko tych najładniejszych i najodporniejszych na magię. Od stuleci też królowe brały Lodowców



do łoża... Takie było ich przeznaczenie. W dzień mieli chronić, w nocy dogadzać. Do czasów niechlubnej Królowej Amris, która nie uważała, zaszła z takim czymś w ciążę i urodziła bękarta... Szybko zresztą utopiono stworka, Lodowca męczyli trzy dni, aż ducha wyzionął, a królowkę zamknęli w wieży do końca życia... W każdym razie od czasów tejże królowej trzebili Lodowców, gdy tylko dojrzewać zaczęli, żeby więcej takich wypadków nie było. Mimo to Gaalka leciała na tegoż jak mucha do gówna. Na jałowego stwora, niewiele lepszego od psa czy konia.

Doru zarżał lekko, jakby usłyszał myśli swego jeźdźca, więc Sodi poklepał lekko koński kark. No tak. Obraził zwierzaka. Porównał go do tego tam...

Ten tam dosiadał długonogą elfią klaczkę, która szła równo z gniadoszem Gaalki. Dziewczyna przyglądała się towarzyszowi z nieukrywanym zainteresowaniem. Nie była skromną damą dworu, do jakich przywykł, nie była też wielką panią, jakie czasami widywał na dworze Leonerre. Nie chichotała i nie wdzięczyła się, udając, że nań nie patrzy. Nie spoglądała też z niechęcią czy wręcz pogardą. Patrzyła otwarcie, z ciekawością ocierającą się o zachwyt. Uroda mężczyzny zapierała dech w piersiach, a oczy... Nigdy nie widziała takich oczu. Kiedy się uśmiechał, wydawały się błyszczeć, jaśnieć jak słońce odbite od śniegu, dziesiątkami białych drobinek rozświetlających błękit. Trudno było oderwać wzrok, niemożliwością niemal nie zatonać.

Nie czuła dotąd takich emocji. Drżenia, łaskotania, gorąca, zimna. I napięcia. Niesłychanego napięcia.

Mimo to rozmawiała z młodzieńcem spokojnie i rzeczowo. Zadawała pytania, a potem słuchała odpowiedzi. Gładkich, grzecznych odpowiedzi, wypowiedzianych głosem miękkim jak aksamit, ciepłym i śpiewnym, przywołującym słodyczą, obiecującym... jakżeż wiele obiecującym.

Zadrżała lekko, bardziej z zaskoczenia i czegoś niewytłumaczalnego niż z zimna. Grem błyskawicznie pochylił się ku niej, by dokładniej otulić dziewczynę białym kożuchem. Gdy związywał okrycie, ich palce się spotkały.

Skóra paliła od środka. Przyjemnie i boleśnie jednocześnie.

– Dziękuję. – W głosie dziewczyny pojawił się syreni zaśpiew.

Uśmiechnął się, a oczy znowu zaskrzyły śniegiem. Try westchnęła. Nie powinna. Naprawdę nie powinna.

– Dobra, już mnie, lekko zemdliło od tych waszych słodkości. Nic, ino jakbym pół cycka w gębę naraz wepchnąć zdołał, żadnej w tym przyjemności ani dla mnie, ani dla owego cycka właścicielki – wymruczał głośno krasnolud. – Przed nami jakaś karczma, trza by się nazrec, wychędożyć jakąś pannę, no i wyspać, nie?

Kiedy młodzi nie zwrócili na niego uwagi, spojrzął na Yorhów. Ci też zignorowali zaczepkę.

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – Wy to raczej nie będziecie chędożenia skutecznie, tacyście akuratni. Tylko ja... no i może... – zawiesił głos, ale i tak nikt go nie słuchał. Zezłoszczony spał konia, na co Doru parsknął głośno i uderzył kopytami w zamarznięty śnieg.

– A już, do ciężkiego licha, nie bądź taki delikatny! – warknął wściekle Yudherthardere, ściągając wodze zwierzęciu. Następnie trzepnął go po zadzie i ruszyli galopem w kierunku oświetlonej gospody. Za nim, zdecydowanie wolniej, pojechali pozostali.

Pośród drzew, tuż przy królewskim trakcie, którym jechali, przycupnęła gospoda. Oparty na kamiennych fundamentach potężny drewniany jednokondygnacyjny budynek zdawał się tulić do ziemi, szczególnie teraz, zimą, gdy wysokie śniegi sięgały okiennic, a rozłożysty słomiany dach ugiął się pod jego ciężarem. W oknach karczmy zapraszająco płonęły kaganki. Przed dużym wejściem uwijała się służba, ze stajni dobiegało parskanie koni. Wszędzie słyhać było pokrzykiwanie ludzi, tak przyjezdnych, jak i miejscowych. Gospodarz nie mógł chyba narzekać na brak gości.

Krasnolud zsunął się z siodła i rzucił lejce stajennemu.

– Zajmij się nim dobrze, to przy wyjeździe dostaniesz drugi – obiecał chłopcu, wciskając mu w dłoń srebrnego talara.

– Się wie, szlachetny panie. – Dzieciak ukłonił się nisko, a chudą buzię rozjaśnił szeroki szczerbaty uśmiech, kiedy srebrny pieniążek zniknął za pazuchą podartej kurty.

Karczma pełna była gości. Siedzieli przy szerokich stołach zastawionych glinianymi misami, kielichami i czarami pełnymi gęstych miodów. Wina w tych okolicach serwowano tylko w domach możnych, a piwo uważano za napój niewolników. Yudherthardere parsknął niechętnie. Och, napiłby się grzanego piwa. Szkoda, naprawdę szkoda.

Goście nie zwrócili uwagi na wchodzącego, za to właściciel gospody, zobaczywszy drogą kurtę krasnoluda, misternie ułożoną brodę i wplecione w nią kryształ, podbiegł do niego cały w ukłonach z wielkim bezzębnym uśmiechem.

– Pan, wielki szlachetny pan – wyseplecił wysokim głosem, dziwnie niepasującym do pękatej sylwetki i tłustych policzków – pan zechce spocąć. Pan potsebnny pokój? Komnaty u nas zasobne, jedzenie snakomite.

– Rzeczywiście, potrzebujemy noclegu – odezwała się za plecami krasnoluda Try. Sodi skrzywił się, ostentacyjnie uniósł oczy ku niebu, ale lekko ustąpił miejsca dziewczynie, żeby ta mogła porozmawiać z gospodarzem. Tym samym dał grubasowi wyraźny znak, kto w zespole jest ważniejszy. Ubranie Gaalki najwyraźniej zrobiło na karczmarzu równie wielkie wrażenie jak jej uroda, bo i przed nią zgiał się w ukłonach. Bardzo głębokich ukłonach.

– Pani, wielka pani. Mnóstwo mamy pokoje. Całe mnóstwo. Najlepsze dla wielkich panów.

– To dobrze. Jesteśmy bardzo strudzeni. Przygotujcie nam też kąpiel w komnacie.

– Będzie i kąpiel, pani, wielka pani. Gorąca i pachnąca. Mydła u nas psednie.

– Dobrze. A potem postarajcie się o wolny stół i najlepsze dania z waszej kuchni dla całej naszej drużyny.

– Jak zycycie, wielka pani. Moja Anu gotuje najlepiej w całej okolicy.

Gaalka uśmiechnęła się i lekko skinęła głową.

– Myślę, że trzy komnaty wystarczą. – Odwróciła się, wskazując wchodzących mężczyzn.

Na widok Grema karczmarz przestał się uśmiechać.

– Nie, nie, nie! – wykrzyczał jeszcze wyższym głosem. – Lodowce nie śpią w pozondnej gospodzie. Nie, nie, nie!

Try również przestała się uśmiechać.

– Ten Lodowiec jest moim gościem – powiedziała łagodnie.

– Śpi więc w stajniach. Tam ciepłe konie. Niezimno.

– Ten Lodowiec jest moim gościem – powtórzyła cicho – a ja jestem Trydnette Oreel hoe de Goddry.

– Lodowiec... – Tłusciuch przebierał nogami w miejscu. – To niewolnik. Nie puszczamy niewolników w dom.

– Nie jest niewolnikiem. Jest moim gościem.

Karczmarz zagryzał nerwowo wargi. Odwrócił się, szukając pomocy wśród gości, ale nikt nie interesował się przybyłymi. Spojrzał więc na krasnoluda, ten jednak tylko wzruszył ramionami.

– Pani, z wielkiegoście lodu, ale Lodowce psynosą niescescia.

Dziewczyna ponownie się uśmiechnęła. Zimno i z wyższością.

– Jestem Trydnette Oreel hoe de Goddry – powtórzyła, ledwie szepcząc – narzeczona Króla Królów, pana Krainy. Jesteście pewni, że chcecie, by mój gość, gość narzeczonej waszego władcy, spał w stajni?

Zszokowany grubas cofnął się o krok.

– Nazecona? – Spojrzał na krasnoluda. Ten uśmiechnął się krzywo i wzruszywszy ramionami, rzucił:

– Ano, dobry człeku, spotkał cię wielki zaszczyt gościć narzeczoną Króla Królów i jej świętę. Słuchaj pani, a zostaniesz sownie nagrodzony.

– Nazecona? – powtórzył ogłupiały karczmarz.

– Głuchyś czy jak? Przecie rzekłem, że to twoja przyszła królowa. Kłaniaj się ładnie i spełniaj polecenia, a może miłościwy nasz pan nie każe cię ciągać końmi, a domu

twego nie zrówna z ziemią. A i gębę przy tym zamknij, coby się inni nie zwiedzieli, kogo gościsz, a lepszych mecyj pannie nie przygotowali.

Tłuscioch pobladł gwałtownie. Cofnął się i runął na kolana.

– Darujcie, pani! Darujcie! Litości, pani!

– Wstawaj, człowieku. – Poirytowana Try złapała go za ramiona, próbując poderwać z podłogi, ale ciężar mężczyzny uniemożliwił jej to. – Wstawaj, jesteśmy tu w tajemnicy. Nikt nie może wiedzieć.

– Tak jest, pani. – Gramolił się z trudem, unikając wzroku Gaalki, jakby samo tylko jej spojrzenie mogło zrobić mu krzywdę.

– Czy moja drużyna dostanie komnaty, jak sobie życzyłam? – zapytała cicho.

– Najlepiej, najlepsze, jakie mam.

– Cała moja drużyna? – dodała z naciskiem.

Nie podnosząc oczu, w milczeniu pokiwał głową. Potem zawołał służkę, by wskazała pokoje gościom. Sam zaś bardzo szybko, jak na swoją tuszę, pobiegł na zaplecze.

Trydnette uśmiechnęła się do Grema.

– Poparliście mnie – szepnęła do krasnoluda, nie odrywając oczu od chłopaka. – Dziękuję.

Wzruszył ramionami.

– No, tkliwość mnie ogarnęła na tę waszą gadkę. A i głupota wasza, żeście dla byle niewolnika gębą kłapali, że pewnie zara się za nami jakie insze stwory zleczą... Taa, to też mnie roztkliwiło. To teraz poszukam jakiej chętnej panny, bo na was to chyba nie mam co liczyć, co nie?

I nie czekając na odpowiedź, ruszył szukać.

\*

Złociste włosy unosiły się na wodzie niczym płynne złoto. Falowały miękko, przeczesywane długimi, szczupłymi palcami, wilgotne i miękkie jak jedwab. Try oparła głowę na brzegu bali. Poruszyła dłońmi, wypuszczając złociste kosmyki. Pieszczotliwie przesunęła palcami po skórze. Była ciepła. Gorąca.

Szmaragdowe oczy wpatrywały się w małego pajęczka spacerującego po ścianie. Nieobecne, mgliste spojrzenie. Szczupłe palce wolno sunęły wzdłuż ramienia. Pełne wargi rozchyliły się lekko. Oczy zmrużyły. Dłoń łagodnie otarła się o pierś. Zimna woda zaczynała parzyć. Skóra płonęła. Tylko lód mógł ją ochłodzić.

\*

Sodi nie znalazł chętnej panny. Nie żeby takiej nie było. I nie żeby odstraszyły go wątpliwa higiena czy brzydota karczmarek. Brał już gorsze. Kiedy trzeba, to trzeba.

Nie znalazł chętnej panny, bo nie szukał.

Obiecał Zakonnej pilnować Gaalki, a wolał nie sprawdzać, jak to jest zawieść Kobiętę Tradycji. Ona i bazyliszek po równo studziły jego chuć. I tak całkiem szczerze, nie był pewien co bardziej.

Usiadł na schodach prowadzących na poddasze karczmy, gdzie właściciel wskazał im pokoje, i przyglądał się gościom. Teraz, po tym jak głupia dziewczucha przedstawiła się karczmarzowi, w dwójnasób trza było jej pilnować. Oparł więc głowę o ścianę i zamknął oczy. Obserwatorowi zdawać by się mogło, że śpi. Nie spał. Wypuścił zmysły Tropicielea i pozwolił im działać. Widzialne tylko dla jego oczu wstęgi tańczyły pomiędzy siedzącymi. Tęczowe pasy sunęły miękko, szukając magii. Muskały ciała, przemykały przez umysły. Sprawdzały myśli i zamiary. Łagodnie, spokojnie, bez pośpiechu. Dokładnie. Aż przeszły przez ostatniego gościa. Yudherthardere uniósł powieki i uśmiechnął się złośliwie. Nie było czarnej magii w karczmie. Nic złego nie groziło pannie, przynajmniej nic, co by miało magiczne pochodzenie, chociaż jak się tak zastanowić... Zjadliwy uśmieszek Sodiego się pogłębił.

Nie odwrócił głowy, gdy poczuł obecność Gaalki. Nie słyszał jej kroków, dopiero gdy lekko dotknęła jego czupryny, zorientował się, że stoi tuż obok. Powoli uniósł wzrok.

Dałby głowę, że lekki powiew zaigrał we włosach dziewczyny i długie złote loki zdrzały, jakby pieszczone oddechem bogów. Szmaragdowe tęczówki połyskiwały niczym szlachetne kamienie, których barwę nosiły, a skóra, jak włosy, opalizowała złocistym blaskiem. Smukłe ciało okrywała zwiewna biała suknia, lekka jak przejrzysty obłok.

– O kurwa – jęknął żałośnie krasnolud, a uśmieszek spełzył z mięsistych warg.

– Gotowy na wieczerzę? – Syreni zaśpiew pieścił uszy.

– Nooo...

– A reszta?

Trochę minęło, nim zrozumiał pytanie, tak intensywnie wpatrywał się w ciemne cienie sutków Gaalki przebijające przez cienką tkaninę.

– Kudłacze już zasiedli, a Lodowiec koni poszedł doglądać – odpowiedział wreszcie schrypniętym głosem.

Try zmrużyła oczy. Przez chwilę zastanawiała się.

– Pójdę po niego – zdecydowała wreszcie.

Sodi milczał. Cóż miał powiedzieć, gdy nie potrafił oderwać spojrzenia od łagodnie poruszających się pośladków, ledwie skrytych pod mgiełką materiału.

– O kurwa – westchnął ponownie, gdy dziewczyna wreszcie znikła za drzwiami i uwolnił się od magii jej ciała. – Niech ja więcej do Zamtuza pod Ochoczą Gąską nie

zawędruję. Nic, ino idzie ta panna do łba jak ledwie rozlany młody miodzik. To i jak mnie myśleć rozsądnie, ha?

\*

Na dworze padał śnieg, przez co drobniutkie płatki osiadały na rzęsach i włosach biegnącej dziewczyny. Wychodząc, nie pomyślała, żeby zarzucić na cienką suknię nakrycie, i teraz mróz wcisnął się przez skórę niemal do kości. Na szczęście do stajni było blisko. Wpadła doń, rozcierając ramiona. Chłód otrzeźwił ją, wyrwijąc umysł z dziwnego otępienia, które kazało szukać Lodowca. Potrząsnęła głową, żeby zrzucić śnieg, rozejrzała się i zamarła.

– Patrzcie no, ale nam się nagroda trafiła... – wysapał potężny mężczyzna. Jeden z pięciu stojących przy ścianie stajni. W świetle kaganków dostrzegła ich podarte, niechlujne odzienie, splątane brudne włosy i zarośnięte, nalane twarze. Cała piątka odwróciła się ku niej i dziewczyna zobaczyła, że czterech z nich przytrzymuje Grema, wciskając go w ścianę.

Rozluźniła mięśnie i zaraz je napięła.

– Taka ładniutka panna. – Olbrzym oblizwał się i postąpił o krok. – Poczekaj, malutka, skończymy z tym ścierwem i zajmujemy się tobą.

Dziewczyna nawet nie drgnęła. Spokojnie spojrzała w błękitne tęczęwki trzymanego chłopaka.

– Uciekaj, pani! – krzyknął Grem, szarpiąc się.

Olbrzym jakby od niechcienia uderzył Lodowca pięścią w brzuch.

– Zamknij jadaczkę, gówniarzu. – Nie podniósł głosu, najwyraźniej bawiła go ta sytuacja. – Panna przyszła dać dupy, to da. Dowie się przynajmniej, jak to jest z prawdziwym mężczyzną.

– Widzę tu tylko jednego prawdziwego mężczyznę – powiedziała chłodno Try. Wyciszyła emocje, jak przez lata uczono ją w Klasztorze. Przygotowała się. – I nie was mam na myśli.

– Oż ty... – Wściekle ruszył w jej kierunku.

Długie łapska już jej dosięgały... Czekwała na to. Błyskawicznie uskoczyła. Rzuciła się na kolana i podcięła nogi atakującego, a gdy padał, wyrwała zza jego paska krótki sztylet i jednym szybkim cięciem rozplatała mu gardło. Nim pierwsza kropla gorącej krwi padła na klepisko, Gaalka znowu stała.

W ciszy słychać było parskanie koni i rżenie konającego. Na chwilę czas jakby się zatrzymał. Czterej pozostali napastnicy w szoku wpatrywali się w ciało leżące w coraz większej szkarłatnej kałuży.

Pierwszy oprzytomniał Grem. Szarpnął się, tym razem skutecznie. Odskoczył i nim któryś z mężczyzn zdołał zareagować, złapał stojące przy ścianie widły.

Mężczyźni wrzasnęli i ruszyli do ataku. Dwóch skoczyło ku Lodowcowi. Pierwszy, jakby nie widział narzędzia w dłoniach chłopca, nabił się prosto na nie. Wysoki, przeraźliwy wrzask zmienił się w błagalny jęk. W tym samym momencie drugi dosięgnął młodzieńca...

Try czekała.

Dwaj pozostali napastnicy wyszarpnęli zza pasków sztylety. Rzucili się ku dziewczynie. Ta odbiła się, złapała wystającej belki i przeleciała ponad ich głowami. W locie ponownie cięła. Głęboka rana rozdzieliła twarz mężczyzny na pół.

Gaalka nie spojrzała za siebie. Opadła na podłogę. Zobaczyła, że potężne łapy zacisnęły się na karku Grema. Podrzuciła broń. Chwyliła za ostrze. Zamachnęła się błyskawicznie. Sztylet wykonał obrót i z przerażającą siłą trafił między łopatki napastnika.

W tej samej chwili nóż ostatniego oprycha rozciął suknię Try. Trzask rwącego się materiału wyrwał z gardła mężczyzny okrzyk triumfu. Dziewczyna cofnęła nogę, nim ostrze sięgnęło jej ciała. Podbiła dłoń atakującego. Przeniosła ciężar na jedną nogę i kopnęła. Uderzenie odepchnęło napastnika. Zamachał rękami, próbując złapać równowagę. Gaalka kopnęła raz jeszcze. Olbrzym poleciał do tyłu i nabił się wprost na długie ostrze kosy. Mężczyzna szarpnął się raz i drugi, nim zwiśł bezwładnie, a Try przyskoczyła do niego, wyrwała z zaciśniętych palców ostrze i jednym cięciem poderżnęła umierającemu gardło.

Spojrzenia Try i Grema spotkały się. Dziewczyna rozchyliła usta, a młodzieniec ruszył ku niej. Wolno przekroczył ciało nabite na kosę. Potem pochylił się i wyszarpnął sztylet z pleców drugiego trupa. Mijając wciąż pojękującego draba, któremu Try rozcięła twarz, pochylił się, by skrócić jego cierpienie. Nastąpiła cisza. Młodzieniec zrobił jeszcze krok i stanął przed Gaalką. Dziewczyna zawahała się. Tętno, wyciszone przed walką, gwałtownie przyspieszyło. Oddech się spłycił, a myśli odpłynęły. Skóra znów zapłonęła. Od wewnątrz.

Try łagodnie dotknęła policzka Grema, jakby sprawdzając. Niepewność w szmaragdowych oczach zgasła. Dziewczyna uniosła się lekko na palcach i wolno, bardzo wolno pocałowała chłopaka. Posypały się tęczowe skry. Grem błyskawicznie przyciągnął Try. Zatopił się w jej ustach. Palce niecierpliwie błędziły po płonącej skórze. Tańczyły niespokojnie, aż dotarły do piersi. Zamknęły się na nich delikatnie z niekończącą się pieśczętą. Dziewczyna jęknęła cicho. Jednym ruchem rozerwała koszulę kochanka. Jej dłonie również rozpoczęły motyli taniec, dotykając, głaszcząc, drapiąc, najpierw pierś, potem brzuch mężczyzny. Supły mięśni twardniały pod jej

dotykem, a za każdym napięciem szło westchnienie. Pieszczotom nieustająco towarzyszyły pocałunki. Już nie delikatne, pełne czułości, ale gwałtowne, namiętne, szalone.

Ręka Grema zaplątała się w rozdarcie sukni i spoczęła na udzie dziewczyny. Zamarli na moment. Nieprzytomne spojrzenia spotkały się. Mężczyzna delikatnie, ale stanowczo popchnął kochankę na ścianę. Szorstka dłoń sunęła wolno, wrywając z ust Try głośny jęk rozkoszy. Gaalka nie pozostała dłużna. Rozsupłała wiązanie spodni kochanka. Zamknęła na nim palce. I powoli przesunęła rękę.

Grem westchnął przeciągle. Błyskawicznie uniósł suknię dziewczyny, a potem, stanawszy między jej udami, delikatnie podniósł ją i wolno opuścił na siebie. Zamknęła go w objęciach ramion i nóg. I poruszyła się. Najpierw wolno. Potem szybciej. Gwałtowniej. Szaleńczo. Rozpaczliwie. Krzyczała. On krzyczał. Rozkosz wypalała płonący szlak na rozgrzanej skórze. Paznokcie rozdzierały ciało. Oddech palił. Aż nadeszło spełnienie. Jak śmierć i narodziny.

Oddychali ciężko, wciąż połączeni. Tęczowe skry nadal unosiły się wokoło, teraz już widoczne nawet dla ich oczu.

– Try? – zapytał chłopak łamiącym się głosem, spoglądając w szmaragdowe oczy.

– Jeszcze – wyszeptała mu do ucha.

Skinął głową. Nie wypuszczając dziewczyny z ramion, wyswobodził się ze spodni i zaniósł Try do ostatniego, pustego boksu w stajni, na górę słomy. Tam złożył ją delikatnie, jak cenny skarb. I wolno osunął się w jej objęcia.



# RoydyiaŁXII

## P tania i odpowiedzi

Woda odbijała się od strzelistych ścian, tańczyła między kamieniami i z hukiem spadała do jeziora. Ten hałas układał magiczną melodię, której trudno było się oprzeć. Potężne uderzenie mas wody o pociemniałą gładź przynosiło rytm i śpiew piękniejszy, bardziej ujmujący niż w ledwie słyszalnych ptasich trelach.

Kobieta leżąca pośród miękkich traw wpatrywała się w zamyśleniu w powierzchnię jeziora. W odbarwionych tęczęwkach pojawiło się zaniepokojenie i dziewczyna podniosła się na łokciach. Doskonałe nagie ciało napięło się, by się rozluźnić, gdy dojrzała to, na co czekała.

Agrah Err wynurzył się z wody daleko od brzegu. Podpłynął bliżej i wstał, uśmiechając się do kochanki. Nie czytał w jej myślach, nie odważyłby się, ale mimo to zauważył niepokój. Pozostawał pod powierzchnią bardzo długo, dłużej niż jakikolwiek człowiek czy elf mógłby wytrzymać. Dla niego jednak nie było to wyzwaniem. Zapomniał, że Rosa nie wie o niektórych jego umiejętnościach. Bynajmniej nie chciał jej wystraszyć.

Woda spływała z długich czarnych włosów cienkimi strumyczkami pieścącymi mięśnie. Zamierzał ją zetrzeć, ale uchwycił pełen zachwytu wzrok dziewczyny podążający za kroplami i pozwolił sobie na odrobinę pustego samozadowolenia. Wolno podszedł do Rosy i położył się obok niej.

– Patrz tak na mnie, a zostaniemy tu na zawsze – wymruczał miękko, całując zagięcie jej szyi.

Roześmiała się cicho. Delikatnie odsunęła mokre włosy z policzka kochanka, a potem ssała ślad wody.

– Rosa – wyszeptał. Przyciągnął ją, mocno zamknął w ramionach, rozpoczynając szalony taniec miłości i pożądania.

Kiedy odgłosy namiętności ucichły i tętno przyspieszone gwałtownym spełnieniem zwolniło, dziewczyna wtuliła się w Agrah Erra. W milczeniu leżeli skóra przy skórze, spleceni tworząc jedno.

– Niepokoi cię coś – nie zapytał, lecz stwierdził.

– Czytasz mnie?

Podniosła głowę, by spojrzeć w szmaragdowe oczy. Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie bez twojej zgody.

Skinęła głową.

– Nie mam przed tobą tajemnic, Err.

Otoczył ją mocniej ramionami, a potem gładko wsunął się w umysł. Opowiadała obrazami, a elf czytał. Obraz po obrazie, myśl po myśli, słowo po słowie. Niczego nie opuścił. O niczym nie zapomniał. Nie miała przed nim tajemnic. Pozwoliła mu spojrzeć w przeszłość, pozwoliła zobaczyć teraźniejszość. Radości i smutki. Niepokoje i pewność. Niczego nie ukryła. Niczego nie zostawiła dla siebie.

Cofnął się łagodnie. Z czułością pocałował wilgotne czoło.

– Nie chcesz mnie przy sobie. – Westchnął. Rozumiał ją, a mimo to gdzieś w głębi duszy było mu przykro.

– Nie teraz. Musisz zaopiekować się Try. Ślubowałeś. A ja muszę się zająć tym, kto jej zagraża.

– Isiną.

– Isiną. Nie chcę, żebyś się wtrącał w ożywienie Pierwotnej Czarownicy. To balansowanie na granicy natury. Bogom może się nie spodobać.

– Martwisz się o mnie?

– Przecież wiesz – zachnęła się.

– Może i ty nie powinnaś brać w tym udziału?

– Nie mam wyjścia. Isina zagnieździła część siebie w Reingharcie. Jest zagrożeniem dla Krainy, a Zakon musi chronić Krainę.

– Nie jesteś Zakonem.

– Jestem. Poniekąd. – Skrzywiła się lekko. Delikatnie odsunęła czarne włosy elfa opadające mu na policzki. Kciukami pieszcząc łuki brwiowe, zatrzymała się na dłużej na czarnej plamce na skroni, znamieniu Czarnych Elfów. Rysy Agrah Erra złagodniały pod dotykiem Rosy. Zajrzał w przejrzyste tęczęwki, głęboko, z namysłem.

– Tak. Jesteś – przyznał wreszcie. – Ty jedna jesteś Zakonem.

Uśmiechnęli się jednocześnie, z taką samą głębią uczucia. Przez chwilę trwali w milczeniu, zamknięci w objęciach. Elf przymknął powieki, próbując pod nimi dojrzeć przyszłość, ale wizje przychodziły, kiedy chciały. Rzadko, gdy prosił czy żądał. Nie władał czasem, to czas władał nim. Tak więc i tym razem, mimo że prosił bogów o odpowiedź na niezadane pytania, przyszłość się nie objawiła, a mrok pod zamkniętymi powiekami pozostał niezmienny.

– Nie martw się. – Rosa nie potrafiła go czytać, ale czuła napięcie, które towarzyszyło kochankowi. Skinął głową bez słowa, więc dodała: – Wiem, że będziesz przy mnie. Kiedy będę potrzebowała, wezwę cię.

Uśmiechnął się smutno.

– Ty nigdy nikogo nie potrzebujesz, Kobieto Tradycji.

I jakby się bał, że dziewczyna przytaknie, zamknął jej usta pocałunkiem.

\*

Na zewnątrz szalała burza śnieżna. Wiatr szarpał drzwiami stajni, wdzierając się chłodem do środka przez szerokie na grubość palca szpary. Maleńki lufcik zasypała gruba warstwa białego puchu, nie pozwalając dojrzeć zewnętrznego świata. Jednak przez dziury w drewnianych ścianach do pogrążonego w ciemności wnętrza wciąż nie wciskały się promyki słońca. Noc nadal panowała nad światem. Lampy przygasty, ledwie się tłąc, a konie posnęły.

Try otworzyła oczy. Z trudem odsunęła przygniatające ją ramię i powoli usiadła. Wzrok bardzo szybko przyzwyczał się do półmroku. Ciemne, niewielkie pomieszczenie odgródzone od kolejnych, w których musiały stać konie, bo słyszała ich ciche parskania, zdało się jej naraz przytłaczająco ciasne. Nagi piękny młodzieniec spał obok, a szerokie, idealnie umięśnione plecy unosił regularny oddech.

Żółć podeszła do gardła, wnętrzości nagle się skręciły. Nie będzie wymiotować. Co to to nie. Przełknęła z trudem i głęboko zaciągnęła się powietrzem pachnącym słomą, końmi, miłością, ale i lekkim odorem śmierci. Zły pomysł. Bardzo zły. Ledwie zdążyła się pochylić. Gwałtowne torsje wyszarpały zawartość żołądka, wyciskając łzy z oczu.

Przetarła je i ponownie usiadła, ale łzy nie przestawały ciec. Spływały wąskimi strumykami, niechciane, a nie do powstrzymania. Nie, nie płakała. Co to to nie.

Wstała z trudem. Nogi ledwie ją utrzymały, zmęczone godzinami fizycznej miłości. Wyprostowała się siłą woli, krzywiąc z bólu. Nie tylko nogi były obolałe. Również całe ciało krzyczało o odpoczynek. Chłód stajni dreszczem przepłynął przez umęczone mięśnie. Powoli sięgnęła po suknię, ale ta, podarta nie tylko na udzie, ale i na piersiach, nie nadawała się już do założenia. Dziewczyna zacisnęła zęby i rozejrzała się wokoło. Na gwoździu wisiały końskie derki. Okryła się jedną z nich i ponownie ciężko usiadła na słomie, tym razem jednak uważnie pilnując, by nie dotknąć śpiącego.

Musiała się zastanowić. Koc był gruby i szorstki. Drapał delikatną skórę, drażnił i ranił. Roztarła pod nim zmarznięte ramiona, pochyliła głowę i oparła ją na podciągniętych kolanach. Zawahała się, czy okryć śpiącego, ale cofnęła rękę, przerażona, że może go obudzić. Nie chciała tego. Nie mogła. Bała się, że jeśli zobaczy znów błękitne tęczęwki, czar, który władał nią i zdawał się teraz uspiońy, odżyje. Bo przecież to nie mogło być nic innego. To musiał być czar. Magia. Jakiś złośliwy zły duch robiący z nimi to wszystko... wciąż od nowa, przez wiele godzin. Odetchnęła ciężko, bo mdłości znów podeszły do gardła.

Grem poruszył się niespokojnie. Zapewne było mu zimno, bo zwinął się w kłębek, obejmując ramionami przez sen. Dziewczyna poczuła wyrzuty sumienia i choć niechętnie, wstała po drugą derkę. Przykryła nią śpiącego najdelikatniej jak się dało, byleby tylko nie przerwać drzemki młodzieńca. Potem znów usiadła obok niego i ponownie się zamyśliła. Przynajmniej próbowała myśleć, ale cichy oddech mężczyzny wytrącał ją z równowagi. Wreszcie wstała i zaczęła nerwowo chodzić.

Magia. Tak, to musiała być magia. Tylko dlaczego krasnolud jej nie ostrzegł?

Robiła trzy kroki, zawracała, znowu trzy kroki i zawracała, i od nowa...

Dlaczego? Pewnie dobrze się bawił, złośliwy kurdupel.

– Weźcie się, panna, zatrzymajcie. W głowie mi się już kręci od tego waszego biegania – odezwał się ukryty w kącie złośliwy kurdupel.

Stała jak wryta, zbyt zaskoczona, żeby od razu zareagować.

– No, teraz dużo lepiej – sapnął Sodi i wolno wyszedł z mroku. Dogorywająca lampa oświetliła pełne zadowolenia złośliwe małe oczka i takiż sam uśmiezek. – Niech no ja więcej nie zaznam słodkich paluszków Bezzębnej Jurty, a i inszych jej cacuszek... dobrzem pamiętałem. Macie ciało jak ta bogini, co królewiczów porywała, żeby się z nimi chędożyć. Jak jej tam było? – Podrapał się po kudłatej czuprynie.

– Meanno – odpowiedziała Try. Wciąż nie ruszyła się z miejsca, jedynie, czując wzrok krasnoluda, szczelniej zawięła się w koc.

– No dyc, ona. Takie same cacuszka. Aż szkoda, że przylaź, kiedyście już prawie kończyli. Takeście zajęci byli, że w ogóle mnieście nie dojrzeli. No, za to ja się napatrzyłem. Kurwa, się napatrzyłem. Niektórych pozycji to nie wiedziałem, że się w ogóle da.

– Skończ! – warknęła cicho, postępując o krok.

– Bo co? Zarzniecie mnie, jak tamtych nieboraków, coście ich przy wejściu zostawili? – zapytał cicho Yudherthardere i chociaż w oczach pojawił się cień strachu, nie cofnął się. – A potem znowu wychędożycie gówniarza? Trochę się miarkujcie, bo smark nie zdzierzy takiego tempa. Wzięlibyście się za jakiego mężczyznę, a nie ciągle z gołowąsami...

Błyskawicznie zrobiła dwa kroki i trzasnęła go w twarz. Derka zsunęła się, opadając na klepisko, ale Try była zbyt wściekła, żeby zareagować.

Krasnolud złapał się za policzek. Spod krzaczastych brwi gniewnie błysnęły czarne małe oczy, a potężna dłoń powędrowała do toporka zatkniętego za pas. Cofnął się o krok. Głodnym spojrzeniem przesunął po sylwetce dziewczyny. Naraz cała złość jakby z niego wyparowała i zostało tylko nagie pożądanie. Oblizał grube wargi, a Gaalka poczuła, że cała złość ponownie wraca jej do gardła. Sięgnęła po koc i szybko się nim okryła.

Sodi westchnął ostentacyjnie. Nadal pocierał policzek, ale grube usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Nie ma co chować, jużem widział. No i chętnie jeszcze popatrzę – oświadczył nieco zbyt ostentacyjnie.

– Idź sobie. – Dziewczyna odwróciła się zrezygnowana i usiadłszy w kącie, podciągnęła kolana pod brodę. Oparła na nich głowę, a potem przymknęła oczy.

Krasnolud mlasnął głośno i wolno opadł na klepisko.

– Nie – rzekł. – Już dzisiaj i tak nie zasnę, mogę równie dobrze posiedzieć przy was.

– Teraz? – syknęła gniewnie, podnosząc wzrok na brodacza. – A nie mogliście posiedzieć, kiedy tu szłam?

– Nie, wtedy nie. Nie zwykłem się wtrącać między miód a zakąskę... Jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

– Wiedzieliście? – Chociaż się starała, nie zdołała ukryć rozgoryczenia w głosie. – Tak myślałam. Zdaje się, że mieliście mnie chronić przed magią.

– Miałem. Ci tam nie byli zaczarowani. Chłopy się chciały Lodowcem zająć. Tacy jak on nie są w okolicy zbyt lubiani. Szczególnie przez wioskowych mężczyzn. Nie jestem elfim królem, nie widzę przyszłości. Skąd mogłem wiedzieć, że zechcą i wami się zabawić. – Uśmiechnął się krzywo.

– Ja nie o tym... Dobrze wiecie, że nie o tym.

– Nie? – zapytał ironicznie. – To o czym?

Pochyliła głowę w milczeniu. Przez jakiś czas w stajni słychać było tylko oddechy i szelest dłoni Gaalki pocierających zmarznięte ramiona.

– Wiedzieliście, ale nic nie zrobiliście – stwierdziła wreszcie cicho.

Wzruszył ramionami.

– A co miałem robić? Siłą was nie brał. Wyglądaliście na zadowoloną, na... a wilki w lesie świadkiem mnie będą, bo się aż od tego waszego pojękiwania do chędożenia zabrały... na przeszczęśliwą. Dwie wioski dalej słychać było, jak szczęśliwą.

Spojrzała na niego, a jej oczy pełne były takiego smutku, że zrobiło mu się nieswojo. Wbrew sobie, wbrew wrodzonemu cynizmowi poczuł, jak szmaragd tęczówek budzi w nim uśpione sumienie... Zezłoszczony strzepnął z kolan niewidoczny pyłek.

– Co tak te patrzydła wytrzeszczacie? Nie było tak? Darliście się na całe gardło z tego szczęścia. Dziw, że się wszyscy z karczmy nie zlecieli.

Nie odpowiedziała. W milczeniu opuściła głowę.

– Cholera z tymi babami. Dopiero co samo się napraszało o chędożenie, a teraz ryczeć będzie – mamrotał zły Yudherthardere, bo sumienie drapało coraz mocniej. Wstał i podszedł do dziewczyny. Zza pazuchy wyszarpał białą haftowaną chustę

i podał Try. Przyjęła ją, nie patrząc na krasnoluda, i wytarła napływające do oczu łzy. – I czego beczyście? – zapytał poirytowany Sodi. – Co się stało, się nie odstanie.

– Ja go nawet nie znam – wyszeptwała. – Nie pamiętam imienia. Nie rozumiem dlaczego...? To magia była? – Z nadzieją podniosła zapłakaną twarz. – Magia?

– No. – Skinął głową. – Ale nie taka, o jakiej myślicie.

– Nie rozumiem.

– Dyc' wiem, że mądrością nie grzeszycie. – Znów wzruszył ramionami. – Bogowie dali wam takie ciało, że grzech się o rozum napraszać, nie? – Bezskutecznie starał się ją rozdrażnić, bo bezbrzeżny żal dziewczyny zaczynał mu sprawiać fizyczny ból. Try patrzyła smutno i apatycznie. – To starożytna moc. Jak się Lodowiec spotka z syreną, to muszą się chędożyć. Muszą. Nikt nie stanie na przeszkodzie. Taka natura. Nie ma się więc co rozwodzić, boście wyjścia nie mieli. Ani wy, ani ten tu. – Wskazał śpiącego chłopca.

Zamrugwała szybko.

– Syreną? Przecież...

– Tego was też nie uczą? W sumie dziwne nie jest, Gaalowie raczej pokrewieństwa z Wodnymi Siostrami nie rozgłaszają. Płynie w was syrenia krew. I to ona zawrzała do Lodowego Bękarta. Nie trza nad tym rozpaczać. Dowieziemy was na Czarną Górę. Tam na was ten drugi gołowus czeka. Nikt się nie dowie, a Lodowiec ze mną wróci. Tylko ryczeć już przestańcie.

Na wspomnienie Roniego nowe łzy napłynęły do oczu dziewczyny.

– Nie mogę... Roni... Nie mogę – wyszeptwała łamiącym się głosem.

– Uspokójcie się, cholera! Poradziła sobie z czterema roślami chłopami, a maże się jak pięcioletni szkrab. Weź się w garść, panna. Po południu będziem już na Czarnej Górze. Za tydzień, góra dwa, nie pomnicie już gówniarza... no, może ze dwa, jak se wspomnę... bo i nie ma o czym pamiętać. Z magią wieków się nie wygra.

Powoli podniosła oczy i przyjrzała się krasnoludowi.

– Dlaczego? – zapytała szeptem.

Wzruszył ramionami.

– A po co się chędożą wszystkie stworzenia? Żeby się mnożyć.

– Ale...

– No tak, toto ponoć wyczyścili, więc dzieciaka dać wam nie może. – Przerwał jej, marszcząc brwi w zastanowieniu. – Dziwne trochę, żeście się tak do siebie palili, że aż skry Droma się sypały... Widać natura też się czasami myli.

– Droma?

– Tak nazywają to u nas. Takie fikuśne kolorowe światełka. Widać je, jak młodzi zmierzają... no wiecie gdzie... znaczy nie zawsze... Nie umiem wam tego

wytłumaczyć.

– Kolorowe... Widziałam je.

Zmarszczył brwi jeszcze mocniej. Tak, że stały się jedną grubą krechą ponad głęboko osadzonymi oczami.

– Niemożliwe. Tylko Tropiciel... Chyba że... Ale to przecież... – mrucał pod nosem.

– Mamroczenie.

Spojrzał na nią. Długą, długą chwilę, w milczeniu i z namysłem.

– Naprawdę widzieliście skry Droma? – zapytał wreszcie.

Skinęła głową.

– A to, niech no całą Radę wrzody obsypią, a i już tam na wiadomo czym wyrosną, aż niespodzianka. Cóż, mogli mnie królowce nie oddawać – wycedził cicho. – A tak wiąże mnie Porozumienie. Niech ich cholera. Nic nie mogę...

– Mówicie bez sensu.

Wzruszył ramionami.

– Nieważne. Trza się z gospodarzem dogadać, żeby trupy pochował, nim kto się zainteresuje... Idziecie ze mną do karczmy czy budzicie szczyla i robicie powtórkę?

Suche już szmaragdowe oczy błysnęły gniewnie. Dziewczyna podniosła się. Stojąc naprzeciw krasnoluda, przewyższała go o ponad dwie głowy.

– Znaczy idziecie. – Pokiwał ze złośliwym uśmiechem. W głębi duszy odczuł jednak ulgę, że panna wróciła do siebie i nie rozpacza, więc złośliwość uśmieszku złagodziło spojrzenie. – To dobrze. Pewnie i tak będziecie mieli problem z siodłem. Dupa to strasznie boleć musi, nie?

– Yudherthardere...

Rozciągnął mięsiste wargi w bardzo szerokim, brzydkim uśmiechu.

– Taaa?

Patrzyła na niego w milczeniu. Wyczuł chwilę, gdy wsunęła się w jego umysł. Spodziewał się tego. Wyjeżdżając z Syrelle, narzucił blokadę, więc Gaalka odbiła się od niej. Nie skomentowała tego. Uśmiechnęła się chłodno.

– Chustka, Yudherthardere? Jedwabna, biała i haftowana? – Syreni zaśpiew ociekał ironią.

Wzruszył ramionami.

– Wychowali mnie na szlachcica, to i pewne przyzwyczajenia zostały. Jak mnie wielmoża na ucztę prosi, zupy nie wysiorbię, jeno łyżką w misie pogmeram, co nie? Z większą też chęcią dogodzę jakiej dobrze urodzonej pannie niżli podkuchennej. A matula mnie uczyli, coby za pazuchę ino haftowaną chustę wciskać. Ot tak, na wypadek zasmarkanej panny.

Odwrócił się i wyszedł w śnieżyce.

\*

Purpurowy ciężki atlas spływający z baldachimu na cztery marmurowe kolumny łoża zafalował poruszony stopą Yasy. Mężczyzna nie spojrział w kierunku materiału, zafascynowany wpatrując się w śpiącą kochankę, ale cofnął nogę. Powolnym ruchem nawijał na palce kosmyk długich czarnych włosów, rozsypanych na poduszce. Były miękkie i jedwabiste. Takie je pamiętał. Delikatne jak najprzedniejszy zaorański jedwab. Wciąż takie były. Tak jak jej skóra. Ciepła, mięciutka, kremowa. Nieskończenie gładka. Latami śnił o jej dotyku. Marzył, żeby znów się w niej zanurzyć, by pozostała niezmieniona. I taka właśnie była. Każdy rys jej twarzy. Każdy mięsień, każdy włos. Nic się nie zmieniło. Nic zewnętrznego. Wnętrze pozostawało tajemnicą. Nadal nie potrafił wejść w jej umysł. Nie mógł jej przeczytać. Kiedyś była otwartą księgą. Tak, to banalne stwierdzenie, ale tak właśnie było. Mógł w niej czytać jak w każdej z tysięcy książek z biblioteki we własnym pałacu. Żadna myśl mu nie umknęła. A teraz do żadnej nie miał dostępu.

Dziewczyna spała. Piersi unosił regularny oddech.

Wypuścił z palców kosmyk, by objąć śpiącą, wtulić się w jej miękkie krągłości i złożyć ciemnowłosą głowę na swojej piersi. Ciało maga napięło się po zetknięciu ze skórą kochanki. Zignorował te potrzeby. Zamknął oczy i wyszeptał zaklęcie.

Umysł Arthe był mroczny. Ciemny i ponury jak dżdżysta jesienna noc. I jak ona zimny. Yasa roztarł zmarznięte naraz ramiona. Zmrużył oczy, by dostrzec cokolwiek pośród ciemności. Nie pomogło.

– Rozbłyśnij – wyszeptał, składając palce w Znak Światła. W podświadomości jego moc słabła. Nie wystarczyło, żeby pomyślał zaklęcie. Musiał używać znaków i słów, a i wówczas efekt mógł być daleki od tego, czego oczekiwał. Tak jak teraz. Zaklęcie miało przynieść jasność, a pojawił się ledwie półmrok. Słabe, drżące płomyki odrobinę tylko złamały ciemność. Ta wciąż panowała niepodzielnie, broniąc dostępu do tajemnic właścicielki mrocznego umysłu.

– No, Arthe, otwórz się dla mnie – szeptał namiętnie, tym samym tonem, którym przemawiał jeszcze chwilę temu w łożu. Tym razem jednak nie podziałało. Płomyki wolno gasły, jeden po drugim. Wróciła ciemność.

Yasa ponownie skrzyżował palce i wyrecytował głośno:

*Niechaj rozjaśnią ciemności mroku*

*Ognie czterech ziejących smoków.*

No i do czego to doszło? Rymowane zaklęcia. Jak adept pierwszego kręgu!



Fajerwerki ognia wystrzeliły z czterech stron i skrzyżowały się pośrodku. Na jedną długą chwilę oświetliły umysł Arthe, usuwając mrok. Yasa cofnął się gwałtownie. Był w klatce. Wysokie ściany, jednolicie czarne, łączyły się z takim samym sufitem i podłogą. Żadnego wyjścia, żadnego okna, żadnego miejsca, by przejść dalej, by zobaczyć... czytać... słyszeć. Tylko ściany i pustka.

Światło zgasło. Yasa wyszedł. Usiadł na łóżku i zapatrzył się na śpiącą kochankę. Wyglądała pięknie i niewinnie. Doskonale. Taką ją pamiętał. Taką ją kochał, przed wiekami. Miała chłonny i piękny umysł, czyste, choć nieco naiwne serce. Kiedyś, dawno temu, była słodką istotą. Czując i dobrą. Jej podświadomość zaś błyszczała prawdziwym światłem. Czy to ogień ją wypalił? Czy to wina Yasy?

Długie rzęsy Arthe zadrżały i uniosły się wolno.

– Nie śpisz? – zapytała chrapliwym, zmęczonym głosem.

– Nie. Arthe...?

– Tak?

Zajrzał w głąb czarnych oczu i dojrzał tę samą pustkę. Ten sam mrok.

– Nie, już nic. Śpij.

Skinęła i posłusznie zamknęła oczy. Ułożył się obok i zamknął dziewczynę w objęciach. Łagodnie ucałował jej czoło. Jeśli to jego wina... Tak, to pewnie jest jego wina, więc wypełni pustkę, rozświetli mroki podświadomości i przywróci Arthe. Odzyska ją.

# RoydyałXIII

## Gherdeire

*Mrok się zmieniał. Falował jak żywa istota, dysząca po szybkim biegu. Unosił się i opadał. I dziwnie przytłaczał. Kładł się na piersiach kamieniem, tamując oddech, przyspieszając tętno, unosząc włoski na karku. Tak, zmieniał się w strach.*

*Pamiętał go, chociaż nie myślał o nim od lat. Ciężkie, śmierdzące krzepnącą krwią przerażenie. Tężało w żyłach, jakby przepuścić przez nie płynny ołów. Gorący i lodowaty jednocześnie. Zdaowało mu się, że nie zdoła złapać rwącego się oddechu. Tętno oszalało, a on spadał. Spadał, wrzeszcząc. Głośniej i głośniej, i głośniej.*

– Gherdeire!!!

Krzyk go obudził. Usiadł, gwałtownie łapiąc powietrze. Oszalałe tętno nie chciało się uspokoić. Serce wyrywało się z piersi, palce zacisnęły na prześcieradle. Pot grubymi kroplami spływał po plecach.

Wróciły. Wspomnienia, których nie chciał pamiętać. Wróciły. Pięciu najlepszych magów Krainy wyganiało je z jego umysłu, a każdy zapewnił, że bezpowrotnie. Albo kłamali, albo się mylili, bo znów je widział, znów czuł.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Trzeba będzie poszukać nowych magów i poddać się nowym czarom. Tętno wróciło do normalnego tempa, oddech się uspokoił, palce wypuściły prześcieradło. Król Królów odetchnął ponownie i wolno wsparł się na poduszkach.

Przez witraże w oknach wpadało poranne słońce i tańczyło dziesiątkami barw na złocistych tapetach. Przyglądał się temu bezmyślnie nieprzytomnym, przekrwionym wzrokiem człowieka, który spał o wiele godzin za długo.

Spał? Zamrugął zdziwiony. Nie pamiętał, by się kładł... Nie pamiętał, a przecież leży we własnej pościeli, we własnej komnacie. Czyżby pamięć zaczęła mu szwankować? A może po prostu oszalał? Na myśl o szaleństwie wspomnienia błyskawicznie wróciły.

Niemożność sięgnięcia po alkohol. Spotkanie z narzeczoną. A potem już nic. Czarna dziura. Zadrzał. Miewał już takie zaniki. Zawsze myślał, że to krasnoludzki miód przynosi niepamięć. Teraz wiedział, że to nie jego sprawa, bo nie mógł pić. Coś, ktoś skutecznie go powstrzymywał. Mimo tego nie pamiętał jednak, jak się znalazł

w łożu... Rozejrzał się szybko. Był sam. Zatem albo nie uwiódł dziewczyny, albo ta już wstała.

Uwiódł ją? Była piękna. Piękna i taka podobna do Alesandry... Na wspomnienie kuzynki włoski ponownie uniosły mu się na karku. Gdyby wiedziała... Gdyby wiedziała, nigdy nie darowałaby mu tamtego. Było jego tajemnicą. Jego, kilku magów i matki. Magowie bali się bardziej jego niż kogokolwiek innego, a matka... Uśmiechnął się ponuro. Matka raczej nie mogła donieść o tym grzechu. I to nie tylko dlatego, że nie cierpiała Alesandry. Ktoś inny zadbał o to, żeby milczała. Ktoś inny, dawno temu. Kiedyś czuł gniew, ale ten minął. Dla niego też tak było lepiej. Przestał ją już nawet odwiedzać. Widok starej księżnej przywoływał niesłuszne wyrzuty sumienia, a tych i tak miał w nadmiarze. No i nie zasłużyła na współczucie. Całym swoim życiem ciężko pracowała na karę, która ją spotkała.

Potrząsnął głową zezłoszczony. I po co mu to? Po co wspominać matkę? Po co wspominać... tamto? Nie wymienił tej nazwy od lat i nie zamierzał.

– Gherdeire – usłyszał szept w głębi umysłu.

Cofnął się gwałtownie i uderzył głową w wezgłowie łoża.

– Kto?! – krzyknął, rozglądając się niepewnie.

Komnata była pusta. Za oknami śpiewał samotny zimowy ptak, słońce rozświetlało witraże.

– Gherdeire – ponowił szept. – Gherdeire, Gherdeire. Powiedz to, powiedz...

– Kto tu jest?!

Zerwał się. Nogi zaplątały się w jedwabne prześcieradła i zamiast zeskokczyć z łoża, ciężko runął na marmurową posadzkę.

– Powiedz, powiedz, powiedz – szeptał głos. – Gherdeire.

– Milcz!

– Gherdeire.

Rozglądał się przerażony, ale wciąż był sam, a głos wwiercał się w jego myśli. Mężczyzna rzucił się ku ławie i złapał potężny miecz. Zakręcił nim szybko i ciął. Jakby gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że uda mu się pokonać niewidzialnego wroga albo przynajmniej zmaterializować go. Nic się jednak nie zmieniło. Wciąż był sam.

– Wyjdź! Nie chowaj się! – krzyknął. – Walcz otwarcie!

– Ty nie walczyłeś – szeptał łagodny głos. – Wyrzynałeś. Gherdeire płacze o sprawiedliwość. Nie pozwoli ci zapomnieć.

– Zamknij się!

– Mów!

– Gherdeire! – wykrzyczał Reinghart. Odrzucił miecz. Padł na kolana i powtórzył cicho: – Gherdeire.

A potem ukrył twarz w dłoniach.

\*

Mag opierał się o ścianę, bynajmniej nie czując satysfakcji. Westchnął ciężko, a kiedy się odwrócił, prawie wpadł na Zakonną. Nie usłyszał jej wcześniej ani nie poczuł. Nie wiedział, kiedy stanęła za jego plecami ani ile zdołała wyczuć.

– Roso...

Uśmiechnęła się, lecz uśmiech nie objął oczu; te pozostały zimne. Podeszła jeszcze bliżej, tak blisko, że zapach jej skóry podrażnił zmysły mężczyzny. Bardzo przyjemnie podrażnił.

– Grzebiesz w umyśle mojego władcy, Yaso? – zapytała aksamitnym tonem.

A więc całkiem sporo wyczuła.

– Obrażasz mnie, Kobieto Tradycji. – Uśmiechnął się równie chłodno jak ona. – Ja nigdy nie grzebię w ludzkich umysłach.

Uniosła brew w milczeniu.

– Czasami tylko pomagam otworzyć to, co zamknięte – dodał obojętnie.

Skinęła głową.

– I?

– Co i?

– Poczujesz się lepiej, kiedy... pomogłeś otworzyć umysł Królowi Królów?

Wzruszył ramionami.

– Niespecjalnie.

Znowu uniosła brew bez słowa.

– Nie zrobiłem tego, żeby poczuć się lepiej.

Pokiwała głową z ironicznym błyskiem w mlecznobiałych tęczęwkach.

– A po cóż to zrobiłeś? – prawie szeptała. – Po co obudziłeś wspomnienia Reingharta właśnie teraz, gdy jest niestabilny, gdy w każdej chwili może oddać się Bestii?

Mag nie cofnął się. Spojrzał za to twardo wprost w zimne oczy Rosy.

– Nie powinienś móc zapomnieć – mówił równie cicho. – To niesprawiedliwe.

– Yaso, mój drogi, tobie chyba nie muszę tłumaczyć, że życie często bywa niesprawiedliwe.

– Dlaczego go bronisz? Mówiłaś, że wiesz o Gherdeire.

– Nie bronię go. To po prostu niewłaściwy moment, żeby przywracać pamięć na wpół szalonemu Królowi Królów.

– A kiedy będzie ten właściwy? Kiedy Gherdeire może o sobie przypomnieć? Kiedy, Roso? Wiesz? Wiesz, że z całej wioski przeżyła dwójka dzieci? Tylko dwoje dzieci,

Roso. A on kazał sobie usunąć wspomnienia. Ot tak. – Strzelił palcami – Jak myślisz, Roso, czy tym dzieciom też pięciu najlepszych magów usunęło wspomnienia?

Nie odpowiedziała. Tylko patrzyła, a lód w odbarwionych tęczęwkach z wolna topniał, by wreszcie zniknąć. Zakonna uśmiechnęła się łagodnie, delikatnie. Niewielu ludzi widziało taki uśmiech na obojętnym obliczu wojowniczkki. Tym zaś, którzy widzieli, zwykle brakowało tchu. Yasa nie był wyjątkiem.

– Roso? – zapytał zaskoczony.

– Myślałam, że wiesz. – Wciąż się uśmiechała. – Nie potrzebowaliśmy magów. Byliśmy za mali, by pamiętać.

– Byliście?

– Byliśmy. Jestem dzieckiem z Gherdeire, Yaso.

\*

Drzewa coraz gęściej zarastały ścieżkę, a niskie gałęzie krzyżowały się, spletały niczym namiętni kochankowie, tworząc nad idącymi czarno-biały, śnieżny baldachim. Od dłuższego już czasu jeźdźcy zmuszeni byli iść, prowadząc konie, właśnie z powodu gałęzi, połączonych gęsto i zawieszonych tuż nad krzakami. Tak nisko, że chwilami olbrzymi Yorhowie musieli pochylać głowy i ściągać ku ziemi łby wierzchowców. Droga zwężyła się, przez co szli jedno za drugim, ciągnąc za sobą prychające, wystraszone zwierzęta. Drzewa w tym miejscu rosły tak gęsto, że przez stykające się konary i splecione korony nie dostrzegali już ni nieba, ni światła.

Sodi nie pytał, czy nie pomylili drogi. Jeszcze przed chwilą miał taki zamiar, lecz teraz już nie musiał. Moc płonęła. Potężna, starożytna moc Czarnych Elfów. Starsza niż Kraina, starsza niż ludzkość, niż Gaalowie, starsza nawet niż syreny. Wciskała się porami skóry, wdzierała słodkawym aromatem mchu i płonących liści wraz z każdym oddechem. Przymykał oczy, bo czarnoelfia magia je wysuszała, i szedł przed siebie na oślepię, wiedziony nie tyle przez Yorha czy Gaalkę stąpających uważnie tuż przed nim, ile przez wskazującą mu drogę potęgę. Szedł jak dziecko na spotkanie tajemnicy: z odrobiną niepewności, strachu, ale i podekscytowania.

Czarna Góra, najbardziej magiczne miejsce na świecie, dokąd zapraszani byli nieliczni, gdzie nigdy nie powstała noga żadnego Tropicielea.

Mówiono mu, że wyostrzone zmysły mogą nie zdzierżyć takiego naporu bodźców, więc część po prostu wyłączył. Części nie zdołał, bo już nimi nie władał. Wzięła je w posiadanie czarnoelfia magia i dręczyła... dręczyła i uwodziła... Przyjemność i oczekiwanie na granicy bólu szarpały zmysłami Tropicielea. Jak w owej słodkiej chwili, gdy ciało już wie, że nadejdzie spełnienie, ale... ale jeszcze się waha, jeszcze czeka. Oddychał płytko, jakby wyczekiwane spełnienie mogło się cofnąć, mogło nie nadejść.

Oczy paliły, skóra płonęła, oddech się rwał, a język wydawał się puchnąć. Zmysły, jeden po drugim, odmawiały posłuszeństwa. Miejsce spełnienia zastąpił ból, coraz potężniejszy, trudniejszy do zniesienia. Krasnolud padł na kolana, krztusząc się gwałtownie. Próbował krzyknąć, ale spomiędzy spalonych warg wydobył się jedynie charkot.

– Yudherthardere? – Try podbiegła do klęczącego. – Co się dzieje?

Uniósł powieki. Dziewczyna krzyknęła. Białka zniknęły pod czerwoną warstwą spękanych żyłek. Krew wraz z łzami płynęła po pobladłych policzkach. Złapał Gaalkę za rękę i mocno zacisnął na niej palce.

– Sodi?

Powieki ponownie opadły, mały lord puścił dziewczynę i zwinął się w kłębek. Rozwarte usta bezskutecznie próbowały złapać oddech i wreszcie się poddały.

W tej samej chwili gałęzie rozsunały się, a spomiędzy nich wyszedł król Czarnych Elfów. Uklęknął szybko przy leżącym i położywszy dłoń na mokrym czole, zmrużył oczy.

– Trzeba było wyłączyć zmysły – stwierdził cicho po jakimś czasie, cofając rękę.

Powieki krasnoluda uniosły się wolno.

– Jakbym nie próbował – wycharczał Sodi, gramoląc się z ziemi. Zachwiał się, ale dzielnie ustał na słabych nogach. – To kurestwo prawie mnie zabiło.

Agrah Err uśmiechnął się łagodnie.

– Nie prawie, drogi Yudherthardere. Nie prawie.

– Chcecie powiedzieć...

– Przyszedłbym chwilę później i trzeba by było wysłać Krasnoludzkiej Radzie wasze krwawiące truchło. To właśnie chcę powiedzieć. Witajcie na Czarnej Górze.

Nagle splątane dotąd drzewa, rosnące jedno przy drugim, rozstały się jak żywe istoty. I jak one cofały się, pozostawiając las daleko za przybyłymi.

Stali na rozświetlonej promieniami słonecznymi zaśnieżonej polanie. Tuż obok młodzi wojownicy, niektórzy ledwie kilkuletni, ćwiczyli w całkowitej ciszy. Jedynymi dźwiękami były uderzenia drewnianych mieczy. Szybkie, precyzyjne natarcia i uniki. Zapewne mogłyby być śmiertelne, gdyby nie rodzaj oręża. Chłopcy i dziewczęta o elfich rysach twarzy oraz szczupłych i drobnych ciałach walczyli w skupieniu, poruszając się z gracją tancerzy. Miętko, bezgłośnie, prawie unosząc się nad białym dywanem śniegu, stąpali to szybko, to wolno, w zależności od tego, czego wymagał przeciwnik i w jaki sposób najlepiej mogli się obronić lub zaatakować.

Trydnette przyglądała się im z nabożnym zachwytem. W gaalskim klasztorze, w którym ją i Roniego uczono sztuki walki, widziała każdego dnia ćwiczenia, jednak to... Ta cisza, skupienie, wdzięk, demoniczny, śmiertelny taniec ze śmiercią,

absolutnie doskonały. Żadnego zbędnego gestu czy ruchu, żadnego słowa. Jakby każde z nich potrafiło przewidzieć ruch przeciwnika...

– Bo potrafią – powiedział cicho Agrah Err, stając obok dziewczyny. – Czytają w myślach jak ty, ale używają tej wiedzy w jednym celu: pokonania przeciwnika.

– Zabicia?

– Nie. Już nie. Od lat, od czasów, gdy mój ojciec był władcą elfów, nie uczymy przede wszystkim zabijać. Czarny Elf musi pokonać przeciwnika. Jeśli jest taka potrzeba, pozbawi go życia bez zawahania, ale tylko wtedy, gdy jest to niezbędne.

– To dzieci.

– Niektórzy. Większość jest niewiele młodsza od ciebie. Przybyli tu w różnym wieku. Niektórych, jak w dawnych czasach, rodzice oddali już w piątym roku życia, innych później. Są też i tacy, którzy przybyli sami, już jako dorośli.

– Wszyscy mają znamię? – Nie odrywała oczu od walczących.

Król uśmiechnął się lekko.

– Odrobiłaś lekcję. Tak, wszyscy mają znamię. W tej małej plamce na skroni Czarny Elf ma moc daną przez bogów. Zobaczysz w wiosce elfy bez znamienia, ale nie ćwiczymy ich na Polu Zmagani. Nie mają tej iskry, która pozwala – wskazał dłonią ćwiczących – na to.

– Usuwacie im wspomnienia i uczucia?

– Nie. Już nie.

– Też od czasów twojego ojca?

Uśmiechnął się ponownie.

– Od czasów mojej siostry. Zniosła Nakaz Magicznego Zapomnienia.

Na wspomnienie Arsii Try oderwała wreszcie wzrok od walczących.

– Kiedy poznam królową?

– Nie wiem. Wczoraj opuściła Czarną Górę.

Dziewczyna pobladła gwałtownie.

– Czy to znaczy... Czy Roni...?

Elf nadal się uśmiechał.

– Odwróć się, Try – rozkazał, a Gaalka wykonała polecenie.

Wymizerowany Roni stał tuż za nią. Cofnęła się. W jednym ulotnym momencie masa emocji przemknęła po ślicznym obliczu panny. Niepewność, zaskoczenie, radość, szczęście, zachwyt, niepokój, strach i wreszcie głębokie poczucie winy. Wyciągnięte już do uścisku ramiona nagle opadły. Try opuściła głowę.

– Witaj, Roni – wyszeptwała.

Zdezorientowany chłopak wpatrywał się w czubek jasnowłosej głowy. Szmaragdowe oczy wciąż błyszczały szczęściem, ale powoli pojawiał się w nich smutek.

Agrah Err zmarszczył brwi. Bez pytania wsunął się w umysł dziewczyny, a ta nie zdołała niczego ukryć przed królem elfów. Nawet nie próbowała. Przeczytał więc błyskawicznie powód rozpaczy i wyrzutów sumienia. Westchnął ciężko. Spojrzał na Roniego. Długo walczyli o jego życie. On i Arsii. Były chwile, kiedy myśleli, że chłopak odejdzie. Nie chciał żyć. Nie chciał do chwili, gdy Nurt Myśli przyniósł jego ukochaną. Potem i on zaczął walczyć. Razem pokonali śmierć. Dla niej. A ona go zdradziła.

– Odprowadź gości do wyznaczonych kwater, chłopcze – polecił cicho Err.

– Ale...

– Idź. – W cichym, ale nieznoszącym sprzeciwu głosie zabrzmiała magia. – Wkrótce do was dołączymy.

Młodzieniec zmarszczył brwi, ale posłusznie wykonał polecenie. Kiedy się odwracał, Try poderwała wzrok. Jak wygłodzone stworzenie wpatrywała się w szerokie barki Gaala, ale nie zatrzymała go. Gdy zaś odszedł, ponownie opuściła głowę.

– Spójrz na mnie, Try.

Nie posłuchała. Niechciane łzy paliły pod powiekami, skupiła się więc na nich, by nie popłynęły.

– Try... – Głos elfa płynął łagodnie. – Każdy czasami robi coś, czego się wstydzi, czego żałuje, na co jednak nie miał wpływu. Spójrz na mnie.

Podniosła wzrok. Niepowstrzymane krople popłynęły po policzkach.

– Nie miałaś wpływu na to, co się stało. To była magia przeznaczenia. Pech. Rozumiesz?

Powoli skinęła głową.

– Tak. – Uśmiechnął się smutno. – Rozumiesz. Nie potrafisz sobie jednak wybaczyć, prawda?

– Jak? Jak mam z nim być? – wyszeptwała. – Jak mam pozwolić mu się dotykać, kiedy... On zasługuje na kogoś lepszego. Kogoś, kto nie będzie... nie zrobi... Nie mogę z nim być. Nie mogę...

Elf łagodnie pogłaskał ją po włosach. Czule przesunął palcem po policzku, ścierając niepowstrzymaną łzę. Wciąż się uśmiechał, nadal w ten sam sposób.

– On żyje dzięki tobie. Wiesz o tym? – zapytał cicho. – Wiesz, że nie potrafiliśmy go zatrzymać? Nie ma potężniejszej mocy w Krainie niż Moc Błogosławionego Rodzeństwa, a nie umieliśmy przywrócić mu życia. Ty potrafiłaś. Dałaś mu siłę, by walczył. Nie ma nikogo, kto bardziej by na niego zasługiwał.

– Znajdzie się. Na pewno.

– Try...



– On zapomni o mnie – szeptała zapalczywie, marszcząc przy tym brwi. – Pozna kogoś i zapomni. Nie mogłabym...

Westchnął ciężko. Położył obie ręce na ramionach dziewczyny i zajął głęboko w jej oczy.

– Nie lubię tego robić. Naprawdę nie lubię. Ale teraz nie mam wyjścia. – Westchnął ponownie, po czym zmrużył oczy i wyszeptał: – Bogowie dali nam wolną wolę, dali nam umiejętność uczenia się na własnych błędach, dali nam pamięć. Mnie zaś dali moc jej zacierania. Trydnette Oreel hoe de Goddry, usuwam z twojej pamięci Lodowego Chłopaka. Usuwam wspomnienie każdej spędzonej z nim chwili. Nigdy się nie zdarzyły. Nigdy ich nie było. – Przesunął dłonie, dotknął skroni dziewczyny i patrzył, jak szmaragdowe wstęgi wspomnień przepływają z nich wprost w jego mocne, długie palce. Potem pocałował zmarszczone czoło Gaalki i lekko się cofnął.

Gdy tylko przestał dotykać dziewczyny, gdy zerwał się fizyczny kontakt między nimi, Trydnette zamrugła i nieco zdezorientowana uśmiechnęła się.

– Przepraszam, królu, chyba się zamyśliłam.

– Chyba tak, moja droga.

– Gdzie wszyscy?

– Roni ich odprowadził.

– Ach...

– Pokaże im kwatery, w których odpoczną przed jutrzejszym powrotem. Spokojnie, Try, jeszcze zdążycie się sobą nacieszyć.

Opuściła wzrok speszona. Agrah Err łagodnie poklepał ją po ramieniu, a potem gestem wskazał drogę. Patrzył za odchodzącą dziewczyną, a jej żal płonął mu w duszy. Kolejny płomyk przejęty z tysiącami innych, które odbierał zrozpaczonym, a przed nim jego ojciec i jego przodkowie na elfim tronie. Każde odebrane wspomnienie, każda rozpacz, każdy ból, trawiły duszę Agrah Erra.

Nie, naprawdę, nie lubił tego robić. Tym bardziej że teraz musiał powtórzyć ten zabieg z młodym Lodowcem.

\*

*Zapadał zmrok, kiedy dotarł na miejsce, jednak ciemność mu nie groziła. Płomienie unosiły się ku niebu, wyższe niż okoliczne drzewa, rozświetlając okolice blaskiem pożogi. Zatrzymał gwałtownie wierzchowca, przeraźliwie bojąc się tego, co i tak musiał zobaczyć.*

*Języki ognia błyskawicznie pochłaniały domostwa. Skry sypały się z drewnianych ścian. Zapach płonących słomianych dachów drażnił węch, tak jak i dym oczy. Trzaskanie drewna było jedynym dźwiękiem, poza nim panowała kompletna cisza. Nikt już nie krzyczał, nikt nie płakał.*

Zwłoki mieszkańców leżały wszędzie. Odarte z odzienia kobiety z rozwartymi przerażeniem oczyma i ustami krzyczącymi niemym błaganiem. Mężczyźni zatrzymani, gdy biegli im na pomoc. Zaszlachtowani niczym zwierzęta. Ich krew wsiąkała w ziemię, tę samą, w którą w ostatnim odruchu wbijały się palce.

Patrzył przerażony, nie mogąc przestać. Zsiadł z konia i szedł w kierunku leżących. Ktoś ze straży krzyknął, bezskutecznie próbując go zatrzymać. Nie słuchał. Nie mógł. Słyszał tylko ciszę i krzyki martwych.

Dzieci. Kiedy zobaczył pierwsze małe ciałko, padł na kolana. Maleńkie rączki wciąż ścisnęły drewnianą zabawkę. Luna oświetliła szkarłatne duże plamy na małym koniku. Tyle krwi. Skąd tyle krwi w tak małym chłopczyku? Skąd? Wyciągnął rękę, ale nie znalazł na tyle siły, by dotknąć dziecka. Ani tego, ani pozostałych. Było ich wiele. Wiele małych martwych ciał. Krzyczały niemo wprost w uszy Króla Królów. Słyszał ich płacz, ostatnie nawoływanie matki, krzyk konającego niemowlęcia. Słyszał mimo śmiertelnej ciszy. Nie zatkał uszu, nie śmiał. Ktoś musiał ich słuchać. On musiał.

Wciąż klęczał w tym samym miejscu, gdy ją zobaczył. Maleńka dziewczynka kuciała za ciałem mężczyzny. Ogień za jej plecami ukrywał dziecięcą twarz w cieniu, ale był pewien, że na niego patrzy. Przez moment, długi jak wieczność, ich spojrzenia się krzyżowały. Reinghart wstał...

W tym samym momencie dziecko dojrzał też jeden z żołnierzy i z wyciągniętym mieczem ruszył w jego kierunku.

– Nie!!! – Król błyskawicznie poderwał się z kolan. – Zostaw!

Stanął pomiędzy mężczyzną a dziewczynką. Wściekle spojrzał na podwładnego.

– Zostaw – powtórzył gwałtownie. Żołnierz cofnął się wystraszony.

Król Królów kucnął. Dziecko wciąż mu się przyglądało. W dużych czarnych oczach elfki odbijały się płomienie, ale nie było w nich śladu strachu. Przekrzywiła głowę i patrzyła na klęczącego młodego władcę. Jedna z małych piąsteczek ginęła w drobnych ustach, a druga, umazana krwią, zaciskała się na koszuli trupa. Reinghart zagryzł wargi, powoli wyciągnął rękę i czekał.

Po nieskończonej długiej chwili małe rączki wyciągnęły się ku młodzieńcowi, a potem zacisnęły na jego szyi. Zamknął ją w objęciach, czując jednocześnie straszliwy ból w sercu. Wyrzuty sumienia ciążyły rozpaczliwie.

– Jesteś bezpieczna, maleńka, bezpieczna – wyszeptał, głaszcząc długie czarne włosy dziewczynki. – Nikt cię już nie skrzywdzi.

Reinghart wpatrywał się w ogień płonący w kominku. Był inny niż ten, który wspominał. Ten był okiełznany, podporządkowany, pozornie spokojny. Nie płonął, żeby ukryć grzech, by znikły dowody zbrodni. Ogrzewał, nie straszył, nie przerażał. Nie będzie się śnił po nocach. Ten nie.

Tamten się śnił. Każdej nocy, przez wiele lat. Nawet gdy już nie pamiętał dlaczego, wciąż śnił wysokie, strzeliste płomienie trawiące drewniane ściany domów Gherdeire. Nie śniły mu się ciała ani dziewczynka, którą całą noc wioził przed sobą w siodle niczym bezcenny skarb, ani ranny chłopiec, którego strażnicy znaleźli na obrzeżach wioski. O tę błogosławioną niepamięć zadbali magowie. Żaru ognia nie potrafili jednak usunąć ze wspomnień. To on trawił pokryte bliznami wspomnienia i pewnie on wreszcie je przywrócił...

Król podszedł bliżej paleniska. Pochylił się i wyciągnął ręce. Przyjemne ciepło dziwnie nie pasowało do szarpiącej rany w duszy. Pochylił się jeszcze bardziej. Ciepło szybko zmieniło się w żar, ale Reinghart się nie zatrzymał. Płomień dosięgnął skóry. Fizyczny ból na moment usunął cierpienie z myśli. Król uśmiechnął się krzywo i wsunął dłonie głębiej.

Naraz czyjeś ręce szarpnęły go mocno, wyrywając z mocy ognia. Ktoś odepchnął go od kominka i rzuciwszy na marmurową podłogę, nakrył kocem, gasząc tłącą się koszulę.

- Wezwij medyków. – Rosa odwróciła się do poblądłej służki stojącej u drzwi.
- Nie – zatrzymał dziewczynę król. – Nic mi nie jest.
- Spaliliście ręce – spokojnie zauważyła wojowniczką.
- Tylko poparzyłem. Minie. – Usiadł na podłodze. Chciał wstać, ale nie był pewien, czy osłabłe nogi utrzymają jego ciężar.
- Skoro tak twierdzicie. – Zakonna wzruszyła ramionami. Nie spuszczać wzroku z władcy, przeszła przez komnatę i usiadła na ławie. Oparła się o ścianę, a potem wyprostowała długie nogi. Wydawała się rozluźniona i spokojna, tylko mlecznobiałe tęczęwki, skupione na obliczu Reingharta, przeczyły temu. – Chcieliście pokonać płomień czy skrócić nędzny żywot?
- Na za dużo sobie pozwalacie, Kobieto Tradycji! – warknął. Efekt wyniosłego tonu psuło jednak to, że wciąż siedział na podłodze. Wstał więc. – Zważcie, gdzie wasze miejsce!
- Wiem, gdzie moje miejsce. – Nie drgnęła, gdy szedł ku niej. Wciąż wydawała się odprężona, nawet oczy straciły wyraz czujności, gdy tylko usłyszała gniew w głosie władcy. – Nie jestem jednak pewna, czy wy wiecie.
- Nie waszą jest rzeczą mnie pouczać! – Stanął nad Zakonną, zwalisty, wysoki, potężny mężczyzna, wciąż umięśniony i niebezpieczny mimo trawiących go demonów i więcej niż średniego wieku. Tysiące ludzi drżało na jego widok. Ona nie. Widział to w tych dziwnych oczach. W spojrzeniu, które nieustannie wydawało mu się znajome. Jakby gdzieś, na samym dnie duszy, miał jego obraz od zawsze.

Przez jakiś czas Rosa patrzyła obojętnie, zadzierając głowę. Wreszcie bardzo powoli podniosła się.

– Jest moją rzeczą – powiedziała cicho – dopóki żyjecie. Jestem Zakonną, obrońcą Krainy. Waszym obrońcą, czy tego chce, czy nie.

– A nie chcecie – stwierdził zimno.

Nie skomentowała. Wbiła wzrok w przekrwione oczy króla. Nie wchodziła w jego myśli, żeby nie drażnić Bestii. Mimo to dojrzała ostatnie wspomnienie. Obraz elfiej dziewczynki płonął na granicy jaźni władcy, czytelny i wyraźny dla zmysłów Przemienionej. Cofnęła się lekko. Zmrużyła oczy, a zimny uśmiech zniknął z jej ust.

– Nic nie powiecie? – zapytał zaczepnym tonem Reinghart.

– A co chcesz usłyszeć? – Yasa stanął w drzwiach, z ironicznym uśmiechem obserwując poruszenie Króla Królów. – Że niczego innego nie pragnie, niż chronić na wpół szalonego, starzejącego się pijaka?

Reinghart cofnął się gwałtownie. Na pobladłej naraz twarzy pojawiły się krople potu.

*Przyjdzie taki dzień, że wszyscy się dowiedzą. Sprawię, że będziesz cierpieł. Nikt i nic cię nie uchroni. Zdechniesz w strachu.*

– Widzę, że przypomniałeś sobie moją obietnicę. – Pierwotny mag uśmiechnął się szeroko.

– Co ty tu robisz?!

– Przyjechałem na wesele. Czyżbyś nie zamierzał mnie zaprosić?

– Dobrze wiesz, że nie. Wynoś się.

– Niestety, ale... – szeroki uśmiech przeczył słowom – ...nie mogę.

– Każę...

– Co każesz? Wyrzucić mnie? A może chciałbyś rozwiązanie ostateczne? Chciałbyś...? – Niski głos Yasy przeszedł naraz w wysoki dziecięcy. Ascetyczne rysy zmieniły się błyskawicznie. I oto przed Królem Królów stał zakrwawiony chłopczyk dzierżący drewnianego konika. Z szerokiej rany na piersiach wyzierały wnętrzności, a spływająca krew znaczyła marmurowe płyty pałacowej posadzki. Dziecko przekrzywiło główkę i patrzyło na króla pełnymi bólu, martwymi oczyma. – Zabijesz mnie, panie? Zabijesz? Boję się, panie, boję się...

Reinghart cofał się, zasłaniając uszy.

– Ty nie istniejesz – wyszeptał.

– Zabijesz mnie?

– Przestań, Yaso! – Rosa wyszarpnęła czarnoelfi miecz Agrah Erra i przyskoczyła ku zakrwawionemu dziecku. – Już!

Chłopczyk odwrócił głowę. Popatrzył na Zakonną nieszczęśliwie.

– Natychmiast, Yaso!

Mag, już we własnym ciele, zmarszczył brwi.

– Użyłabyś tego przeciw mnie? – Wskazał broń.

Wzruszyła ramionami bez słowa. Wolno wsunęła ostrze w pochwę na plecach.

– Nie sprawdzaj, to się nie dowiesz.

– Po tym wszystkim... Ty jedna...

Minęła go i podeszła do Króla Królów. Władca wciąż zaciskał powieki, a poparzone dłonie przyciskał do uszu. Kiwał się przy tym w przód i w tył, zamknięty w dziwnym, katatonicznym stanie.

– Teraz, mój drogi – odwróciła się i zimno uśmiechnęła do Yasy – ponownie pogrzebiesz w jego umyśle i opuścisz zasłonę, którą uniosłeś.

– Na pewno! – Mag parsknął oburzony.

Nadał się uśmiechając, uniosła brwi. Pokręciła głową i zmusiła Pierwotnego Maga, by zajrzał na granicę jej wspomnień. Tuż, tuż, tyle, by zobaczył to, co i ona widziała przed chwilą.

Mała przerażona elfia dziewczynka zacisnęła chude ramionka na szyi maga. Drżące ciało przyłgnęło doń jak druga skóra. Ciężki zapach skrzepłej krwi, mdły płonących ciał, podrażnił zmysły mężczyzny.

– Pozwól mu zapomnieć, Yaso – wyszeptał do ucha Pierwotnego cichy dziecięcy głosik.

Cofnął się wstrząśnięty. Iluzja znikła. Rosa uśmiechała się miękko. I ten uśmiech obejmował jej oczy, nadając im łagodny wyraz. Milczała, patrząc wymownie. Mag również milczał, próbując sobie poukładać to, czego dotąd był pewny, i to, co właśnie zobaczył.

– To jedno dziecko... jedno z całej wioski – wyszeptał. – Jakie ten gest ma znaczenie?

– Dla mnie – podkreśliła – dla mnie ma, Yaso. Wszystko zmienia. Każdy ma swoje Gherdeire, mój drogi. Coś strasznego, co uczynił, czego się wstydzi, czego nie może cofnąć. Nie mów, że ty nie masz. On ocalił mnie. Ocalił Orena. Przez niego jestem tym, kim jestem. Może to dobrze, może źle, ale jego Gherdeire stworzyło Zakonną po Przemianach.

– Jak możesz mu tak łatwo wybaczyć?

– A kto mówi, że wybaczyłam? Proszę cię tylko, żebyś pozostawił zemstę tym, którzy mają do niej prawo.

– Zamierzasz się zemścić?

Ponownie uśmiechnęła się zimno.

– A to już moja sprawa, prawda?

Nie potrafił oderwać od niej oczu, gdy tak stała z obojętnym wyrazem twarzy i zimnym gniewem w spojrzeniu.

– Jesteś niezwykłą kobietą, Roso.

Skinęła głową. Ponownie popatrzyła na Reingharta, który wciąż kiwał się z zaciśniętymi powiekami, zakrywając uszy dłońmi pokrytymi bąblami.

– Kiedy już uleczysz jego duszę, zajmij się rękami, proszę. Nie chcę, by straszyl służbę bez potrzeby.

– Nie jestem medykiem – parsknął poirytowany.

– Jesteś ostatnim żyjącym Pierwotnym. Największym magiem na świecie. Nie wmawiaj mi, że nie potrafisz leczyć poparzeń.

Wzruszył ramionami.

Srebrzysta mgielka otoczyła Króla Królów. Lekka i połyskująca niczym pokryta brylantowym blaskiem. Sunęła jak szal, opasując półprzytomnego mężczyznę od stóp aż po czubek głowy. Jak żywe stworzenie chwiała się, mieniła, tańczyła miękkimi, łagodnymi posunięciami. Coraz gęstsza i gęstsza. Najpierw była jak szkło, potem zmatowiała, a kontury ukrytego za nią człowieka wolno zaczęły się rozmywać. Bardziej i bardziej, aż wreszcie zniknął w srebrzystej, połyskującej brylantowym blaskiem tubie. Nim minęły trzy uderzenia serca, tuba opadła jak kosztowna materia.

Reinghart stał na środku komnaty. Zdezorientowanym spojrzeniem powiódł po obecnych. Zdrowe już dłonie oparł na biodrach i huknął wściekle:

– Co się tu dzieje, do jasnej cholery?!

## RoydyiaŁXIV

### Jaskinia

Fale długich włosów niczym płynne złoto opadły na nagie ramiona dziewczyny. Roni wsunął obie dłonie w złocistą rzekę i z zachwytem patrzył, jak przesuwa się pomiędzy jego palcami. Długie błyszczące pasma wolno płynęły po opalonej skórze, pieszcząc ją chłodem jedwabiu. Podniósł jedno do ust. Pachniało słońcem, wiatrem i mrozem. Westchnął głęboko. Łagodnie wypuścił włosy i wziął w dłonie twarz ukochanej. W milczeniu bardzo długo wpatrywał się w szmaragdowe tęczęwki. Try uśmiechała się z czułością. Powoli rozwiązywała troczki koszuli mężczyzny, muskając opuszkami odślanianą skórę...

– Oślepniesz. – Cichy głos zabrzmiał przy uchu krasnoluda. Sodi odskoczył jak oparzony od ściany, w którą dotąd się wtulał, podglądając młodych kochanków. Uderzył się przy tym w goleń, więc zaklął szpetnie i aż przykucnął z bólu.

– Sodi, mój drogi, nie przeklinajcie na Czarnej Górze – przypomniał z niejakim rozbawieniem król elfów.

– To mnie nie straszcie. – Krasnolud wyprostował się z trudem, wciąż rozmasowując nogę. Zadarł głowę i spojrzał na elfa. Agrah Err przyglądał mu się z lekkim marsem.

– No co? – mruknął Sodi.

– Oślepniecie, podglądając dzieciaki.

– Tyle, k... – zawahał się, ale nie skończył. Wspomnienie powitania w świętym miejscu elfów wróciło, powstrzymując cisnące się słowo. – Tyle mam, co se popatrzę. No, chyba że któraś z tych cudnistych dziewuszek, co to majtają mieczami, zechce potrzeby niniejszego krasnoluda ukoić. Zapytacie?

Król elfów zignorował zaczepkę. W milczeniu przyglądał się krasnoludowi. Długo i spokojnie. Yudherthardere znał takie spojrzenie. Dzięki Zakonnej widywał je ostatnio dość często. Autor był inny, ale efekt podobny. Krasnolud cofnął się lekko. Ponownie uderzył w ścianę, ale tym razem nie zaklął.

– No czego? – zapytał zaczepnie, choć z kiepsko ukrywanym niepokojem.

Nadał w milczeniu elf wskazał Sodiemu inną chatę, ledwie kilka kroków od nich. Chwilę mierzyli się na spojrzenia, wreszcie mały brodacz wzruszył ramionami i chociaż mocno rozczarowany, poszedł we wskazanym kierunku. Zamiast jednak wejść do

środką, usiadł na pieńku przed chatą i czekał na władcę. Ten również usiadł, choć Sodi dałby sobie odciąć obie dłonie, że jeszcze przed chwilą jego pniak był jedynym w okolicy.

– Pogmeraliście pannie w głowie – stwierdził krasnolud.

Elf nie odpowiedział.

– Nie spytacie, skąd wiem?

– Coś mi mówi, że nic was nie powstrzyma przed wyjawieniem tej tajemnicy – sarkastycznie odrzekł Agrah Err.

– Nie wygląda już na taką przybitą, zeżartą wyrzutami sumienia... Szkoda, podobają mi się taka. Może nawet dałaby się... pocieszyć.

– Ktoś wam już mówił, że jesteście męczący?

– No – rozciągnął usta w straszliwej parodii uśmiechu – wasza kobita. Tacyście podobni, że włos się jeży. Nawet krzywicie się tak samo. Ale nie o tym miałem, nie? Tak więc pogmeraliście pannie w głowie i już nie pamięta, że się Lodowcowi dała wychędożyć.

– Martwi was to?

– Mnie? No co wy? Ją trochę zmartwi. To fakt.

Uniesione brwi elfiego władcy były jedynym pytaniem.

– Mówią, że jak król elfów zbiera wspomnienia, zostają w nim. Prawda to? – z żywą ciekawością zapytał krasnolud.

– Prawda.

Brzydał pokiwał głową.

– To zajrzyjcie w te gaalskie wspominki. Panna skry Droma widziała. Wiecie, co to skry Droma, nie? Po waszym spojrzeniu widzę, że wiecie. Skoroście jej pamięć poprawili, to się wkrótce zdziwi dziewczuszka... – roześmiał się.

– Mówiliście, że Grem należy do królowej Serbithów.

– Dyc, mówiłem. Się widać coś tam w tej ichniej magii pomyłało. Zawsze ten pierwszy raz musi być, nie? Skry Droma to skry Droma. Ja też je widziałem, więc siły ni ma.

Agrah Err zamyślił się.

– Trochę wam to psuje plany, nie? – ze złośliwą satysfakcją dopytywał Sodi. Przyglądał się królowi elfów, bezskutecznie oczekując gwałtownej reakcji. Tymczasem władca przeniósł wzrok na odległe drzewa, a jego spojrzenie straciło ostrość, wybiegło daleko, w odległe światy, nieodgadnione dla innych, a pewne dla Agrah Erra. Oglądał je obraz po obrazie. Wyraźne niczym wspomnienie wczorajszego popołudnia, mimo że jeszcze się nie zdarzyły. Łagodny uśmiech, dziedzictwo ojca, rozjaśnił nieobecne spojrzenie.



– Co wam? – zaniepokoił się krasnolud, jako że nie było mu dotąd dane widzieć króla Czarnych Elfów w kontakcie z przyszłością.

Wzrok Agrah Erra błyskawicznie nabrał ostrości. Przeniósł spojrzenie na brzydką twarz swego gościa i nadal się uśmiechając, odparł:

– Nic. Wszystko dobrze.

– Jak to dobrze? Dyć mieliście takie coś w patrzydłach jak ta gówniara, kiedy za Lodowcem szła. Jakby wasz duch nie był już wasz. Jakby wylazł z ciała i polazł w inne światy.

– Wyjątkowo jesteście spostrzegawczy. – Leciutkie zaskoczenie zabrzmiało w elfim głosie. – Można tak to właśnie opisać. Jesteście dobrzy. Jako Tropiciel, oczywiście.

– Najlepszy. – Sodi wzruszył ramionami. – To co się wam tak gęba cieszy? Coście w tych innych światach zobaczyli?

– Przyszłość, mój drogi Sodi. Przyszłość.

– I ona niby taka radosna?

– Zależy, czego się od niej oczekuje.

– Coście tacy tajemniczy?

Err pochylił się nad krasnoludem.

– Powiedzcie mi: każdy może tropić magię?

– Dyć, że nie! Trzeba mieć dar!

– Ale jak już ją wytropicie, to chwalicie się każdemu? Opowiadacie co i jak?

– Nie, no przecież... – Cofnął się lekko, naraz zrozumiał, do czego zmierza rozmówca. – Aaa...

– Właśnie. Gdyby bogowie chcieli, żeby każdy widział przyszłość, każdy by ją widział. Skoro tylko ja ją widzę, przeznaczona jest dla mnie. Dowiecie się we właściwym momencie. A teraz idźcie za przykładem Yorhów. Roni wskazał wam miejsce spoczynku, prawda?

– A co ze szczeniakami?

– To już mój problem, Yudherthardere. Zaczyna zmierzchać, a przed wami długa droga. Powinniście odpocząć.

– Nie dacie się nacieszyć tym waszym błogosławionym miejscem?

– Już żeście się cieszyli... prawie śmiertelnie.

– Na elfkę ogrzewającą wyro też nie mam co liczyć?

Zamiast odpowiedzi otrzymał chłodne spojrzenie, przerażająco znajome.

– Se już k... – zająknął się. – Se już normalnie pożartować nie można.

– Uważajcie trochę z tymi żartami. To nie są zwykłe elfki, drogi Yudherthardere, to czarnoelfie wojowniczkki. Zabijają bez zawahania, z absolutną obojętnością.

– Coś jak ta wasza kobita, co?

Agrah Err uśmiechnął się z dumą.

– Tak, coś jak moja Rosa. Równie precyzyjnie i szybko. Nie będą rozważały waszych słów, po prostu zadziałają. I w najlepszym przypadku będziecie mogli wstąpić do królewskiego chóru.

Krasnolud skrzywił się i wykonał gest, który robi każdy mężczyzna, bez względu na pochodzenie, status, zainteresowania czy umiejętności, słysząc o ewentualnej kastracji. Zakrył klejnoty wielkimi łapskami.

– To wcale nie jest zabawne.

– I też nie miało być. – Elf przestał się uśmiechać. – Jeszcze jedno, Yudherthardere. Wiem, że teraz łączy was i Rosę Porozumienie. I tylko ono powstrzymuje was od tego, by dosiąść waszego Doru i pogalopować do Krasnoludzkiej Rady. Obaj też wiemy, że gdy Porozumienie wygaśnie, zechcecie donieść o pannie Trydnette.

Yudherthardere nie zaprzeczył. Słuchał uważnie, bez towarzyszącego mu zwykle cynicznego uśmiešku. Było coś w głosie mężczyzny... jakiś chłód, pewność, obietnica... coś, co nie pozwalało zlekceważyć jego słów.

– Jako że nie wiem, jak zareagujecie na moją moc, nie będę próbował poprawiać wam pamięci. Postarajcie się o to sami. Postarajcie się zapomnieć, że widzieliście... to, co widzieliście. To małżeństwo jest potrzebne Krainie.

– Chcecie ich pożenić?! Oszaleliście?! Nie możecie! To nie jakiś wiejski głupek! To Król Królów. Wybrany przez bogów. Nie można...

– Postarajcie się zapomnieć – przerwał mu Agrah Err mocnym, chociaż cichym głosem.

– Ale Tradycja? Dziedzictwo?!

Król elfów milczał, patrząc wymownie. Krasnolud zebrał się na odwagę i zapytał:

– A jak nie zapomnę?

– Sami zauważyliście, jak precyzyjnym zabójcą jest Rosa.

– Przecież Zakon musi chronić Tradycję!

– Zakon chroni Krainę, Sodi, a Krainie niezbędne jest to małżeństwo.

– Oszaleliście. – Yudherthardere pokręcił głową. – Jak Krainie może być niezbędny ożenek Króla Królów z gaalską cichodajką? Toż bękart na tronie murowany... Dziewuszka może i cacuchna, ale do ogrzewania leża, a nie coby koronę na głowę jej kłaść.

– Miarkujcie się, mały lordzie.

– Co, kurwa, miarkujcie! Wy mnie tu o zamachu stanu... o podważeniu Tradycji... Zakonna...

– Rosa, bo zapewne jeszcze nie znacie jej wystarczająco, ma specyficzne podejście do Tradycji. Rzekłbym, bardzo indywidualne. Zaufajcie mi. Lepiej będzie dla wszystkich,

jeśli zapomnicie, coście widzieli.

\*

Arthe obudziła się z policzkiem wtulonym w miękką poduszkę. Zupełnie sama w łóżu i sypialni. Poruszyła się lekko, czując na skórze łagodną pieśczoć jedwabiu. Zapomniała już, jak to jest doznawać takiej przyjemności. Chłodny, niemal czuły dotyk, zmysłowy jak palce kochanka, jak tchnienie tuż przed spotkaniem warg, preludium nieokiełznanej namiętności. Przeciągnęła się, delektując urealnionym wspomnieniem.

Było jej dobrze. Dobrze jak kiedyś, zanim... Chłód materii przeniknął naraz przez skórę i mięśnie, aż do kości. Nagle poczuła, że już nic nigdy jej nie ogrzeje. Zabawne. Płonęła setki lat, a teraz czuła tylko zimno. Najwyraźniej cały żar się wypalił. Spłonął wraz z naiwnością, wiarą, nadzieją i miłością. Wraz ze wszystkimi ciepłymi, słodkimi uczuciami, których kiedyś była pełna. Pochłonął je nieugaszony ogień pierwotnego przekleństwa.

Wysunęła się z pościeli i podeszła do okna. Zmierzchało. Przespała cały dzień. *To dobrze, będziesz potrzebowała sił* – pojawiła się obca myśl. Znała ten głos. Oswoiła się z nim. Pojawiał się nieproszony, może nawet nieustannie był przy niej. Prowadził ją ku zemście. Do tego przecież dążyła. Do zemsty.

Nie za płomień, nie za fizyczne cierpienie, bo tym właśnie było spalanie się dzień po dniu. To mogła wybaczyć. Mogła wybaczyć karę niewspółmierną do winy. Zdrady zapomnieć nie potrafiła. Żądza zemsty trawiła ją przez każdy kolejny dzień, rok po roku, gdy jeszcze płonęła i nie opuściła po tym, jak Arthe wróciła do ludzkiej postaci. Zasypiała z nią i budziła się. Pomagała jej trwać. Szeptwała słodko do uszu obietnicę wytchnienia. Nieustannie tym samym głosem obiecywała, że uwolni dziewczynę od cierpienia, da zapomnienie.

A tego właśnie potrzebowała, do tego tęskniła. Do zapomnienia. Czuła, że nadchodzi. Było już blisko... tuż, tuż. Głos też o tym szeptał. Zbliżała się wolność. Ulga i wolność. Za tą myślą przyszły zastanowienie, gdzie podział się obiekt jej zemsty, i gniew, że ponownie ją zostawił. Zapewne powinna grzecznie poczekać, aż Yasa wróci. Tego od niej oczekiwał. Zawsze miała być posłuszna. Traktował ją jak dziecko. Tak, jak dziecko.

Powtarzała te słowa w zapamiętaniu, chcąc stłumić strach i podtrzymać gniew. Nie mogła zapomnieć. Nie mogła wybaczyć. Głos tego nie chciał... Nie, ona tego nie chciała. To też powtórzyła kilka razy, jakby bała się, że zapomni albo przestanie w to wierzyć. Powtarzała to, ubierając się i kiedy wychodziła na korytarz, żeby znaleźć kochanka.

Głos szeptał, dokąd ma iść, a ona biegła, posłuszna szeptowi, długim rozświetlonym korytarzem. Nie zatrzymywała się, by podziwiać urodę kobiet na zdobiących ściany portretach. Nie zauważyła żadnej z dziesiątek wielkich dam z rodu Yerghartów, tak jak i nie przykuł jej uwagi żaden z książąt i królów tego rodu. Nie zrobiły też wrażenia olbrzymie pejzaże okolic Syrelle, które odmalowywali kolejni wielcy kraińscy artyści. Żaden obraz, żaden z kunsztownych świeczników, w których płonęły precyzyjnie wykonane świece z Fryghe, żadna z cennych dębowych komód, sprowadzonych z dalekich krajów, nie zatrzymała bosych stóp kochanki Pierwotnego Maga. Nie zatrzymała jej też delikatna miękkość kolorowych dywanów, w których lekko zatapiały się jej pięty. Jakby ktoś wyłączył zmysły, z wyjątkiem podświadomego słuchu, posłusznego poleceniom Głosu.

Stała nagle przed uchylonymi ogromnymi drzwiami. Nie, nie zauważyła potężnych strażników, ale i oni, co dziwne, nie patrzyli na nią, a w jakiś tajemniczy punkt na ścianie. Podeszła wolno ku szparze i starając się pozostać niezauważona, spojrzała do środka.

– Co się tu dzieje, do jasnej cholery?!

Wściekły głos należał do potężnego mężczyzny stojącego naprzeciw Yasy. Yasy i tej suki... Arthe zagryzła wargi tak mocno, że z przeciętej skóry popłynęła krew. Zapragnęła wbiec do komnaty i wydrapać szmacie oczy... tłuc jej głową o podłogę, aż zostanie tylko krwawa miazga, albo wyrwać miecz i ciąć, albo... Dziesiątki sposobów na uśmiercenie znienawidzonej kobiety przesunęły się przed oczami Arthe. Nie próbowała skorzystać z żadnego z nich. Głos zatrzymał ją tuż przy drzwiach, wpatrzoną z nienawiścią w Zakonną.

– Ty chciałaś go uzdrawiać. – Yasa spojrzał na towarzyszącą mu kobietę. – Jest więc zdrów i cały. Cały twój.

– Co wy...?!

– Uspokój się, panie – cicho przerwała królowi Rosa. – I usiądź, proszę.

Arthe nie była czarownicą i choć spędziła kilka lat u boku największego maga Krainy, nie potrafiła wyczuć magii. Mimo to była prawie pewna, że Zakonna użyła jakiegoś czaru. Jakże inaczej wytłumaczyć to, że wściekły dotąd władca posłusznie usiadł? Jak wytłumaczyć to, że nie odrywał spojrzenia od dziwnych oczu Kobiety Tradycji?

– Co on tutaj robi? – Reinghart ledwie zerknął na Pierwotnego Maga.

– Poprosiłam, by przybył.

– Nie życzymy sobie go widzieć.

– Wybacz, panie, jego obecność była niezbędna.

– Jest – poprawił ją Yasa. – I będzie przez jakiś czas.

– Chcę, żeby się wyniósł z Syrelle. Niech wróci pod kamień, spod którego wypełził – król mówił cicho, lecz ze źle ukrywaną wściekłością. I jeszcze czymś... Tak, z cieniem strachu. Król Królów bał się Yasy. Bał się i nienawidził tego strachu.

Mag otworzył usta, ale zaraz je zamknął pod szybkim lodowatym spojrzeniem Zakonnej.

– Na razie musi tu zostać. Może się zdarzyć, że będzie wam potrzebny – tłumaczyła Rosa.

– Na nic mi on. Mam was.

– Ja muszę wyjechać, panie. Yasa będzie was chronił pod moją nieobecność.

– On?! Prędzej sztyletem wyrżnie mi swoje inicjały na plecach!

– Patrz, a nie wygląda na tak bystrego – ironicznie skomentował mag.

Kobieta popatrzyła zimno w jego stronę.

– Możesz zostawić mnie – podkreśliła – rozmowę z Królem Królów?

– Niby tak, ale widzisz, musiałem wam przerwać, bo nie zamierzam zostawać tutaj, skoro ty jedziesz rozprawić się z moją ukochaną cioteczka.

Zmarszczyła brwi.

– Zostaniesz i zajmiesz się władcą.

– Droga przyjaciółko – zimne spojrzenie przeczyło słowom – ja nie słucham poleceń. I nie, nie zostanę. Nie wyślę cię samej przeciw Isinie. Nie masz pojęcia, jak potężna przeciwniczka na ciebie czeka.

Przez chwilę oboje milczeli. Lód w oczach kobiety stopniał nieco.

– Wzrusza mnie twoja troska, przyjacielu, chociaż jest niepotrzebna. Poradzę sobie.

– Nie ty pierwsza tak myślisz. Ona jest inna. Nie spotkałaś kogoś takiego. Jest... zła.

– Spotkałam już wielu złych ludzi, Yaso.

– Ona nie jest człowiekiem, Roso.

– O czym wy, do cholery, mówicie?! – przerwał im zniecierpliwiony Reinghart. Spojrzeli nań oboje, jakby naraz sobie przypomnieli, że nie są sami w komnacie.

– Nie możesz ze mną jechać – kontynuowała kobieta, ignorując pytanie. – Ktoś musi powstrzymać Bestię.

– Znajdę inny sposób.

– Nie mamy czasu.

– Więc zabierzemy go ze sobą.

Ponownie oboje popatrzyli na króla.

– Nie jestem sakwą mięsa, żeby mnie zabierać albo zostawiać – spokojnie zauważył Reinghart. – Któreś z was wreszcie wytłumaczy mi, o co chodzi? To ma coś wspólnego ze świętymi z Zakonu, prawda?

– Zaraz ci wytłumaczę, panie – odrzekła uspokajająco i zwróciła się z powrotem do drugiego z mężczyzn. – Nie pojedziesz ze mną. Żeby pozbyć się Isiny, muszę ją ożywić. Zmaterializować. Nie możesz wziąć w tym udziału. Zabiłeś ją, nie możesz przywracać jej życia. Twoim bogom by się to nie spodobało.

– Moim... – zawahał się. Przez długą chwilę wpatrywał się w obojętną twarz wojowniczkę i naraz uśmiechnął się z czułością, jakiej Arthe dawno u niego nie widziała. Podeszedł do kobiety i położył dłoń na jej ramieniu. – Chronisz mnie? – Po czym powoli przeniósł rękę na policzek Zakonnej.

Głos wrzeszczał. Nieważne. Nie teraz. Teraz nie mogła go słuchać. Ta pieśczoła była jej. Tylko jej! Nie miał prawa tak dotykać tej suki!!! Nie!!!

*Zostaw. Przyjdzie czas.*

Milcz!!!

Pchnęła drzwi i wbiegła do komnaty.

Troje obecnych spojrzało na rozgniewaną piękność. Bosa, w luźno związanej sukni, wyglądała jak uosobienie wściekłości. Niezwykle urodziwe uosobienie. Yasa zmarszczył brwi i cofnął się lekko, a na jego usta, jak zwykle w obecności kochanki, spłynął nieco pobłażliwy uśmiech.

– Arthe, co ty tutaj robisz? – zapytał.

Była już prawie przy nim, kiedy Głos kazał jej spojrzeć na króla, a ona mimo złości posłuchała polecenia. I stanęła jak wryta. Głos tam był. Był w nim. Szeptał. Słyszała go. Widziała. Rozbłysnął złotem w błękicie królewskich tęczówek. Mienił się i jaśniał. Przywoływał.

Naraz gniew ucichł jak odcięty. Wszystkie uczucia, emocje, wrażenia, obrazy... Wszystko znikło. Pozostał tylko Złoty Głos. Dźwięczał i migotał. Aż odbił się w jej oczach. Zapłonął i zgasł. I wszystko wokół. A dziewczyna osunęła się nieprzytomna na posadzkę.

Rosa spojrzała na Yasę. Zauważył. Wiedziała, że zauważył. Wyczuła moment, gdy światło w oczach maga znikło. Teraz stał, niczym ogłuszony, wpatrując się w leżącą kochankę. Nie drgnął. Nie rzucił się, by podnieść dziewczynę. Nie biegł na pomoc. Po prostu stał i patrzył.

– Yaso? – zapytała cicho Rosa.

Spojrzał na nią, jakby się obudził. Potem podeszedł do Arthe, uklęknął przy kochance i odsunął włosy z poblądłej twarzy. Wiedział, że żyje. Czuł jej oddech, słyszał bicie serca. Westchnął i bez trudu wziął nieprzytomną na ręce. Trzymając ją, podeszedł do Rosy.

– Zabierzemy go ze sobą – powiedział spokojnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ożywimy moją cioteczkę, a potem ją zabijemy. Razem.

Skinęła głową. Uśmiechnął się ponuro i ruszył do drzwi. Patrzyła za nim, gdy szedł. Wysoki, szczupły i piękny. Zdawał się, jako ona, całkowicie obojętny. Zimny i odległy. I tak jak w jej przypadku, było to mylne wrażenie.

– Więc, Kobieto Tradycji, wytłumaczysz mi, co się tu dzieje, do cholery? – przypomniał o sobie władca.

\*

Śnieg na drzewach mienił się połyskliwie. Miliony drobniuteńkich brylancików strącanych z gałęzi przez wiatr kołyszący leciutko koronami. Błyszczące płatki zsypywały się, by miękkim puchem osiąść na zamarznętej, pokrytej białym dywanem ziemi. Tam zaś rozpryskiwały się, odrzucone przez kopyta galopujących koni, ponownie połyskując w czystym, jasnym świetle porannego słońca, nisko jeszcze zawieszzonego na błękitnym, bezchmurnym niebie. Jeźdźcy nie zwracali uwagi na piękno otaczającej ich przyrody. Pędzili przed siebie. Przewodził im wysoki mag w długim białym płaszczu podbitym niedźwiedzim futrem, dosiadający wierzchowca o czystej białej maści. Tak doskonałego, pozbawionego choćby jednej plamki czy skazy, że bez wątpienia był efektem magicznych zdolności jeźdźca. Czarodziej patrzył ponuro przed siebie czarnymi oczami. Mógł je równie dobrze zamknąć. Znał drogę do Świętych Jaskiń na pamięć. Umiałby tam trafić z każdego miejsca na świecie. Wbijał wzrok przed siebie, żeby nie patrzeć na towarzyszącą mu dziewczynę.

Nie mógł na nią patrzeć. Nie chciał. Bo jeśliby to zrobił, znów zobaczyłby cień złota przemykający przez czarne tęczęwki, a tego chyba nie zniósł.

Zerknął za siebie, na Rosę. Kobieta przyspieszyła i zrównała się z nim.

– Powiedziałaś mu wszystko? – zapytał cicho. Nie tłumaczył komu. Nie musiał.

– Jest Królem Królów. Ma prawo wiedzieć.

– O Arthe też?

– Ma prawo wiedzieć o tym, co dotyczy jego.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Dziękuję.

Skinęła głową.

– Co z dziewczyną?

Zacisnął usta.

– Nie rozmawiałem z nią – odpowiedział po chwili – jeśli o to pytasz. Była nieprzytomna do rana, a i potem unikaliśmy rozmowy... Nie wiem...

– Jest trzecim filarem, prawda?

– Po co pytasz, skoro wiesz?

Ponownie zamilkli. Jakiś czas jechali w milczeniu, ramię w ramię. Naraz Yasa odwrócił się i spojrzał na Zakonną.

– Zmieniłem ją w płomień, bo byłem idiotą, bezmyślnym, zagniewanym idiotą. Nie było dnia, żebym tego nie żałował. Trwałem przy niej nie z poczucia winy, ale... właśnie dlatego. Zasłużyłem na jej gniew. Zasłużyłem na zemstę, ale... ale Isina? Jak mogła? Wiedziała, co Isina mi zrobiła. Wiedziała o Lunie, o naszym dziecku. Powiedziałem jej. Jak mogła?

Zakonna w milczeniu patrzyła przed siebie, na rysujące się w oddali góry, w których kierunku zmierzali.

– Kiedy zabijemy Isinę, zerwiemy wszystkie umowy – odpowiedziała wreszcie. Bardzo cicho i bez przekonania, bo w sumie wiedziała, że to niczego nie zmieni. Nie w jego oczach.

– Wiem. – Skinął głową.

– Nie powinno cię tu być.

– Przeciwnie. To najodpowiedniejsze dla mnie miejsce.

– Nie możesz wziąć udziału w ożywieniu Isiny. Wasze Prawo ci tego zabrania.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli Yudherthardere rzeczywiście potrafi ją ożywić.

– Wkrótce się dowiemy. – Uśmiechnęła się ponuro. – Powinien już tam dotrzeć, z Czarnej Góry jest bliżej.

\*

Strzeliste szczyty, pokryte czapami śniegu, pięły się ku czystemu niebu, tworząc z nim piękny, klasyczny kontrast. Sodi poderwał głowę ku górze. Nie wydawał się zachwycony tym widokiem. Tam, wysoko, znajdowały się jaskinie, a wśród nich ta, do której zmierzali. I słowem, które najbardziej go zniechęcało, było „wysoko”. Nienawidził gór, nienawidził wysokości, nienawidził śniegu... a tu czekała nań każda z tych rzeczy. Cóż, wiedział, że to właśnie go spotka.

Ale krasnoludy nie należą do istot pokornych i łatwo godzących się z rzeczywistością.

– Kurwi syn w całym jego obszczymurkim majestacie! – przeklął wściekle, acz sam nie wiedział kogo, a potem powoli zsunął się z siodła.

Za jego plecami Yorhowie i Lodowiec wiązali konie do drzew. Podeszedł ku nim i również przywiązał Doru. Potem ponownie zadarł głowę.

– Majestacie, kurwa mać... – powtórzył cicho i bez przekonania. Wojownicy Zakonnej minęli go i bez słowa czy choćby chwili zastanowienia ruszyli w górę. Młody Grem uśmiechnął się, mijając Sodiego. Dla niego to była łatwizna. Urodził się w śniegu. Lód był jego żywiołem. Wskoczył na pierwszą z wystających skał, minął



Yorhów i zaczął się wspinać jak jaszczurka. Gładko sunął po ścianach, nie patrząc za siebie.

– Jasne, idźcie, niech się krasnolud sam męczy! – wrzasnął za nimi Yudherthardere, a gdy nie zareagowali, kopnął wściekle w ziemię, unosząc tuman śniegu. Niewiele to pomogło, a i on nie poczuł się lepiej. Wściekły wolno ruszył za Yorhami.

Wspinali się mozolnie. Wojownicy z racji swoich gabarytów znacznie szybciej niż krasnolud, ale i oni co jakiś czas zsuwali się na skalnych półkach i ponownie musieli się na nie wdrapywać. Sodiemu szło wolniej, ale był dokładniejszy. Z zastanowieniem stawiał każdy krok, przemyślał każde wsunięcie dłoni w skalną szparę, zastanowił się nad podciągnięciem ciała. Dlatego też nie musiał dwukrotnie wchodzić na tę samą półkę.

Był już prawie na miejscu. Czuł to. Magia Pierwotnych pozbawiała go sił. Tarła o skórę jak kolczaste gałęzie, wdzierając się porami i wypalała krew. Wyciągnął dłoń, by poszukać punktu zaczepienia, gdy naraz jego stopy zsunęły się ze skały. Zawisł na jednej ręce, rozpaczliwie szukając oparcia. Wrzasnął przeraźliwie. Palce ślizgały się na śniegu... Zerknął w dół, wiedząc, że nie powinien. Do ziemi było daleko. Bardzo daleko.

Machał nogami, wciąż krzycząc... Nagle czyjeś mocne palce zacisnęły się na jego nadgarstku i bez trudu podciągnęły go. Nogi poczuły grunt i krasnolud bezpiecznie stanął na twardym podłożu.

Moc jaskini paliła zmysły Tropiciele. Wzrok, słuch, węch, smak, dotyk i te, które bogowie krasnoludów dali tylko wybranym. Wszystkie płonęły, krzycząc. Sodi padł na kolana. Uderzył głową w śnieg. Trzeba wyłączyć... wyłączyć... Zaciśnięte na zmrożonych bryłach paluchy posiniały z wysiłku. Nie potrafi...

Lodowiec wsunął szczupłą dłoń w śnieg obok krasnoluda, drugą położył na karku klęczącego. Wsparcie pomogło i Sodi wyłączył moce Tropiciele. Wstał powoli, otrząpął brodę ze śniegu i skrzywił się w grymasie kiepsko udającym wdzięczność. Potem spojrzał przed siebie.

Szeroka czarna jama nie wydawała się zapraszać do wejścia. Byli na miejscu.

# RoydyiaŁXV

## Isina

W czarnej dziurze, jaką było wejście do jaskini, jaśniało drżące światło ogniska. W szarości zmierzchu, w chwilach, w których jeszcze nie rozmigotały się miliony gwiazd i zanim pucułowata twarz księżycy rozjaśniła czarny nieboskłon, było jedynym jasnym punktem w okolicy. Mimo wysokich śnieżnych czap leżących na skałach i okrywających świat białym płaszczem w tym miejscu świat wydawał się szczególnie ponury i ciemny. Tak jakby owa biel pociemniała czy też mrok wypełzał z wnętrza góry i gasił wszelkie światło. Oprócz tego jednego mocnego, chociaż niewielkiego płomienia ogniska rozpalonego tuż za wrotami jaskini.

Wędrowcy nie zatrzymali się, by go podziwiać, lecz weszli na jego spotkanie.

Niewielka jama, stanowiąca początek korytarzy grot i mniejszych lub większych jaskiń, jaśniała słabym światłem paleniska, które swoim ciepłem łagodziło mróz wdzierający się szerokim otworem. Siedzący przy ognisku mężczyźni podnieśli głowy na widok wchodzących. Yorhowie patrzyli beznamiętnie. Nie kiwnęli głowami na widok Zakonnej ani jej towarzyszy. Nawet Król Królów nie zrobił na nich wrażenia. Brzydkie twarze pozostały obojętne, tak jak i czarne oczy. Nikt nie zauważył, jak błyskawicznie porozumieli się z wojowniczką ani jak uważnie obserwowali pozostałych.

– No nareszcie, cholera. – Krasnolud poderwał się na nogi. – Ileż można czekać?! Przez Delghart jechaliście?

Rosa nie odpowiedziała. Podeszła do ognia, roztarła dłonie i przez krótką chwilę ogrzewała je nad płomieniami. Później z chłodnym uśmiechem spojrzała na Sodiego.

– Idziemy?

– Nie, no skąd... Poczekamy se tu do jutra – warknął mężczyzna. – Zara wyciągniemy kartofelki, chleb, przedni miód i zrobimy se piknik. Co się, kurwa, będziemy spieszyć?

– De Gra – cicho i łagodnie zaczęła Zakonna, a on zaraz cofnął się o krok – będziecie tak gadać, czy możemy iść?

Krasnolud powiódł wzrokiem po wszystkich. Dopiero teraz zauważył Reingharta i Yasę.

– Niech no ja skonam albo i gorzej: pochędówki do końca życia nie zaznam – wyszeptał cicho – jego wysokość. Ściągnęliście jego wysokość? Zaczarowaliście czy jak?

– Ważcie słowa, mały lordzie. – Król Królów podszedł do Zakonnej i również rozartł dłonie nad ogniem. Trzeźwy, ogolony i, przynajmniej w tej chwili, wolny od Bestii, wydawał się potężniejszy i pełen majestatu. Jedno spojrzenie błękitnych oczu prawie rzuciło krasnoluda na kolana. Zaraz jednak Yudherhardere przypomniał sobie, w jakiej kondycji i okolicznościach widział władcę ostatnio, i drzenie przed potęgą króla gdzieś się ulotniło.

– Noż, przecie ważę, nie? – odparł z lekkim tylko zawahaniem. Nie czekając na dalsze łajanie, odwrócił się do Yasy. Przyjrzał się z nieukrywany zachwytem stojącej u jego boku dziewczynie, ale nie odważył się na jawnie obleśny komentarz. – A cóż wy tu robicie, panie Yaso? Nie wiecie, po co tu jesteśmy, czy jak? Nie lepiej to by wam było pannie dogadzać... gdziekolwiek indziej?

Zamiast odpowiedzi zobaczył tylko połyskujące onyksy tęczówek maga. Ponure i mroczne. Było w nich coś, co przerażało bardziej nawet niż cichy głos Rosy. Krew dudniła krasnoludowi w skroniach, a dreszcz przepłynął przez kręgosłup. Czerń trzymała go na uwięzi, nie pozwalając się ruszyć.

– Yaso. – Łagodny głos Rosy dobiegł Sodiego z bardzo daleka. W tej samej chwili więzy spadły i zmysły krasnoluda znów były wolne, bo mag już na niego nie patrzył.

– O kurwa – jęknął żałośnie Yudherhardere. Nogi się pod nim ugięły i ciężko klapnął na kamień przy ognisku. Opuścił głowę, by przypadkiem ponownie nie znaleźć się we władaniu mocy.

– Ustalmy coś, de Gra. – Znajomy przerażający ton zabrzmiał tuż nad nim. – Jesteśmy w świętym miejscu Pierwotnych. Nie będziemy tu przeklinać.

– Aha – potaknął cichutko. – Jak sobie życzyce.

– Idziemy?

Z ociąganiem, mimo że jeszcze chwilę temu tak bardzo mu się spieszyło, wstał. Rzucił szybkie spojrzenie wojownicze, unikając wzroku Pierwotnego i sięgnąwszy najpierw po przygotowaną uprzednio pochodnię, jako że ciemność w jaskini była z innego świata i nawet on w niej nie widział, ruszył w głąb korytarza. Strach przyspieszył krótkie nogi i krasnolud niemal biegł, nie oglądając się za siebie. Za nim, niczym cień, podążał Lodowiec, również dierząc płonąca żagiew. Oświetlali mroczny korytarz słabym, chyboczącym płomieniem.

– Nie ma sensu prosić cię, byś został? – Rosa zapytała czarodzieja.

– Nie.

Skinęła niechętnie i ruszyła w ślad za Sodim. Za nią, po chwili zastanowienia, poszli Reinghart i jego dwaj przybocznicy.

– Yaso...? – Arthe delikatnie położyła dłoń na ramieniu kochanka. – Może... Może nie idźmy, co? Może wróćmy? Do naszego pałacu, na naszą wyspę? Byliśmy tam szczęśliwi, prawda?

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał, patrząc przed siebie, daleko, w odległy punkt jaskini.

– Prawda, Yaso? – Ujęła głowę kochanka i zmusiła go, żeby na nią spojrzeć. Jednak na widok czarnych tęczęwek i zaciętego wyrazu twarzy cofnęła się lekko. Dłonie opadły, dziewczyna opuściła głowę. – Chodźmy – powiedziała po chwili z rozpaczliwą rezygnacją w głosie. – Im szybciej, tym lepiej.

Minął ją i bez słowa wszedł w ciemny korytarz, w którym zniknęli pozostali.

Yorhowie nadal siedzieli przy ognisku. Posłuszni milczącym poleceniom Zakonnej grzali dłonie nad płomieniem. Brzydkie twarze jak zwykle wydawały się obojętne. Przynajmniej do chwili, w której ostatnia osoba weszła w korytarz. Wtedy wojowie się podnieśli. Podeszli do wilgotnych kamiennych ścian, położyli na nich prawe dłonie, a lewe połączyli w uścisku. Czarne oczy rozbłysły, tak jak i reszta potężnych męskich sylwetek. Pulsująca szmaragdowa aura spowiła je nagle, błyskawicznie rozświetlając nie tylko ciała Yorhów, lecz także całą jamę pulsującym intensywnym światłem, za którym przyszedł równie mocny aromat.

Słodkawy zapach mchu i leśnego poszycia.

\*

Korytarze ciągnęły się w nieskończoność. Wąskie, wilgotne i ciemne. Im głębiej wchodzili, tym węższa była droga. Ciasna i nierówna. Co rusz potykali się na nierównych kamieniach, a i korytarze to się unosiły, to opadały tak raptownie, że chwilami musieli się wspinać albo gwałtownie zjeżdżać. Szli szybko, na tyle, na ile mogli w tych warunkach. Migotliwe światło pochodni oświetlało ścieżkę i kładło się cieniami na ścianach, rozjaśniając mrok, by zaraz ponownie pozostawić go za sobą. Maszerowali w milczeniu, nawet przewodzący im krasnolud powściągnął język. Kiedy się poślizgnął czy uderzył w goleń, co zdarzyło się kilka razy, sapał głośno, ale pamiętając słowa wojowniczkę, nie przeklinał. Rzucił jedynie wściekłe spojrzenie przez ramię, a raz czy dwa gwałtownie cisnął przed siebie kamieniem, który nawinął się mu pod rękę. I mimo że strasznie się męczył, nie powiedział ni słowa.

Lodowiec, tak jak żołnierze króla, szedł bez potykania, równo, bez śladu zadyszki czy choćby zmęczenia. Idący za nimi władca nie wydawał się taki wypoczęty. Lata nadużywania alkoholu i wiek Reingharta zdecydowanie nie pomagały w szybkim marszu czy wspinacze. Dyszał ciężko i chwilami przystawał, ale milczał jak pozostali, dzielnie starając się nadążyć.

Rosa cały czas czuła wwiercające się w jej plecy spojrzenie Arthe, lecz sama nie spojrzała na dziewczynę. Nienawiść panny była prawie wyczuwalna i gdyby mogła ranić, Zakonna dawno już leżałaby martwa. Niespecjalnie ją to martwiło. Bardziej przejmowała się Yasą. Jego emocje płonęły srebrzysto krwawą łuną, niewidoczną dla pozostałych, lecz raniącą jej zmysły. W tym stanie Pierwotny Mag był bardziej problemem niż pomocą.

Naraz krasnolud zatrzymał się. Postępujący krok za nim Lodowiec nie zdążył i wpadł na Sodiego.

– Patrz, jak leziesz! – wrzasnął mały brodacz, zapominając na chwilę, że obiecał nie przeklinać. Chłód skóry Grema sprawił mu fizyczny ból. Odepchnął młodzieńca z obrzydzeniem na brzydkim obliczu. – Ej, wy tam, na końcu! – Zamachał pochodnią.  
– Drogi się rozdzielają! Nie wiem, którądy iść.

Zakonna spojrzała na Pierwotnego.

– W lewo – powiedział cicho. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Ledwie to powiedział, wszystkie pochodnie zgasły, pograżając korytarze w ciemności. Krasnolud ponownie zaklął głośno, a Arthe cicho krzyknęła. Pozostali nawet nie drgnęli.

– Co jest, k... – zająknął się Sodi.

– Yaso? – rzuciła Rosa.

– Jaskinia sama wybiera magię – odpowiedział po chwili mag – której pozwala trwać na swoim terenie. Pochodnie rozpalono zaklęciem, więc je zgasiła.

– Yudherthardere, macie krzesiwo? – spytała głośno Zakonna.

– I co jeszcze, k... – znów się zająknął. – Kryształowe zwierciadło?

Kobieta zignorowała ironię.

– Ktoś ma?

– Ja. – Głos jednego z żołnierzy przerwał ciszę i po chwili w mroku rozbłysły wykrzesane skry. Po kilku próbach pierwsza z żagwi zapłonęła mocnym płomieniem. Po chwili również kolejne rozjaśniały ciemność. Mamrocząc coś pod nosem, krasnolud wszedł szybko w lewy korytarz.

Zrobił ledwie kilka kroków i naraz jego stopy straciły oparcie. Zamachał rozpaczliwie rękami, ale i one nie znalazły niczego, co mogłoby go uchronić przed upadkiem. Wrzasnął rozpaczliwie, czując, że spada. Pęd powietrza zgasił z takim trudem wykrzesany płomień. Sodi leciał, krzycząc. Najpierw rozpaczliwie, ze strachem, błyskawicznie robiąc rachunek sumienia z całego długiego życia. Oto wkrótce spotka przodków, dziadunia, matulę i tatka. Tyle rzeczy zrobił... na tyle miał jeszcze nadzieję... Krzyczał, a jego tętno szalało z przerażenia. Po chwili, krótkiej, a długiej jak nieskończoność, krasnolud zamknął usta. Zmrużył oczy ze zdziwieniem, bo

zamiast rozbić się o podłogę niesłychanie głębokiej jamy, zdawał się hamować. Coś spowolniło prędkość, z jaką spadał. Nie żeby widział mijane kamienie. Dziwna, magiczna ciemność na to nie pozwalała. Jednak wiatr już nie szarpał tak połami kurty, nie rozwiewał włosów i brody. Jakby Sodi naraz znalazł się w gęstej mazi, która miała złagodzić jego upadek.

Wreszcie dziura się skończyła i Yudherthardere łagodnie opadł na kamieniste podłoże. Klapnął tyłkiem, ale nie sprawiło mu to bólu.

– Sodi! – Krzyk Rosy dobiegał z bardzo daleka, lecz mimo to był wyraźny, jakby szeptała mu do ucha. – Żyjecie?!

– Taaa! – odkrzyknął, bynajmniej nie do końca pewien, że mówi prawdę. Wstał bez trudu. Odrzucił wciąż dzierzoną pochodnię i rozejrzał się wokoło. Niestety absolutna ciemność nie pozwalała niczego dojrzeć. Wyciągnął ręce i wolno postąpił o krok. Nie napotkał oporu, więc zrobił kolejny krok, a potem jeszcze jeden i jeszcze. Szedł wolniutko z wyciągniętymi ramionami, bezskutecznie czekając końca dziwnej jamy.

– Dawajcie no tu! – wrzasnął w górę.

– Nie musicie tak krzyczeć. – Głos Zakonnej zabrzmiał tuż przy uchu krasnoluda. – Już jesteśmy.

Światło pojawiło się nagle. Miękkie, łagodne, delikatne. Zdawało się nie mieć źródła i z równą siłą rozświetlać całą jaskinię lekkim perłowym blaskiem.

– Ożeż kurwa! – wyszeptał Sodi z nabożnym zachwytem.

– Dobrałbym inne słowa, ale z sensem muszę się zgodzić – przytaknął Reinghart.

Perłowe światło malowało jasności i cienie na skalnych ścianach. Płynnie przenosiło się z kamienia na kamień, z każdej wypukłości, każdej krzywizny na wgłębienie czy prostą. Ściany nie odbijały światła, lecz same połyskiwały, chropowate czy gładkie, opalizowały łagodną miękkością, czystym pięknem skrytym w kremowych stalaktytach skapujących ku ziemi. W niektórych miejscach owe naturalne żyrandole łączyły się ze stalagmitami wychodzącymi im naprzeciw z ziemi, zdającymi się, jakby wbrew naturze, zastygać w drodze do nieba. Tam, gdzie się połączyły, tworzyły doskonałą w swej urodzie kolumnę podtrzymującą jaśniejące lustrzane sklepienie. Zwierciadło, w którym odbijały się mleczne kamienie podłoża, stalagmity, nieruchoma tafla brylantowego jaskiniowego jeziora i wyspa na jego środku. Właściwie nie wyspa, a jeden wielki płaski kamień, opalizujący i wypolerowany niczym gigantyczna, przecięta wpół perła.

Yudherthardere z trudem odwrócił wzrok, by spojrzeć na obecnych. Byli wszyscy, z wyjątkiem dwóch przybocznych Reingharta. Nie spytał dlaczego, nie interesowało go to. Wolno ruszył do brzegu jeziora, w pełni świadomy, że każdy z obecnych mu się przygląda.

– Muszę się tam dostać. – Wskazał wyspę. – To taki...

– Ołtarz – skończył za niego Yasa.

– No właśnie, ołtarz. Tylko że żadnego mostu do niego nie widzę. – Rozglądał się intensywnie. Przeszedł brzeg najpierw w jedną, potem w drugą stronę, ale ani mostu, ani łodzi, ani chociażby wystających z wody kamieni nie było. Zagryzł mięsiste wargi, podrapał się po głowie, a potem szarpnął za brodę, ale jakoś nic mu nie zaświtało. Trochę poirytowany spojrzał na Pierwotnego Maga.

– Wasi to wymyślili, to i wy pewnie wiecie, jak tam trafić, nie?

– Może popłyniecie? – zapytał spokojnie Król Królów.

– Jasne, k... znaczy jasne. – Zmitygował się pod baczny spojrzeniem odbarwionych tęczęwek. – A cholera wie, co w tej wodzie siedzi... W najlepszym wypadku królewski chór mi zostanie, nie?

– Skrzelowce nie ranią ofiar, rozszarpują je – chłodno zauważył Yasa. – Królewski chór wam nie grozi.

Sodi odskoczył od brzegu, gwałtownie przełykając ślinę.

– No pięknie, k... – sapnął. – To mamy problem.

– Może poproście jaskinię – równie cicho podpowiedział milczący dotąd Lodowiec.

– Aż, cholera, powiedział, co wiedział – burknął z politowaniem Yudherthardere. – I niby jak? Powiem... Łaskawa Święta Jaskinio, muszę ożywić, a potem zarznąć jedną kurewską Pierwotną, co wyruchała moją zleceniodawczynię, więc bądź tak miła i zechciej mi to ułatwić, przerzucając mnie na ten uroczy kamyczek, zanim jakieś gówniane stwory dobiorą mi się do portek? Co jest, do ciężkiej niemocy?!

Ostatnie słowa wykrzyczał już, ślizgając się na perłowym ołtarzu pośrodku jaskiniowego jeziora. Krótkie nogi rozjechały się na śliskim podłożu i krasnolud klapnął ciężko na wielki zadek.

– Ożeż ty! – jęknął, rozcierając bolący pośladek.

– Chyba wasza grzeczna prośba wzruszyła jaskinię – z ironią skomentowała Zakonna. Sodi z rozżaleniem spojrzał na nią, a potem na Grema.

– Skądżeś wiedział, gówniarzu?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– Nieważne. – Krasnolud machnął ręką. Wstał z trudem, ledwie utrzymując równowagę. Wyciągnął zza pazuchy lniany woreczek, wysypał na dłoń zioła, powąchał, a potem rozsypał na płaską perlę. Nie robił tego chaotycznie. Przeciwnie, układał jakiś niewidzialny dla pozostałych na brzegu znak. Kilka razy pochylił się, by poprawić brzegi powstałego symbolu. Następnie wyjął z sakwy sześć srebrnych monet i również ułożył je na podłożu, wkomponowując je w zioła. Każdy jego ruch wydawał się przemyślany, precyzyjny, kompletnie niepasujący do gwałtownego zwykle

krasróluda. Spokojne gesty, bardzo dokładne, gdy rozkładał poszczególne elementy czaru, skupiły na nim uwagę prawie wszystkich stojących w jaskini. Przyglądali się zafascynowani, gdy po monetach ponownie sięgnął do sakiewki i wyjął z niej niewielką drewnianą figurkę. Wyrżnięta z białego dębu, unikalnego i, jak niektórzy mówili, magicznego drzewa czczonego przez druidów z Wielkiego Lasu, wyglądała jak miniaturowa naga kobieta, doskonale proporcjonalna, ale pozbawiona twarzy, zamiast której wciśnięto kroplę złota. Ustawił ją pośrodku utworzonego wcześniej znaku i cofnął się, by obejrzeć efekt. Zadowolony uśmiechnął się szeroko, a potem spojrzał na obecnych.

Nagle uśmiech spelzł mu z twarzy... Jedna osoba nie przyglądała się jego poczynaniom. Odsunęła się od pozostałych w jedyną ciemną, nieoświetloną część jaskini. Przykucnęła i zamknęła oczy. Wyciągnęła ręce i powoli zaczęła przeszukiwać kamienie.

Głos szeptał. *Jest tu, znajdź go. Tutaj go zostawiłam. Ukryłam pod skałami. Będzie ci śpiewał. Jest ci potrzebny. Poczujesz jego moc. Gdzieś tu. Szukaj. Szukaj.* Więc szukała. Przekładała kamień po kamieniu. Powoli, systematycznie, z zamkniętymi oczyma, kierując się tylko dotykiem i szeptem Głosu. Wreszcie przedmiot zaśpiewał. Cicho i wyraźnie. Sam znalazł się w jej dłoniach. Pieszczotą przesunął między palcami, by zaciążyć w zamkniętej naraz pięści.

*Jest twój. Użyj go. Zrób, co ci mówiłam... Zrób to teraz. Nikt nie patrzy. Zrób, a będziesz wolna. Wolna.*

Nie skradała się. Nie musiała. Wszyscy wpatrywali się w krasróluda. Sztylet śpiewał słodką pieśń wolności. Słyszała ją równie wyraźnie jak poprzednio Głos. Niezauważona minęła Yasę i Reingharta... Sodi zobaczył nóż o uderzenie serca wcześniej niż Yasa. Krzyknął. Mag skoczył...

Rosa odwróciła się zdziwiona. W tej samej chwili ostrze gładko przecięło jej kurtę i weszło w ciało.

– Arthe! – Yasa złapał kochankę i odrzucił od Zakonnej. Nie patrzył na dziewczynę. Przyskoczył do wojowniczk.

– Rosa? – Dotknął jej ramienia. Pochylił się szybko, by obejrzeć ranę. Kobieta syknęła.

– To tylko draśnięcie. Spokojnie. – Odsunęła delikatnie dłoń mężczyzny. – Twoja dziewczyna, na szczęście, jest kiepskim nożownikiem.

Oboje spojrzeli na Arthe. Siedziała na ziemi, kołyszac się miękko, jakby straciła kontakt z rzeczywistością. W dłoni wciąż dzierżyła zakrwawiony sztylet, patrząc na niego z zachwytem graniczącym z rozkoszą.

– Chyba powinieneś się nią zająć – łagodnie zauważyła Zakonna.



– Jesteś pewna, że to nic poważnego? – Wpatrywał się w mlecznobiałe tęczęwki z zaniepokojeniem.

– Tak. – Uśmiechnęła się. Kiedy jednak ponownie zerknęła na kochankę maga, błyskawicznie spoważniała.

Grem z namaszczaniem wyjął z rąk dziewczyny broń. Odwrócił się i z nieprzytomnym spojrzeniem ruszył ku Rosie. W błękitnych tęczęwkach migotało złoto.

– Zostaw to, chłopcze – cicho ostrzegła Rosa. Cofnęła się i powoli wyciągnęła srebrny miecz z pochwy na plecach. – Nie chcę cię skrzywdzić.

– Ale ja chcę skrzywdzić ciebie – wyszeptał Lodowiec nieswoim głosem. Powoli przełożył sztylet z ręki do ręki. Uśmiechnął się, a oczy rozbłyły złotem. – Bardzo chcę cię skrzywdzić.

Zacisnął dłoń na rękojeści. I skoczył. Rosa uchyliła się, a potem cięła. Tylko jeden sztylet. Błyskawiczny i śmiertelny. Błękitne oczy rozbłyły i wolno, bardzo wolno zgasły. Młodzieniec osunął się na ziemię, wypuszczając broń z dłoni.

– Kurwa mać! – wrzasnął Yudherthardere. – Coście zrobili?! Toż królowka jaja mi urźnie!

Zakonna podeszła do leżącego. Kucnęła i łagodnie dotknęła szyi chłopca, choć wiedziała, iż pulsu nie wyczuje. Delikatnie zamknęła oczy zabitego i wstała. Spojrzała na Sodiego. Lodowatym, morderczym wzrokiem.

– Kończmy, Yudherthardere.

– Teraz? Po cholere mam to teraz robić? Zabiliście gówniarza, umowa z Isiną się skończyła.

– Yudherthardere. – Szept Rosy jak zwykle uniósł włoski na grubym karku Sodiego. – Chcecie teraz ze mną dyskutować?

Pochylił głowę i zaprzeczył bez słów.

Zakonna skinęła, a potem spojrzała na Króla Królów. Jego spojrzenie również zaczynało mienić się złotem. Podeszła szybko, zamachnęła się i nim władca zdołał zareagować czy choćby się zdziwić, uderzyła go głowicą miecza. Potężny cios obrócił mężczyznę i rzucił go na ziemię.

Zdumiony Yasa uniósł brwi, a Rosa wzruszyła ramionami.

– On pewnie by rzucił sztyletem. Wolałam nie ryzykować.

Mag nie odpowiedział, bo krasnolud właśnie zaintonował:

*Bogowie Magów, oddajcie ciało  
By duszę zbłąkaną przyjąć zechciało  
Niech duch nie błąka się bez pamięci  
Oddajcie ciało, Pierwotni Święci.*

– Rymowane, no jasne – parsknął cicho Yasa.

Ogień rozbłysnął nagle. Błyskawicznie objął rozsypane zioła, a gdy dotarł do monet, wystrzelił w górę, wysoko, aż do samego zwierciadlanego sklepienia.

– Piękne, prawda? – Miękki głos nie należał do Arthe, choć wydobył się spomiędzy jej warg. Dziewczyna wstała i podeszła do Rosy. Jej oczy błyszczały czystym, świetlistym złotem. Uśmiechnęła się lekko, figlarnie, gdy dojrzała reakcję Yasy. Mag cofnął się gwałtownie. Pobladł. Zacisnął pięści i przygryzł usta.

– O tak, kochany, widzę, że mnie poznałeś. Wiedziałam, że ciało cię nie zwiedzie. Chociaż, przyznaję, ciało wybrałeś wspaniale. – Pieszczotliwie przesunęła opuszkami po szczęce zszokowanego mężczyzny, a potem ponownie zwróciła się do Zakonnej. – Nie znamy się jeszcze, moja droga, chociaż ja mam wrażenie, że znam cię od dawna. – Zaśmiała się perliście i zalotnym gestem odrzuciła włosy z ramienia – Taki żarcik, moja droga... Żarcik. Bo widzisz, znamy się od zawsze. Od twoich narodzin, konkretnie. Jesteś jednym z moich filarów, dziecino. – Westchnęła teatralnie. – Wiesz, mój Yasa zawsze najpierw działał, potem myślał... Taki już jest. Za to go kocham. Kiedy więc spalił moje ciało, a prochy rozrzucił, zaczęłam szukać sposobu, by wrócić. Musiałam się natrudzić... Oj, musiałam. Tyle trzeba było warunków spełnić... Przynajmniej trzy filary... – Roześmiała się, rozbawiona własnym żartem. – Wiesz, lubię zawierać umowy z ludźmi... Są tacy słodko naiwni, tacy prości. Każde z nich słyszało, że dotrzymuję umów inaczej, a jednak... jednak wciąż sądzą, że uda im się mnie przechytryć. Spójrzmy na przykład na tę głupiutką Arthe... Chciała, żeby jej ciało było nieśmiertelne. Nieśmiertelne dla jej kochanka... – Znów uśmiechnęła się złośliwie. – Zawsze dotrzymuję umów... – Powoli przeciągnęła dłońmi po konturach własnej sylwetki. – Tak, że znalezienie tych trzech filarów było najprostsze, prawda? Głupiutka Arthe, spragniona potomków królowa, zwolenniczka czystości Yerghartów, no i ty, maleńka. Twoja matka zawarła ze mną umowę, żebyś stała się równa bogom. Zabawne, prawda? Bo widzisz, to też był jeden z warunków. Ale po kolei... Trzy filary, krasnoludzka magia, krew lodowego dziecka... Podziękowałam ci już za to? Więc dziękuję, maleńka. Ostatni warunek był w sumie najtrudniejszy do spełnienia. Czekałam na niego prawie pięćset lat i sądziłam, że nigdy się nie doczekam. – Skrzywiła usta jak rozczarowane dziecko, któremu wróżki nie przyniosły na święta wymarzonej zabawki. – Nikt wcześniej nie przeżył wszystkich Przemian, a to był warunek konieczny... Nie będę cię zanudzać opowieścią o tym, jak bardzo musiałam naginać przeznaczenie, byś powstała. Tyle ofiar... Cała wioska. Cóż – wzruszyła ramionami – cena warta efektu. Moja własna Zakonna po Przemianach. – Uśmiechnęła się z dumą, bynajmniej nie zaniepokojona nieskrywanym gniewem w oczach Rosy. – Najtrudniejszy z warunków oddania mi ciała... Bo widzisz, nie da

się ożywić spopielonych zwłok. Żadna magia tego nie dokona. Można za to wcisnąć ducha w dowolne ciało. Wybrałam więc sobie ciało, a potem... No tak, troszkę namotałam... Już zmierzam do finału...

– Grasz na czas. – Yasa nagle zrozumiał. – Dlaczego?

Roześmiała się. Głośno, wyraźnie. Spojrzała na maga.

– Jak ty mnie znasz! Dlatego tak do siebie pasujemy.

– Dlaczego?!

– Och, nie krzycz. – Skrzywiła się. – Sam popatrz.

Rosa się zachwiała. Naraz niewielka rana, o której prawie zapomniała, zaczęła piec. Ciało płonęło żywym ogniem. I nagle przestało. Lodowaty płomień wyrwał się z draśnięcia. Zaparł oddech, zagłuszył dźwięki, zgasił światło. Wojowniczką zachwiała się raz jeszcze i padła na kolana.

– Rosa? – Yasa pochylił się z niepokojem nad Zakonną.

– Widzisz, kochany, to niestety niezbędny warunek. – Isina wzruszyła ramionami. – Tylko śmierć Zakonnej po Przemianach da temu ciału wieczne życie. Zadbałam o to. Sztylet jest magiczny, no i zatruty. Jak wiesz, w tej jaskini moc Przemian nie działa, tutaj nikt nie jest nieśmiertelny. – Uśmiechnęła się psotnie. – Nie ma na tym świecie mocy, która by ją ocaliła. Nie ma...

Jasność wybuchła nagle. Potężny blask, intensywny i oslepiający, idealnym kołem rozbłysnął pośrodku jaskini. Pachniał mchem i leśnym poszyciem. Mężczyzna, który wyszedł z Mostu, był absolutnie doskonały. Jaśniał szmaragdową aurą. Spokojnie spojrzał na Isinę. Chłodnym, nieobecny wzrokiem. Potem podszedł do Zakonnej. Łagodnie wziął ją na ręce. Porozumiał się z Yasą bez słów. Czarodziej położył dłonie na ramionach elfiego władcy, gdy ten wchodził w portal.

Światło zgasło.

Yasa odwrócił się. Okrutny, zimny uśmiech wypłynął na jego wargi.

– Nie było takiej mocy, moja droga. – Z przyjemnością zobaczył, że Isina gwałtownie blednie. – Nie odrobiłaś lekcji. Właśnie poznałaś króla Czarnych Elfów, Agrah Erra. On jest taką mocą.

Popatrzył na szokowanego krasnoluda, który wciąż stał na perłowym ołtarzu przed płonącym symbolem z ziół.

– Dobra, Yudherthardere, gasimy ognisko, trzeba się zająć drugą częścią zadania.

Ogień zgasł, jak się pojawił, w jednej chwili. Nie dogorywał powoli, w różnym czasie, w różnych częściach sześciokąta, lecz zniknął niczym zdmuchnięty przez potężną siłę. Pośrodku popiołu wciąż stała mała biała figurka, osmalona po bokach, jakby muśnięta mrokiem, lecz nadal cała.

– Yudherthardere – głos maga był jak lodowaty podmuch wiatru – chodźcie tu.

– Ciekawe jak? Se skrzydełka doprawie i jak to piskłę, co to już nie potrzeba mu matczynego cycka, polecę se wysoko? – wymamrotał półgłosem Sodi. Powoli przesunął wzrokiem po leżących, a potem przeniósł go na kobietę u boku Yasy, zastanawiając się, kiedy i w jaki sposób wszystko, co zaplanowali, zdążyło się popieprzyć. Dlaczego zaklęcie prababki nie zadziałało? I przede wszystkim, co planował Pierwotny?

– Rusz się, Yudherthardere.

Krasnolud sięgnął po figurkę, zatknął ją za pas i zaczął głośno:

– Szacowna jaskinio...

Yasa spojrzał nań poirytowany.

– To nie jaskinia cię przeniosła, idioto, tylko ona. – Wskazał Isinę. Potem, wciąż patrząc na krasnoluda, miękkim ruchem nadgarstka wykonał gest przywołania.

Tym razem Sodi poczuł przenosiny, chociaż trwały ledwie moment. Chwilę, w której stopy straciły oparcie, kiedy sklepienie niebezpiecznie zbliżyło się do jego twarzy, i tę, gdy z wysokości kilku stóp spadł na kamienie u nóg Yasy.

– Auć – jęknął głośno, nie odważywszy się jednak przekląć. Coś było w spojrzeniu maga... coś strasznego.

Czarodziej nie patrzył na krasnoluda. Przyglądał się kobiecie, chłodno, obojętnie, z zimną kalkulacją i zastanowieniem.

– Natrudziłaś się, cioteczko – stwierdził wreszcie. – Tyle lat planowania, układania i co? Jak zwykle zbyt byłaś zapatrzona w siebie, żeby sprawdzić wszystko... żeby choćby założyć, że ktoś może cię przechytrzyć...

Isina cofnęła się lekko.

– To nie miało prawa się zdarzyć... – wyszeptwała. – W Jaskini działa tylko moc Pierwotnych, zawsze tak było.

Yasa roześmiał się lodowato.

– Agrah Errowi bogowie dali życie wbrew Tradycji, magii i innym mocom. To najpotężniejsza siła. Gdybyś chociaż przez chwilę zainteresowała się światem, do którego tak bardzo chcesz wrócić, wiedziałabyś, że Rosa, choć jest Zakonną, jest przede wszystkim elfką. Każdy zaś elf, nawet ona, ma połączenie ze swym królem i może liczyć na jego pomoc w chwili zagrożenia.

– Ale jaskinia... jest w magicznych korytarzach, są bariery...

– Byłaś w Arthe, Lodowcu i Reingharcie, a nie zauważyłaś, że Rosa zostawiła swoich wojów u wejścia? Wspomagali połączenie, bo to Yorhowie, moja droga cioteczko. Jasne, że nie zauważyłaś. Byłaś tak pewna swego... Lata planowania, wybierania czasu, miejsca, bohaterów tragedii. Postarałaś się, nie ma co. Wyrznęłaś całą wioskę, żeby Rosa trafiła do Zakonu. Nie bałaś się, że i ją mogą zabić?

– Ukryłam ją do przybycia Króla Królów. – Wzruszyła ramionami. – Nie jestem głupia.

– Byłem przekonany, że to jego wina, a to ty. – Zrobił krok w jej stronę. Tylko jeden. I wciąż się uśmiechał. Przerazająco. – Gherdeire nic dla ciebie nie znaczyło, było tylko środkiem do celu. Tak jak i Dolina Serbithów i cała Kraina. Gdyby Trydnette zginęła, o co tak usilnie się starałaś, Gaalowie wypowiedzieliby wojnę, a za nimi krasnoludy i połączone Zachodnie Łądy. Mnóstwo istnień skonałoby dla twojego pragnienia powrotu do żywych.

– Nie dla mojego powrotu – syknęła wściekle. – Dla nas. Robiłam to dla nas. Jesteś mój, zawsze byłeś i zawsze będziesz! Przecież wiem, dlaczego nie odesłałeś mojego ducha! Chciałeś mojego powrotu. Trochę się poirytowałeś, że ci zabrałam zabaweczki. Rozumiem...

Złapał ją za szyję, uniósł i rzuciwszy na ziemię, przytrzymał z morderczą siłą.

– To była moja żona. Jedyna kobieta, którą kochałem. Nie zabaweczka. – Akcentował każde słowo, zaciskając palce na szczupłej kobiecej szyi.

– Panie Yaso – krasnolud położył mu rękę na ramieniu – zabijecie ją.

Yasa spojrział na niego wściekle.

– Przecież o to nam chodzi.

– Nie. Spójrzcie jej w oczy. Ona tego pragnie. Jeśli teraz zabijecie to ciało, znowu zawieszicie ducha czarownicy w niebycie. Nic się nie zmieni... Najpierw trzeba egzorcyzmy...

Przez krótką chwilę wydawało się, że czarodziej go nie posłucha. Potem jednak zajrzał w złote oczy kochanki i powoli poluzował uchwyt.

– Jak? – zapytał chłodno.

Isina zaskowyczała wściekle i zaczęła się rzucać. Z wolnych dłoni posypały się złote skry i odbiły od ścian.

– Trzeba ją unieruchomić! – wrzasnął Sodi.

– Herthe – szepnął Yasa.

Nic się nie zmieniło. Isina nadal wściekle się wiła, przyciśnięta do ziemi jego ręką. Ponownie rzuciła złotymi płomieniami. Tym razem żar przemknął tak blisko krasnoluda, że kilka iskiek wplątało się w jego brodę. Sodi krzyknął, wściekle klepiąc tłące się włosy.

– Kurwa! Zróbcie z tym coś!

Mag uśmiechnął się. Okrutnie. A potem zrobił coś, czego dotychczas nigdy, przenigdy nie zrobił. Walnął pięścią w szczękę leżącej kobiety. W jednej sekundzie dziewczyna zwiotczała, a oczy uciekły jej w głąb czaszki.

– Może być?

Krasnolud otworzył usta ze zdziwienia, ale nie skomentował w żaden sposób.

– Co teraz? – dopytywał Yasa.

– Naprawdę nie znacie sposobu na ostateczne wysłanie Pierwotnego do piekła? – zdumiał się Sodi.

– Wiecie, kiedy urwałem jej głowę, stałem się ostatnim żyjącym Pierwotnym. Jakoś nie przyszło mi do głowy uczyć się sposobów na autodestrukcję.

Yudherthardere wzruszył ramionami.

– Ano, w sumie co racja, to racja.

Ukląkł obok Yasy i spojrzął na nieprzytomną.

– Jesteście tego pewni? – zapytał, jakoś tak dziwnie łagodnie. – Tam, gdzieś w środku, może jeszcze być ta wasza dziewczuszka.

Mag też spojrzął na Arthe. Delikatnie odsunął włosy z poblądłej twarzy dziewczyny. Przez chwilę przyglądał się doskonałym rysom, a potem cofnął dłoń.

– Arthe umarła sto lat temu – powiedział twardo. – Sam ją zabiłem.

Kłęczący przy nim mężczyzna skinął głową. Zza paska wyjął pięć złotych monet.

– To już ostatnie – mruknął.

– To znaczy, że na mnie już nie macie? – ironizował mag.

Yudherthardere uniósł głowę i spojrzął mu w oczy.

– Wami kto inny się zajmie.

Yasa zagryzł wargi, świadom, że jego pomocnik zapewne ma rację.

– Trzeba ją ułożyć głową na północ, ale, cholera, nie wiem, gdzie ta północ.

Czarodziej podniósł się bez słowa i przesunął leżącą.

– Opuść, duchu, stronę prawą, niech nie rani już nikogo. – Krasnolud położył monetę na prawym nadgarstku kobiety. – Opuść, duchu, i lewą, niech nie uwiedzie już nikogo. – Druga moneta trafiła na lewy nadgarstek. – Opuść, duchu, obie nogi, niech nie noszą jej po świecie. – Ułożył dwie monety na kolanach nieprzytomnej. – Opuść, duchu, myśli i rozum. – Pośrodku czoła leżała już ostatnia moneta. Krasnolud wyciągnął zza pazuchy drewnianą figurkę i ustawił ją pomiędzy piersiami leżącej, a potem wstał, odsunął się od ciała i dokończył: – Kiedy ciało spłonie, duch niech nie zostaje, co ma umrzeć, niech umiera. Demon jej pisany, niech więc ją zabiera.

– Znowu rymy – westchnął Yasa. Sodi łagodnie położył mu rękę na ramieniu. Ich spojrzenia się spotkały.

– Możecie się odwrócić, jeśli chcecie. To nie będzie miły widok.

– Nie trzeba – chłodno odrzekł mag. – Kończcie.

– Wy musicie. Nie mam krzesiwa, a mojej magii jaskinia nie toleruje.

– A tamto? – Czarodziej wskazał ołtarz pośrodku jeziora.

– Tylko przygotowałem składniki i wypowiedziałem zaklęcie, magię uruchomił ktoś inny. Jaskinia, Isina lub wy. Nie ja. A skoro jaskinia teraz nie była uprzejma...

Nie skończył. Płomień ogarnął figurkę. Biały, przejrzysty ogień, bez choćby cienia czerwieni czy złota, trawił błyskawicznie drewno, by po chwili przenieść się na odzienie nieprzytomnej kobiety. Ból przywrócił jej świadomość. Otworzyła oczy, próbując się poruszyć, ale magiczne monety jak gwoździe przytwierdzały ją do podłoża.

– Yassso! – krzyknęła. – Puść! To boli!

Ogień z wolna wgryzał się w skórę.

– Yasssooo! Proszę! Yasssooo!

Krzyczała rozpaczliwie, nieludzko... Płomienie, zamiast zgasnąć, unosiły się coraz wyżej i mocniej.

– Yasssooo! To dla ciebie! Wszystko robiłam dla ciebie!

Nie drgnął nawet. Czarne tęczęwki zimno wpatrywały się w płonącą kobietę.

– Yasssooo! Yaso. – Krzyk naraz się zmienił. Przeszedł w szept. Czuły głos, głos z przeszłości, ranił duszę maga. – Kochanie, nie było cię przy mnie... Umierałam długo, długo umierałam. Nasz synek umarł wcześniej. Czułam jego konanie. Bolało. Kochanie. Zostawiłeś mnie.

Potężna łapa krasnoluda powstrzymała czarodzieja. Yasa szarpnął się mocno, ale Sodi trzymał jeszcze mocniej.

– Dlaczego, Yaso? Dlaczego? – Szept Luny zmienił się w głos Arthe. – Dlaczego mnie nie kochałeś? Dlaczego? Zabiłeś mnie. Yaso, zabiłeś mnie.

Płomień potężniał. Ogień pochłoniął magię Isiny. Czarownica ponownie zaczęła krzyczeć. Głośno, straszliwie i niezrozumiale. Krzyczała, a Yasa stał i patrzył.

Do samego końca.

# RoydyałXVI

## Ksi na

Katedra była wypełniona po brzegi, a i przed jej drzwiami tłumy mieszkańców Syrelle i przyjezdnych czekało na ceremonię. Wysoki, zdobiony setkami płaskorzeźb budynek z białego piaskowca o strzelistych wieżyczkach wciąż przykrywały śnieżne płaty, a z dachu zwisały długie sople rozszczepiające światło niczym ozdobne kryształy. Niebezpieczeństwo nie odstraszało mieszczan, cisnęli się, żeby być jak najbliżej wejścia, i gdyby nie królewska gwardia, zapewne doszłoby do zamieszek. Przez utworzony przez żołnierzy szpaler wyłożony czerwonym dywanem do kościoła wchodził zaproszeni goście. Najważniejsi możni z całej Krainy i Zachodnich Łądów, przedstawiciele wszystkich wolnych ras, ludzi, elfów, krasnoludów i oczywiście Gaalów, przeszli po tym purpurowym szlaku w drodze do królewskich kaplic. Tam zaś mistrzowie ceremonii usadzili ich na wybranych miejscach, bardzo dbając o to, by żaden z wielmożów nie poczuł się niedoceniony czy w jakiś sposób urażony. Od zadowolenia obecnych zależał pokój w Krainie. Więcej, zależał od niego rozejm między Krainą a jej sąsiadami. Dokładnie więc rozważono usadzenie każdego z przybyłych, ustawienie każdej z ław, każdego krzesła i pilnowano, żeby nie doszło do pomyłki.

Słudzy chcieli wskazać miejsce i Zakonnej, lecz ona, jak uprzednio władca Czarnych Elfów, wybrała ławę tuż przy wejściu. Żadne z nich nie chciało rzucać się w oczy, a od arystokracji woleli własne towarzystwo. Usiedli więc obok siebie, w cieniu kolumn, z dala od innych gości. Zaraz po wejściu Rosy strażnicy zamknęli wielkie odrzwia. Chór z Monti zaintonował Pieśń Narzeczonych, skomplikowaną melodię, wystarczająco długą, by para młoda mogła przejść pod kolumnadą, pomiędzy rzędami mniej ważnych gości, a potem podejść do ołtarzy Pięciu Bóstw. Wszystko to musiało odbywać się w odpowiednim tempie, specjalnym krokiem, zapisanym w Pismach Tradycji, a dotyczącym zaślubin Króla Królów.

Reinghart spokojnie prowadził przyszłą żonę. Nie patrzył na nią, ale w łagodnym uśmiechu, rozjaśniającym błękit oczu, wyraźnie rysowały się duma i zachwyt. Dziewczyna, choć niezwykle blada, olśniewała urodą. Jej dłoń ledwie muskała mankiet narzeczonego, a oczy ani na moment nie spoczęły na jego twarzy. Patrzyła daleko



w przestrzeń, nie skupiając wzroku na żadnej z twarzy. Raz tylko jej oczy zabłądziły pomiędzy ławy, by wyłowić bolesne spojrzenie młodego Gaala. Na krótką chwilę zmyliła krok i odrobinę się przygarbiła. Zaraz jednak ponownie usztywniła plecy i naciągnęła na usta obojętny uśmiech.

– Wygląda pięknie – szepnęła Rosa.

– Nie sądziłem, że się zgodzisz. – Agrah Err spojrzał jej w oczy.

– A ja sądziłam, że jej nie przekonamy.

– Zawsze знаła swoje obowiązki. Trzeba było jej tylko przypomnieć.

– Nie powiedziałeś jej?

– Nie. Nie musi wiedzieć. A ty? Nie powiesz mu?

Wzruszyła ramionami.

– Tak jest dobrze. Będzie wierzył, że to jego dziecko. Ona będzie wierzyła, że to jego dziecko, a Zakon będzie chronił następcę tronu.

– Takiego następcę?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Niezbadane są wyroki boskie – odpowiedziała z nutą ironii. – Najwyraźniej takie było przeznaczenie. Nikt nie podważy prawa tego dziecka do korony – oświadczyła poważnie i dodała twardo: – Zabiłam mu ojca, jego uchronię.

Para młoda dotarła do ołtarzy. Goście unieśli się. Agrah Err spojrzał na ukochaną. Nie czytał jej w myślach. Wolał zapytać.

– Wrócisz ze mną na Czarną Górę?

Uśmiechnęła się miękko.

– Przyjadę później. Mam jeszcze dwie sprawy do załatwienia.

Skinął głową. Nie pytał. I tak dostał więcej, niż liczył. Jej obietnicę.

\*

W zakonnych lochach panowały półmrok i cisza. Najwięksi zakonni czarodzieje zadbali o atmosferę tego miejsca. Miała przypominać, że każda zbrodnia zostanie ujawniona. Bez względu na czas, jaki minie od popełnienia czynu, wcześniej czy później zbrodniarz poniesie karę, a sprawiedliwość zatriumfuje. To naczelne prawo Tradycji, prawo Zakonu.

Rosa uśmiechnęła się ponuro. Czasami prosta sprawiedliwość nie wystarcza. Czasami potrzeba powtórki.

Szła szybko pustym korytarzem. Za jej plecami, bliżej niż zwykle, szli Yorhowie. Zawsze gdy odwiedzali Zakon, wojownicy stawali tuż za nią, jakby bali się, że wciąż nie jest tu bezpieczna, i pragnęli chronić ją za wszelką cenę. Czuli ich tuż za sobą, napiętych, gotowych do odparcia ataku.

Rozumiała ich. Czowała podobnie. Z trudem powstrzymywała się od wyjęcia zza pleców któregoś ze srebrnych mieczy. Szczególnie tutaj, w lochach, ledwie kilka kroków od Sali Kar, od pręgierza, pod którym skonał Oren. I dwa poziomy poniżej miejsca, w którym dokonała zemsty. Minęło tak wiele lat, a ona wciąż pamiętała.

*Err ją ocalił. Znalazł na wpół zamarznąętą w lesie, przywiózł do chaty, pomógł wyzdrowieć. Nie chciał, by wracała do Zakonu. Prosił, żeby pojechała z nim do wioski Czarnych Elfów, żeby w najbardziej magicznym miejscu pojęła, jak radzić sobie z nowymi mocami. Z nowym życiem.*

*Namawiał, ale nie ustąpiła.*

*– Muszę wrócić. Nie tylko z zemsty. Nazwała to sądem bożym! Dowiodłam jego niewinności. Przeżyłam. A ona... ona to ukryła, powiedziała, że był winien... – skończyła cicho.*

*– To nie przywróci mu życia.*

*– Ale przywróci mu dobre imię.*

*Wytrzymał jej spojrzenie.*

*– Wiesz, że nie mogę jechać z tobą? – zapytał cicho. – Jestem królem Czarnych Elfów, nie mogę walczyć z Zakonem.*

*– Wiem. – Powoli odsunęła się od niego. – Nie liczyłam na to.*

*Westchnął ciężko.*

*– Nie przekonam cię, prawda?*

*Pokręciła głową bez słowa. Mężczyzna przyglądał się jej poważnie.*

*– Kiedy skończysz, przyjedziesz na Czarną Górę. Obiecuj mi, że przyjedziesz.*

*Nie odpowiedziała, a on już więcej nie nalegał. Patrzył na nią ze smutkiem.*

*– Zawiozę cię.*

*– Nie powinienes.*

*– Nie powinieniem, ale zawiozę.*

*Zatrzymali się, kiedy na horyzoncie zamajaczyły wysokie wieżyczki Zakonu. Err rozwiązał jeden z tobołków przytroczonych do siodła i wyciągnął z niego lekki srebrny elfi miecz. W popołudniowym słońcu odbiły się wyrzeźbione na rękojeści runy.*

*– Nie możesz iść nieuzbrojona. – Podał broń dziewczynie. Wzięła ją bez wahania. Zakręciła ostrzem w powietrzu i uśmiechnęła się, słysząc, jak śpiewa.*

*– Dziękuję – powiedziała. – A teraz już jedź.*

*Nie patrzyła za nim, kiedy odjeżdżał. Szła na spotkanie zemsty. Kiedy mijala bramy, dzwon na wieży wezwał Zakonnych na wieczorny positek. Skierowała się więc do sali jadalnej. Szła szybko, dzięki zaklęciu niezauważona przez nikogo. Przed drzwiami jadalni zatrzymała się na chwilę. Przymknęła oczy, skupiła moc, wolno wciągnęła powietrze*

*i jeszcze wolniej je wypuściła. Potem pchnęła drzwi, zdejmując jednocześnie Czar Niezauważonych.*

*Wszystkie głowy obróciły się w jej kierunku. Stała w wejściu. Chłodny uśmiech, nieobejmujący oczu, spłynął na blade wargi, gdy dojrzała Matkę Beathe. Ruszyła wolno w jej kierunku.*

*Pod nieobecność Matki Przełożonej Beathe i Jeanie zarządzały Zakonem. Podczas posiłku siedziały więc u szczytu stołu. Obie poblady na widok Rosy. Młodsza z krzykiem schowała się pod stołem. Starsza wstała gwałtownie.*

*– Demon! – wrzasnęła, wskazując wchodzącą. – Demon! Miecze w dłoń!*

*Zakonni patrzyli zaskoczeni to na starszą, to na młodszą z kobiet. Kilkoro poderwało się i sięgnęło po broń. Większość jednak zamarta na ławach.*

*– Na co czekacie?! – krzyczała Beathe, stając na podwyższeniu. – Demon nawiedził święte miejsce! Trzeba się go pozbyć!*

*Kiedy większość nie zareagowała, kobieta złożyła drżącą dłoń w znak wezwania. Wszepiała zaklęcie i naraz każdy Zakonny, złapawszy miecz, ruszył na Rosę. Dziesiątki namaszczonej i nowicjuszy otaczało ją ze wszystkich stron. Dziewczyna uniosła ostrze...*

*Pierwszy zaatakował z tyłu. Zareagowała podświadomie, parując cięcie i odbijając oręż. Młodzian pod wpływem ciosu upadł na kolana i wypuścił broń. Rosa podniosła ją szybko, a uderzając chłopca, pozbawiła go przytomności. Zatoczyła koła dwoma ostrzami i zrobiła krok do przodu. Kolejny Wyświęcony rzucił się w jej kierunku. Po krótkiej wymianie ciosów i ten padł nieprzytomny. Rosa zrobiła kolejny krok. Przerazona Beathe szeptała zaklęcia, gdy dalsi padali od ciosów Przemienionej.*

*Do komnaty wpadli dwaj olbrzymi. Ci sami, którzy wynosili nieprzytomną Rosę. Ciemne oczy, pogrążone w czarze wezwania, połyskiwały złowrogo w brzydkich twarzach. Posłuszni woli rzucającej czar, biegli ku walczącej dziewczynie.*

*Rosa uderzała szybko i precyzyjnie. Wyłączyła rozum i jak dziki zwierzę reagowała instynktownie. Błyskawicznie parowała i zadawała ciosy. Tańczyła wśród napierających, oddychając spokojnie i zmrużonymi oczyma rozglądając się wokół.*

*Naraz szybkie cięcie jednego z atakujących rozcięło kaftan i drasnęło pierś dziewczyny. Nie poczuła bólu, jedynie gniew. Rzuciła się na atakujących ze zdwojoną energią. Olbrzymi utorowali sobie drogę do wojowniczek. Skoczyli ku niej z wyciągniętymi mieczami, gotowi zginąć dla czaru wezwania. Nie zadali jednak ciosu. Zatrzymali się w pół kroku, a wraz z nimi reszta Zakonnych.*

*Do komnaty wszedł elfi władca.*

*Zszokowana Beathe próbowała ponowić czar, ale, jak pozostali, nie zdołała się ruszyć. Agrah Err przeszedł między stojącymi. Z lekkim uśmiechem zbliżył się do Rosy.*

– Zapomniałem dać ci to. – Wyciągnął skórzaną pochwę z wyciśniętymi znakami runicznymi i delikatnie zapiął ją na plecach wojowniczkii. – No i chciałem się upewnić, że sobie poradzisz.

– A twoja siostra? Pokój z Zakonem?

– Arsii zrozumie. – Wzruszył ramionami. – A ja nie zamierzam walczyć z Zakonem.

Rosa podała mężczyźnie miecz zabrany pierwszemu z atakujących.

– Może ci się przydać.

– Nie tym razem. – Chwycił dłoń dziewczyny. Gorąca magia otoczyła oboje. Szmaragdowe oczy rozświetlił płomień i przemknął w mlecznobiałe tęczęwki. Palce obojga splotty się i zacisnęły.

– Uerghe sobithe sarre – powiedział cicho mężczyzna.

Jaskrawe światło wyrwało się ze splecionych dłoni. Wzniostło ku powale i rozbłysnąwszy, zgasło. Zakonni poruszyli się. Mrugając, wpatrywali się zaskoczeni to w wojowniczkę, to w elfa. Dwaj olbrzymi wolno opuścili broń i tylko patrzyli. Wolne od czaru oczy śledziły każdy ruch Przemienionej.

– Nie jestem demonem – powiedziała głośno Rosa. Delikatnie wysunęła dłoń z uścisku i podeszła do Beathe. Złożyła dłoń w Znak Prawdy i wymierzyła w pierś kobiety. – Oddałam się pod sąd boży i bogowie wydali wyrok. Oren nie był mordercą. Lord Sear poświadczył nieprawdę, a Matka Beathe i siostra Jeanie przyjęły to kłamstwo, chcąc się pozbyć mnie i Orena. Czyż nie tak, Matko?

Beathe, zmuszona znakiem prawdy, skinęła głową. Wojowniczka obnażyła zęby w dziwnym ni to uśmiechu, ni to grymasie.

– Chroni cię, Matko, święta Tradycja. Nie mogę cię zabić bez wyroku, chyba że mnie zaatakujesz. A ty pewnie tego nie zrobisz, prawda?

Starsza kobieta uśmiechnęła się złośliwie.

– Tak myślałam. Nie wróciłam tu, by cię zabić. Wróciłam, żeby Zakon poznał prawdę.

Odsunęła się i wolno ruszyła do drzwi. Naraz zatrzymała się i spojrzała na stojącą.

– A skoro już ją zna, może cię osądzić i wydać wyrok.

Uśmiechała się chłodno. Myśli zgromadzonych płynęły jaskrawą falą. Zanurzyła się w niej, czytając jedną po drugiej. Żaden z Zakonnych nie zdołał ochronić umysłu przez Przemienioną. Wciąż się uśmiechając, pozwoliła odczytać te refleksje sądownej. Zobaczyła siną bladłość spływającą na pomarszczone policzki. Tak, Beathe odczytała werdykt. Rozpacz zapłonęła w ciemnych oczach.

Zakonni osądzili kobiety i wydali wyrok. I w chwili, gdy on zapadł, jeden po drugim, w milczeniu, zaczęli się odwracać. Wkrótce wszyscy stanęli tyłem do oskarżonych.

Rosa nie drgnęła. Nadal wpatrywała się w Beathe.

– Teraz, Matko, teraz mogę cię już zabić. – Obnażyła zęby, uniosła miecz i błyskawicznie skoczyła ku stojącej na podwyższeniu.

Krzyk w jej głowie zabrzmiał w chwili, gdy się zatrzymała. Miecz dotknął szyi Beathe, ale jej nie drasnął.

Rosa wpatrywała się zimno w przerażoną twarz. W podświadomości wciąż słyszała powstrzymującego ją elfa. Bardzo wolno cofnęła ostrze.

– Śmierć to zbyt łagodna kara – stwierdziła cicho. – Zbyt szybka. – Powoli wsunęła broń w pochwę na plecach. – A ja chcę, byś cierpiała. Jak Oren. Długo... Zakon pozwolił mi wykonać wyrok, Matko Beathe. Zamkną cię w celi i nigdy nie wypuszczą. Będiesz w niej tkwić, zamknięta czarem unieruchomienia w więzieniu swego ciała. Daję ci czas, Matko Beathe. Czas, byś mogła rozmyślać nad tym, co zrobiłaś. Czas, byś mogła żałować tego, czego nie udało ci się zrobić. Tradycja błogosławi ten wyrok. Nic nie zdoła go zmienić – dokończyła uroczystie, po czym, nie patrząc już na kobietę, która zniszczyła jej marzenia, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Naraz zatrzymała się i spoglądając na elfiego władcę, dodała głośno: – Ciebie, siostrze Jeanie, nie unieruchomi czar, a jedynie cztery ściany celi, aż do śmierci. Ten wyrok również błogosławi Tradycja.

Nie widziała, jak straż zakonna wynosi obie kobiety z komnaty. Nie potrzebowała tego. Stanęła przed Agrah Errem, uśmiechając się lekko. Mężczyzna również się uśmiechnął i pokiwał głową.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Żadne z nich nie drgnęło.

– Nie pojedziesz ze mną? – Err przerwał wreszcie ciszę.

Nie odpowiedziała.

– Nie powinnaś być teraz sama, Roso.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Nie będę sama, Err.

Wolno cofnęła rękę i ruszyła ku wyjściu. Za nią, niczym dwa postuszne cienie, szli potężni Yorhowie.

W drzwiach celi nie było skobla czy zamka, a jednak pozostawały zamknięte. Nikt ich też nie pilnował. W lochach nie było straży. Więźniów strzegła magia. Każdego utrzymywało w lochu inne zaklęcie. Rada Zakonu dobrze o to zadbała. Tego więźnia krępowała moc Rosy. To ona wydała wyrok i dopilnowała kary. Żaden czarodziej nie mógłby uwolnić skazanej. Żaden nie potrafiłby cofnąć czaru unieruchomienia i ciszy, na które skazała więźniarkę Rosa.

Niewiele jest magii ponad Zakonną po Przemianach.

Wojowniczką skrzywiła się, a jej oczy rozbłysły lodowato, gdy dotknęła wejścia. Bez słowa poprosiła Yorhów, by zostali w korytarzu. Pchnęła drzwi. Łagodny dotyk mocy przemknął przez ciało Zakonnej, gdy wchodziła.

Staruszka siedziała na wąskiej pryczy, w półmroku wpatrując się w gościa. Długie siwe włosy okalały szczupłą pomarszczoną twarz, a kosmykami spływały na chude ramiona. Jasnoblękitne oczy rozbłysły nienawiścią, gdy rozpoznała wchodzącą. Rosa zmrużyła powieki. Zakłęcie sprawiło, że słaby kaganek w kącie celi rozbłysnął nadnaturalnym światłem, rozświetlając pomieszczenie.

– Witaj, Matko Beathe. – Rosa rozejrzała się po siermiężnym pokoiku i ujrawszy stołek naprzeciw pryczy, usiadła na nim. Emocje płonęły pod jasną skórą wojowniczkę, ale twarz pozostała obojętna. – A może powinnam was powitać z należnymi honorami, księżno Beathe z Perre?

W jednej chwili do nienawiści dołączył strach. Staruszka nie drgnęła, ale jej spojrzenie zdało się palić.

– Zastanawiacie się nad moją wizytą? Zapewne. Jeszcze nigdy was nie odwiedziłam. Wasz syn bywał przynajmniej raz w roku, jak słyszałam, ale i on zaprzestał, prawda? Jak to jest, czuć pogardę jedyne go dziecka? – Uśmiechnęła się lekko, niemal radośnie. – Wiecie, jak to jest, prawda? Musi bardzo wami gardzić, skoro przez cały ten czas nie stanął w waszej obronie. Jego słowo mogłoby wiele zmienić, ale go nie powiedział, prawda?

Przez chwilę milczała, wpatrując się w więźniarkę. Wciąż się uśmiechała, ale uśmiech nie obejmował bezbarwnych oczu. Nie czekała na odpowiedź. Zakłęcie unieruchomienia nie pozwalało skazanej mówić, nie pozwalało nawet drgnąć. Taką karę wyznaczyła i nie zamierzała jej cofać.

Poza tym, gdyby usłyszała jej głos, mogłaby nie utrzymać miecza w pochwie.

– Zastanawiałam się, dlaczego Oren i ja. Długo myślałam, że byłaś po prostu zazdrosna. O naszą młodość, o miłość... Dopiero ostatnio jedna czarownica wszystko mi wytłumaczyła, wiesz? Może nie wszystko, ale znakomitą większość. Pogrzebałam w starych księgach i zrozumiałam resztę. Znalazłaś proroctwa Erghona, prawda? Jak one brzmiały?

*Dziecię wzgardzonej rasy*

*Zasiądzie na tronie*

*Yerghartów panowaniu*

*Przyniesie koniec*

Tak, dokładnie tak. Zapewne przez jakiś czas nie przejmowałaś się tym, ale mijały lata, a Król Królów nie doczekał się potomka. Zaczęłaś się bać... i szukać. Szukać owego dziecięcia... Jak to się odbyło? Usłyszałaś tę nazwę we śnie? Widzę w twoich oczach, że tak. Mieszkałaś wtedy u boku syna, nietrudno było ci wmówić gwardzistom, że działają na jego polecenie. Yasa myślał, że to Reinghart wydał polecenie zrównania Gherdeire z ziemią, a to byłaś ty. Król zbyt bał się Arsii, by

uderzyć na elfią wioskę. Kiedy się dowiedział, kazał cię zamknąć w Zakonie. Ile lat minęło, nim odwiedził cię pierwszy raz? Aż tyle? – Uśmiechnęła się okrutnie. – Niestety nas też umieszczono w klasztorze. Nie sądzę, byś wiedziała, inaczej nie dożylibyśmy pełnoletności. Zapewne doniesiono ci, że wszyscy z Gherdeire zginęli. I trwałaś w tym przekonaniu, aż Isina postarała się, byś poznała prawdę.

Na imię czarownicy strach w oczach księżnej zmienił się w przerażenie. Rosa wyprostowała długie nogi, oparła się o ścianę i powoli przesunęła dłońmi po udach. Wyglądała na spokojną, kompletnie odprężoną. Jakby strach przeciwniczki schładzał jej krew.

– Nie wspomniałam wcześniej? Nie wspomniałam, co? Za każdą twoją myślą stała, jak to ujął mój znajomy, martwa królowa przekrętów. To ona postarała się, byś odczytała zapiski Erghona. Ona podpowiedziała ci nazwę wioski. I ona postarała się, bym przeżyła masakrę. Od początku chodziło jej o mnie, droga księżno. O jej własną Zakonną po Przemianach.

Wstała powoli, podeszła do matki Reingharta i kucnąwszy tuż przy niej, zajrzała w błękitne oczy Yerghartów.

– Mogłabym ci wybaczyć Gherdeire – powiedziała cicho. – Mogłabym nawet wybaczyć Orena. Walczyłaś wtedy o własny ród, o dziedzictwo. Chciałaś dobrze dla swojego dziecka. Mogłabym ci to wybaczyć. Ale umowa z Isiną? Kiedy cię unieruchomiłam, byłam pewna, że przestałaś być zagrożeniem dla kogokolwiek. Do głowy by mi nie przyszło, że twoje myśli mogą przynieść tyle zła. Zawarłaś umowę z Pierwotną, pomogłaś jej wsadzić Bestię w umysł własnego syna. Przez ciebie Krainie groziło niebezpieczeństwo, a tysiące istnień było zagrożonych. I dlaczego? Dla czystości rodu? – Wstała. Już się nie uśmiechała. – Wiesz, pani, co to ironia losu? Ironią losu jest to, że gdybyś nie spaliła Gherdeire, nie powstałabym ja. Gdybyś nie zawarła z Isiną umowy, by Trydnette nie zasiadła na tronie, być może nigdy nie spełniłyby się słowa Erghona. Byłoby to zapewne kolejne proroctwo upitego tanim miodem eremity, zapomniane, jak setki innych. Dzięki twoim knowaniom jednak, Zakonna po Przemianach musiała pilnować twego nawiedzonego syna, kiedy jego narzeczona pokładała się z Lodowym Dzieckiem. I dzięki tobie również, moja księżno, za dziewięć miesięcy narodzi się następca tronu Krainy, owo *dziecię wzgardzonej rasy*. Mały Lodowy Bękart: syn Króla Królów.

Patrzyła w oczy kobiety, czytając jej myśli. Niedowierzanie, nienawiść, strach, gniew i wreszcie ból. Uśmiechnęła się chłodno, widząc nieme pytanie.

– Nie. Po co miałabym cię zabijać? Dopilnuję tylko, by twój syn dowiedział się o twoim przymierzu z Pierwotną Czarownicą. Nie zobaczysz go już więcej. Wytłumaczę mu jednak, że mimo wszystko jesteś babcią królewicza. Postaram się, by

każdego roku wysyłał ci podobiznę swego syna. Dużą. Na tyle dużą, byś mogła na nią nieustannie patrzeć. I pamiętać, że chłopiec żyje dzięki tobie. Klątwa unieruchomienia i ciszy pozostaje niezmienną. Żegnaj, pani. Więcej się już nie zobaczymy.

Nie patrząc na księżną Perre, Rosa wyszła z celi. Yorhowie czekali na nią przed drzwiami. Skinęła im głową bez słowa. Razem ruszyli do wyjścia, zostawiając za sobą zakonne lochy.



## Epilog

Więc tak wygląda piekło? Nie, nie piekło. Sąd Pierwotnych. Yasa roześmiał się ponuro. Tak, jedno od drugiego niewiele się różni. Ale, w sumie, przecież zasłużył. Zasłużył wielokrotnie.

Potężna sala zdawała się nie mieć końca. Żadnych ograniczeń oprócz drzwi unoszących się pośród niczego, tuż nad płonąca podłogą, tak jak i one zawieszoną w niebycie. Tylko podłoga, drzwi i szeroki stół, a za nim ci, którzy mieli go osądzić. Czterej potężni starcy odziani w krwiste szaty. Pasowali do reszty. Wielkiej, płonącej, krwistej nicości.

Nie pamiętał, jak się tu znalazł. Wyrwany z jaskini, w której zamknął swoją przeszłość. W której zabił kolejną swoją kobietę. Ponieważ w jednym Isina miała rację. To była jego wina. Przez niego umarła Luna i to on zabił Arthe.

Więc w sumie zasłużył na Sąd. Bo piekło już znał.

Sunął zawieszony w powietrzu. Potężna moc uniosła go ponad płonąca podłogę i rozrzuciła ramiona. Uśmiechał się ironicznie. Pokaz siły Pierwotnych bogów. Nie mógł samodzielnie nawet poruszyć palcem. Zawładnęli jego ciałem i przeciągnęli je przez nieskończenie długą salę aż do płonącego stołu. Tam zawiesili. W kompletnej ciszy, którą określić mogło tylko słowo „martwa”, czterej brodaci starcy przyglądali się ostatniemu żyjącemu Pierwotnemu Magowi.

Patrzyli długo, jakby samym spojrzeniem mogli ocenić jego winy, zajrzeć w duszę, poznać wszystkie uczynki. I zapewne mogli.

– Yaso, nasz synu – zaczął wreszcie Przewodniczący. Ojcowskiemu tonowi w niskim głosie przeczyło lodowate spojrzenie. – Twoje winy są liczne jak dni twojego życia. Zabiłeś Pierwotną, zmieniłeś człowieka w niespalający się płomień, sprzedałeś Ożywiające Zakłęcie i wreszcie ożywiłeś zabita przez siebie Pierwotną. Pogardziłeś odwiecznym prawem. Stałeś przeciw boskim zasadom. Czy masz coś na swoje usprawiedliwienie?

Co miał powiedzieć? Że zawsze kierował się zasadami... swoimi zasadami? Że popełnił kilka głupstw, ale starał się je naprawić... zwykle z marnym skutkiem? Że większość tego, co zrobił, zrobił z miłości? Miłości do ludzi, do śmiertelnych?

– W sumie... chyba nie. Nie, na pewno nie – odpowiedział spokojnie. Potem się uśmiechnął. Łagodnie. Nie potrafił się martwić. Wkrótce spotka...

– Nie, synu. Nie spotkasz swojej śmiertelniczki – przerwał tę myśl bóg. – Skazani Pierwotni nie trafiają w zaświaty. Ty nie umrzesz. Przystaniesz istnieć.

Yasa szarpnął się bezsilnie.

– To trochę niesprawiedliwe, nie sądzicie? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Jak się tak zastanowić, mój synu, to nawet sprawiedliwe.

– Ukarzecie mnie tak samo jak Isinę? I gdzie tu sprawiedliwość?!

– Twoja miłość do śmiertelnych cię zaślepią, mój synu. Nawet sprawiedliwość pojmujesz w ich sposób. I ty, i Isina sprzeciwiłście się swoim bogom. Za to spotka was ta sama kara.

Płomienie na podłodze wzmogły się. Odległe, niewidoczne dotąd ściany, płynące krwią i łzami, zaczęły się zbliżać. Yasa, zawieszony wciąż w powietrzu, z cieniem gniewu obserwował to wszystko.

– Już wydaliście wyrok? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Sam wydałeś na siebie wyrok, wchodząc ze śmiertelnymi do Świętej Jaskini.

Żar dosięgnął stóp wiszącego. Mężczyzna szarpnął się, znów bezskutecznie. Zaciśnął usta. Nie będzie krzyczał. Nie będzie. Ból stawał się nieznośny.

Starcy patrzyli nań obojętnie. Czekali.

Naraz drzwi otworzyły się gwałtownie. Wysoka, smukła wojowniczką wkroczyła do płonącej sali. Szła wolno, cichym krokiem drapieżnika, w którego rytm kołysał się długi, sięgający bioder czarny warkocz z trzema białymi pasmami. Pod jej stopami ogień gasł, a im bliżej była stołu, tym bardziej oddalały się zakrwawione ściany, by wreszcie zniknąć zupełnie, gdy minęła Yasę.

– Obawiam się, panowie – powiedziała tym swoim cichym, niebezpiecznym głosem – że dzisiaj nie spalicie żadnego Pierwotnego.

Czterej starcy przyglądali się jej w milczeniu. Tak jak poprzednio Yasę, tak i teraz czytali ją w kompletnej ciszy. Rosa uśmiechnęła się łagodnie.

– Wzywam Przemianę Ciała – spojrzała na pierwszego z bogów – Przemianę Serca – spojrzała na drugiego – Przemianę Magii – uśmiechnęła się do trzeciego – i Przemianę Czasu. – Lekko skinęła ostatniemu. – Przeszłam wszystkie. Jestem wami, wy jesteście mną.

Przez chwilę długą jak wieczność nikt się nie odzywał. Potem odpowiedzieli jednocześnie:

– Rzekłś.

Skinęła głową i spojrzała w górę.

– Yasa należy do mnie – stwierdziła krótko. W tej samej chwili moc trzymająca maga zrzuciła więzy i Yasa runął na ziemię u stóp Zakonnej. Zaraz się podniósł i mimo że

spalone stopy bolały niemiłosiernie, wyprostował. Uśmiechnęła się do niego. Ciepło, łagodnie. Drugi raz w życiu widział taki uśmiech.

Rosa zaś, skłoniwszy się w milczeniu czterem bogom Pierwotnych, ruszyła ku wyjściu.

\*

Drzwi zamknęły się za nimi i znikły. Stali pośrodku kamienistego pustkowia, a zachodzące słońce oświetlało ich twarze.

– Jak? – zapytał wciąż zaszokowany mag.

– Jak to, niech mnie więcej dobrze panna nie uczyni, jak? – Krasnolud wylaź z za głazów, poprawiając spodnie. – Dzięki mojej nieodżałowanej babuni. Mądra kobita z niej była, chociaż cichodajka.

Rosa uniosła wzrok ku niebu.

– Yudherthardere...

– No co? Dupa mnie rozbolała od tego czekania na was, a i szczać się chciało.

– Yudherthardere... – powtórzyła miękko wojowniczką.

– No? – Zadał głowę i rozciągnął mięsiste wargi w radosnym grymasie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do krasnoluda w ten sam sposób co poprzednio do Yasy, wywołując tym palpitacje u małego mężczyzny. – Dobry z was przyjaciel, Yudherthardere. Nie zapomnę wam tego.

Zza skał wyszli Yorhowie, prowadząc konie.

– Do zobaczenia, Pierwotny Magu. – Skinęła głową, dosiadając wierzchowca.

– Do zobaczenia, Kobieto Tradycji. – Ukłonił się głęboko.

Odprawiał ją spojrzeniem, aż wjechała do lasu prowadzącego na Czarną Górę.

– No dobra, pojechała. – Sodi podrapał się po głowie i ponownie rozciągnawszy usta w szerokiej parodii uśmiechu, dodał: – Uratowałem wam dupę, nie ma co, więc może pomożecie mi się jakoś wyplątać z umowy z królowką, co? No i miodu bym się napił... i, niech no mi rowek do siodła przyrośnie, już nie pamiętam, kiedym jakąś pannę dobrze wychędożył...

Zakonna  
Copyright © Małgorzata Lisińska  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Leszek Woźniak

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-292-2

epub ISBN 978-83-7995-293-9

mobi ISBN 978-83-7995-294-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Iga Wiśniewska

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Leszek Woźniak

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)  
[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)